



Kurier Polski
WSZYSTKO DLA WSZYSTKICH
1959 rok - nr 147-235

A red logo for 'Kurier Polski' is tilted. The text 'Kurier Polski' is in a large, bold, red serif font. Below it, 'WSZYSTKO DLA WSZYSTKICH' is written in a smaller, black, sans-serif font. At the bottom, '1959 rok - nr 147-235' is written in a black, sans-serif font. A small black silhouette of a person carrying a bundle is positioned between the two lines of text.

Ali-Baba

The text 'Ali-Baba' is written in a black, cursive script font.

ZYGMUNT ZEYDLER-ZBOROWSKI

7
KANARKÓW
MAURYCEGO

ROZDZIAŁ I

Cała ta historia nigdy by się być może nie zdarzyła, gdyby Maurycy poszedł do kina. Mieli iść z Joanną. Ale kiedy spotkali się na obiedzie, powiedziała, że nie ma czasu. W ogóle ostatnio jakoś im się nie kleiło. W zeszłym tygodniu wybierali się do teatru na Popas Króla Jegomości. I Joanna nawaliła. W czwartek czekał na nią w „Stodole”. Nie przyszła. Ciągłe była teraz zajęta. Nigdy nie mógł z nią spokojnie porozmawiać. A przecież jeżeli naprawdę za kilka miesięcy mają się pobrać, to chyba powinni jakoś to wszystko obgadać, naradzić się. To nie były takie proste sprawy. No bo chociażby... jak z mieszkaniem? U matki Joanny stanowczo za ciasno. A u niego, na tym poddaszu? Ostatecznie, przy dobrych chęciach mogliby się może jakoś urządzić. Ale znowu co z Krzysztofem? Miał mieszkać u niego tylko kilka dni. A to już prawie rok... Trzeba będzie jednak pogadać z Krzysztofem. Bo jeżeli Joanna zgodzi się na tę mansardę...

Tak był pogrążony w swych rozmyślaniach, że przejechał Chmielną i wysiadł dopiero koło Uniwersytetu. Idąc w dół Tamką, pogwizdywał cicho Most na rzece Kwai. Od paru dni nie opuszczała go ta melodia.

Wieczór był cichy i wyjątkowo ciepły. Bez pomocy kalendarza trudno było odgadnąć, że to już połowa listopada. Nic nie zapowiadało zbliżającej się zimy. Powietrze łagodne, wiosenne.

Czy Krzysztof jest w domu? Czy pracuje? Czy też może włóczy się gdzieś po mieście? Żeby tylko znowu nie wrócił pijany. Zawsze znajdował sobie jakąś pijacką kompanię. Kiedy wracał w nocy z takiej biby, bywał w awanturnicznym nastroju. Czasem z maniackim uporem chciał piec na różnie kanarki. Bardzo trudno było mu to wyperswadować.

Maurycy przystanął i podniósł głowę. Okna w jego mieszkaniu były ciemne. Krzysztof jeszcze nie wrócił.

Strome schody prowadziły na szczyt rudery, która nie

wiadomo dlaczego nie rozpadła się jeszcze w kupę gruzów. Kamienne stopnie poruszały się niepokojąco pod nogami. Czasami mały kawałek odłupanego betonu staczał się w dół z cichym szelestem. Trzeba było dobrze uważać, żeby w panujących tu ciemnościach nie wpaść do jakiejś dziury.

Wreszcie Maurycy wydostał się na szczyt, zmacał ręką drzwi i wsunął klucz w zamek. Otoczyła go gęsta ciemność, wypełniona ostrą wonią dymu tytoniowego połączonego z zapachem farb, pokostów i ogrodu zoologicznego.

Zamiast wieszaka - kilka dużych gwoździ. Maurycy powiesił płaszcz, wytarł starannie nogi o podarty worek, wszedł do pokoju i przekreślił kontakt.

Znieruchomiał.

Na tapczanie leżał Krzysztof, trzymał w ramionach Joannę. Poderwali się zaskoczeni.

Przez chwilę patrzeli w milczeniu na Maurycego, jakby w oczekiwaniu jego reakcji. Stał bez ruchu z opuszczonymi bezradnie rękami. Miał chłodną pustkę w głowie. Nie czuł potrzeby słów.

Pierwszy oprzytomniał Krzysztof. Uśmiechnął się, usiłując nadać swej twarzy wyraz swobodnej ironii. Wiedział wprawdzie, że Maurycy to skończona offerma, ale nie był pewien, jak się zachowa w podobnej sytuacji.

- Cóż to, już wróciłeś z kina?

W ciszy smrodliwego poddasza pytanie to zabrzmiało głupio.

I niepotrzebnie. Niepewny głos załamał się na ostatnich sylabach.

Joanna zaczęła się nerwowo ubierać. Krzysztof wciągnął spodnie i zapalił papierosa. Oboje rzucali szybkie spojrzenia w kierunku Maurycego. Stał ciągle nieruchomy i milczący. Patrzył na nich szklanymi, niewidzącymi oczami. Nic nie mówił. Zupełnie tak, jakby nie rozumiał, co się właściwie stało.

Zaćwierkał Kuba. Zwrócił wzrok ku niemu. Podszedł wolnym, ciężkim krokiem i ponakrywał klatki płachtami. Kanarki powinny już spać o tej porze. Krzysztof nigdy nie pamiętał, żeby ponakrywać klatki. Wtedy Joanna nie wytrzymała. Podbiegła do Maurycego i patrząc mu prosto w

twarz, poczęła krzyczeć:

- No, mów coś! No, mówże coś! Odezwij się! Przecież cię zdradziłam! Słyszysz?! Zdradziłam cię z twoim najlepszym przyjacielem. Dlaczego nic nie mówisz? Dlaczego mnie nie uderzysz? Dlaczego?! No, mów! - Nagle ogarnęło ją przerażenie.

- Maurycy...! Co ty chcesz z nami zrobić. Maurycy!!

Spojrzał na nią obojętnie, jakby sennie.

-Nic.

Uspokajała się z wolna. Mogło się zdawać, że jest trochę rozczarowana zachowaniem się Maurycego. Poprawiła włosy i przeciągnęła szminką po wargach. Kiedy się znowu odezwała, głos jej już brzmiał inaczej.

- Słuchaj, to się musiało tak skończyć. Ja od dawna miałam cię dosyć. Chciałam ci to powiedzieć, ale jakoś ciągle odkładałam tę rozmowę. Nie lubię ludziom robić przykrości. Zrozum, ty nie jesteś dla mnie. My do siebie nie pasujemy. Co ja bym robiła z taką ciamajdą jak ty. Nie gniewaj się, ale to prawda. Czy myślisz, że ja bym wytrzymała tutaj, na tym poddaszu, z tymi twoimi kanarkami. Jesteś człowiekiem nie z tej ziemi. Przyznasz chyba, że ty nie nadajesz się dla mnie na męża. Czy nie mam racji?

- Masz rację - powiedział Maurycy.

- No widzisz - ucieszyła się Joanna. - Skoro i ty tak myślisz, to rozstańmy się jak dwoje dobrych przyjaciół. Nie gniewaj się, ale tak będzie lepiej. I dla mnie, i dla ciebie.

Wzruszył ramionami.

- Nie gniewam się.

Szybko włożyła płaszcz i beret.

- Jesteś kochany. Do widzenia.

- Odprowadzę cię - powiedział Krzysztof. Maurycy zastąpił mu drogę.

- Nie trzeba. Sama trafi. Ty zostaniesz tutaj. Mamy do pogadania.

Krzysztof cofnął się speszony. Rzucił szybkie spojrzenie na sztalugi, jakby szukając jakiejś broni. Wiedział, że gdyby doszło do walki...

Joanna wyszła. Maurycy zamknął za nią drzwi i zwrócił dziwnie spokojne spojrzenie na przyjaciela. Pod wpływem tego wzroku Krzysztof cofnął się jeszcze o krok i zaczął mówić szybko, nerwowo.

- Słuchaj, Maurycy... Ja wiem... Ja doskonale wiem, że... że nie powinienem... że jestem... że jestem Świnia, że tak... Jato wszystko rozumiem. Masz prawo bić mnie w mordę...- Oczywiście... No bo... no bo właściwie... Ale widzisz... czasem... czasem tak się jakoś złoży... no tak bywa...

- Siadaj - powiedział Maurycy.

Krzysztof przysunął sobie krzesło i usiadł, ocierając zroszone potem czoło. Czuł się bardzo niewyraźnie. Widząc jednak, że Maurycy nie zabiera się do bicia, poczył z wolna odzyskiwać swą zwykłą pewnośc siebie. „Ta ofiara nawet w mordę nie potrafi dać - pomyślał - znowu przybrał impertynencko-drwiącą postawę.”

Maurycy siedział czas jakiś bez słowa. Wreszcie zwrócił ku przyjacielowi smutną, zatroskaną twarz. Powiedział:

- Myślę, że po tym, co się stało, nie możemy razem mieszkać. Głos miał łagodny, spokojny. Krzysztof już całkowicie odzyskał swój tupet.

- Chcesz się wyprowadzić? - spytał.

Maurycy, zaskoczony taką bezczelnością, zaniemówił.

- Sądziłem... sądziłem, że ty się wyprowadzisz - bąknął speszony. - Przecież to jest moje mieszkanie, więc...

Krzysztof czuł, że zaczyna panować nad sytuacją. Uśmiechnął się protekcyjnie.

- Mój drogi, gdzie ty chcesz, żebym się wyprowadził? Wiesz przecież, że o mieszkanie nie jest tak łatwo w Warszawie. Zresztą znakomicie odpowiada mi ten lokal. Mam dobre światło, do Akademii niedaleko...

- Mógłbyś wrócić do ojca - próbował perswadować Maurycy. Krzysztof potrząsnął głową.

- To niemożliwe. Ojciec nie chce mnie widzieć. A poza tym znowu by się zaczęło z Leną. Wiesz, co to za babka. Nie, nie, mój drogi. Nie mam zamiaru nigdzie się wyprowadzać, przynajmniej na razie.

Maurycy spojrział na niego bezradnie.

- Więc jak ty sobie to właściwie wyobrażasz?

- Zwyczajnie. Będziemy mieszkać, tak jak żeśmy mieszkali i koniec.

- O, nie! To nie może być. Ja nie mogę z tobą razem mieszkać! Nie mogę na ciebie patrzeć. Nie chcę!

Tyle było w tym wykrzykniku jakiegoś dziecięcego uporu, że Krzysztof aż się roześmiał.

- Wspaniały jesteś. No cóż... Jeżeli nie możesz na mnie patrzeć, to rzeczywiście będziesz się musiał wyprowadzić. Ja się stąd nie ruszę. Jestem zameldowany i nie możesz mnie wyrzucić.

Maurycy wstał i energicznym ruchem obciągnął marynarkę.

- Dobrze. Ja się wyprowadzę. Nie wiedziałem, że jesteś taka Świnia.

Włożył płaszcz i szybko zbiegł po schodach. Dusił go łzy, które musiał wypłakać. Zbyt nagle się to wszystko stało. Zbyt brutalnie z nim postąpiono. W jednej chwili stracił dziewczynę, którą kochał, i przyjaciela, któremu ufał. Już nieraz spotkał się z ludzką podłością, a przecież ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć w to, że ludzie są źli. Zbyt szybko zapominał o wyrządzonej mu krzywdzie i gdy patrzył w nową twarz, znowu wierzył. Pierwszajego dziewczyna okazała się złodziejką i prostytutką. Okradła go i wyśmiała. A teraz Joanna. Tak bardzo ją kochał, że naprawdę nie wyobrażał sobie życia w tym mieście, w którym każda ulica, każdy dom, każde drzewo przypominało mu ją. Dlaczego to zrobiła? Przecież mówiła, że go kocha, mieli zostać mężem i żoną... Dlaczego kłamała? Przecież mogła mu wszystko szczerze powiedzieć, mogła powiedzieć, że pokochała Krzysztofa. Jak teraz żyć? Jak żyć z tą myślą, że już nie ma Joanny? Wyjechać. Wyjechać z tego miasta, gdzie ludzie są źli, podli. Wróci do ojca do lasu, zapomni. Nonsens, przecież w przyszłym roku ma zdawać dyplomowy egzamin. Miałby rzucić wszystko, zmarnować tyle lat ciężkiej pracy?

Łzy spływały mu po policzkach. Czuł słony smak w ustach. Przystanął na rogu Ordynackiej i wytarł chustką mokrą twarz. Nagle przeraził się. Co z kanarkami? A jeżeli Krzysztof pójdzie

gdzieś na wódkę, a potem po pijanemu upiecze biedne ptaszki? Trzeba je jak najprędzej stamtąd zabrać. Maurycy nie myślał o tym, gdzie sam spędzi tę noc, gdzie będzie mieszkał, ale los kanarków napełnił go straszliwym niepokojem. Nagle wzrok jego padł na przechodzącą obok dziewczynę, podobną do Teresy. Teresa! Ależ oczywiście! Trzeba do niej zaraz zadzwonić. Ona na pewno mu pomoże...

Podniecony tą myślą ruszył w kierunku kawiarni „Nowy Świat”. Niestety, drzwi już były zamknięte. Pobiegł dalej Krakowskim Przedmieściem. Pamiętał, że przed Uniwerkiem jest automat telefoniczny.

Na szczęście budka była pusta. Nerwowo poszukał w kieszeni pięćdziesięciu groszy. Dłuższą chwilę nikt nie odbierał telefonu. Maurycego poczynała ogarniać rozpacz.

Czyżby nikogo nie było w domu? Wyjechali? Może są w teatrze? Wreszcie jednak posłyszał głos Teresy.

Drgnął i mocniej ścisnął w rękę słuchawkę.

- Tereniu, to ty? Tu Maurycy. Bardzo ważna sprawa. Musisz mi pomóc. Nie wiem co robić. Musisz mi pomóc.

- Ale o co chodzi? Nic nie rozumiem.

- Muszę natychmiast. Rozumiesz? Natychmiast muszę przywieźć do ciebie moje kanarki.

- Kanarki?

- Tak. Wszystkie moje kanarki. Tylko na tę noc. Błagam cię. To bardzo ważne. Jutro może być za późno. Tylko na jedną noc. Błagam cię, Tereniu, pomóż mi.

Roześmiała się.

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiem, ale jak chcesz, to przywieź te kanarki. Maurycy wypadł z budki telefonicznej, potracił jakiegoś zażywnego jegomościa i popędził w kierunku „Bristolu”. Tam najłatwiej mógł znaleźć taksówkę.

Szofer niechętnym spojrzeniem obrzucił zadyszanego młodzieńca, ale bez słowa zgodził się jechać na Powiśle.

Gdy zajechali na miejsce, Maurycy przeskakując po dwa stopnie, pobiegł na górę. Wyobrażał już sobie Krzysztofa skubiącego jego kanarki.

Krzysztofa nie było. Maurycy chwycił klatki i zbiegł do

taksówki. Musiał obracać dwa razy.

Szofer patrzył na niego zdumiony.

- Coś pan, panie? Ogród zoologiczny mi pan w taksówce zakładasz?

- Nic panu nie powalam - powiedział uspokajająco Maurycy.

- Dokąd jedziemy?

- Na Londyńską. Na Saską Kępe.

Teresa czekała na niego. Była zdziwiona i zaintrygowana tym wszystkim. Kiedy już ulokowali klatki z kanarkami, spytała:

- Co się właściwie stało? Zawaliła się ta twoja rudera?

Maurycy odsapnął i otarł spocone czoło. Rozejrzył się.

- Sama jesteś w mieszkaniu?

- Rodzice wyszli na brydża. Wrócą późno.

- To dobrze. Mam nadzieję, że potrafisz im to wytłumaczyć.

Nie chciałbym, żebyś miała jakieś przykrości z powodu moich kanarków.

Wzruszyła ramionami.

- Nie bądź dziecinny. Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Co się stało? Dlaczego tak nagle musiałeś uciekać z kanarkami ze swego mieszkania?

Maurycy miał niewyraźną minę.

- Widzisz... tak się złożyło. Pokłóciliśmy się z Krzysztofem i dlatego...

- Zwariowałaś? Pewnie poszło o jakieś głupstwo.

- Nie, nie... to nie było takie głupstwo. Wolałbym o tym nie mówić.

-Jak nie, to nie. Nie myśl, że jestem ciekawa waszych „tajemnic”. I nie masz zamiaru wracać na noc do domu?

- Nie.

- A gdzie będziesz spał?

-Jeszcze nie wiem. Zaśmiała się.

- No wiesz, że ty jesteś kapitalny. Zupełne dziecko. Kłócisz się o jakieś głupstwo z Krzysztofem, zabierasz kanarki i uciekasz, nie zastanawiając się nawet nad tym, gdzie będziesz nocował.

Patrzył na nią chmurnie. Rzeczywiście, o tym nie pomyślał.

-Jakoś sobie poradzę -mruknął.

Niecierpliwym ruchem odgarnęła z czoła jasny kosmyk włosów i spojrzała na zegarek.

- Dziesięć po jedenastej. Gdzież ty teraz będziesz szukał noclegu. Prześpisz się u nas. Był zaskoczony.

- A twoi rodzice?

- Bądź spokojny. Na pewno się zgodzą. Już ja im potrafię wszystko wytłumaczyć. Potrząsnęła głową.

- Nie, nie, to byłoby dla mnie zbyt kłopotliwe.

W tym momencie odezwał się Caruso. Zaskoczony zmianą sytuacji i jaskrawym światłem, począł uderzać nerwowo skrzydełkami i ćwierkać coraz donośniej, wreszcie rozśpiewał się na dobre. Niebawem poszli za jego przykładem Kuba i Wituś, jedynie Dyzio siedział nastroszony i milczący. Najwidoczniej nie podobała mu się ta przeprowadzka.

Teresa poruszyła się niespokojnie.

- Czy one tak całą noc? - spytała. Maurycy uśmiechnął się i podszedł do klatek.

- Nie. W nocy śpią doskonale.

-I co ty z nimi zrobisz? Jednego czy dwa mogę ostatecznie wziąć na przechowanie, ale siedem...!

- No cóż... Będę musiał rozparcelować je jakoś pomiędzy kolegów.

- Ty naprawdę nie masz zamiaru wrócić do swego mieszkania?

-W żadnym wypadku. Przynajmniej dopóki tam Krzysztof mieszka.

- Przecież to twoje mieszkanie! Krzysztofa przygarnąłeś. Jak to się stało, że on został, a ty się musiałeś wyprowadzić?

Maurycy zmieszał się.

- Widzisz... tak się złożyło... Bo... bo właściwie... A zresztą to są sprawy między nami dwoma - dodał energiczniej, pragnąc przerwać rozmowę na ten temat.

Uśmiechnęła się.

- Oj, Maurycy, Maurycy... Ty się już chyba nigdy nie zmienisz. Zawsze każdy cię wykołuje. Ale nie przypuszczałam, żeby Krzysztof... No chodźże, siadaj. - Pociągnęła go w kierunku stołu. - Może jesteś głodny. Zaraz dam ci coś

dojedzenia.

- Nie, dziękuję bardzo - bronił się bez przekonania. - Co powiedzą twoi rodzice, jak mnie tu zastaną u ciebie o tej porze?

- Spokojna głowa. Nic nie powiedzą. A zresztą ty nie wyglądasz na uwodziciela. Roześmiała się i pobiegła do kuchni. Nie domyślała się nawet, jaką przykrość zrobiła mu ostatnią uwagą. „Nie wygląda na uwodziciela...” No cóż... widocznie tak już musi być. Żadna dziewczyna nie bierze go poważnie. Nawet Teresa uważa, że nie można

go traktować jak mężczyznę. Nic sobie z tego nie robi, że rodzice zastaną ją sam na sam z nim o tak późnej porze. Wstał, podszedł do lustra, wiszącego między oknami. Zobaczył okrągłą, rumianą twarz i duże, niebieskie oczy patrzące z naiwnością dziecka. Ciemna czupryna, ostrzyżona na długiego jeża, sterczała niesfornie ku przodowi, nadając jej właścicielowi wyraz nieustającego zdziwienia. Wyglądał na osiemnaście lat, a przecież skończył już dwadzieścia cztery. Był dorosłym mężczyzną.

- Cóż to? Podziwiasz swoje wdzięki? Odwrócił się gwałtownie.

- Nie, nie - bąkał zawstydzony. - Pryszyk... zrobił mi się pryszyk, o tu...

Teresa zaśmiała się. Postawiła na stole chleb, masło i szynkę.

- Siadaj i wcinaj. Zaraz przyniosę herbatę.

Patrzył na nią zakłopotany. Był wściekle głodny, ale zdawał sobie sprawę z tego, że nie powinien tu dłużej pozostać.

- Może jednak ja już sobie pójdę - powiedział niepewnie, rzucając szybkie spojrzenie na szynkę.

Posadziła go siłą na krześle.

- Nie zawracaj głowy, siadaj i jedz, jak ci dają. Nic się nie bój. Moi starzy są w dechę. Siadaj.

Świeżutka szynka nęciła wzrok. Maurycy poczuł, że ma pełne usta śliny. Nie wahał się dłużej. Teresa przyniosła szklanekę mocnej herbaty.

- Popij, bo się zatkniesz - powiedziała.

Poruszył mocniej szczękami i mruknął niewyraźnie: -Uhm.

Od obiadu nic nie miał w ustach, a nerwowe przeżycia

ostatnich godzin spotęgowały apetyt.

- A co jedzą twoje kanarki? - spytała Teresa.

- Różne rzeczy. Daję im jabłka, biszkopty, w lecie sałatę. Można dawać siemię lniane, osasepię. To takie specjalne pożywienie dla kanarków, sporządzone z ryby.

- Czy to wszystko samczyki?

- Nie, skądże. Trzy samiczki i cztery samczyki. Caruso, ten pomarańczowy, nie ma

pary. Żabcia zdechła zeszłej zimy

- Dlaczego nie trzymasz ich parami? Byłoby im weselej.

- Nie śpiewałyby. Paruje się dopiero na wiosnę.

-Ja chcę mieć u siebie Carusa. Podoba mi się. Taki ma dziwny kolor.

-Jest bardzo mądry. Na pewno go polubisz. Zostawię u ciebie jego i trzy samiczki, Kleopatrze, Cizię i Kasię. Wsadzę je do jednej klatki, żeby mniej miejsca zajmowały. Chcesz? Będę przychodził czyścić klatki. To tylko przejściowo, oczywiście. Zanim się nie urządzę. Widzisz, ty może tego nie rozumiesz, aleja bardzo się przywiązałem do tych kanarków. Chciałbym, żeby się dostały w dobre ręce.

Zadzwiećwał dzwonek.

- To pewnie rodzice. Widocznie tatuś zapomniał kluczy. Zaczekaj chwilę.

Profesor Kozieski wyglądał raczej na dyplomatę aniżeli na człowieka nauki. Wysoki, szczupły, lekko pochylony, miał twarz chłodną, o regularnych, trochę zbyt ostrych rysach. Ubierał się niezwykle starannie, a nawet z pewnego rodzaju przesadną elegancją i niczym nie potwierdzał ogólnie przyjętej teorii o roztargnieniu uczonych i ich przysłowiowej niechęci do porządku. Przeciwnie, był niesłychanie pedantyczny, a z biegiem lat to jego zamięłowanie do drobiazgowości stało się prawdziwą kleską nie tylko dla domowników, ale i dla studentów, którzy drżeli na myśl o oczekujących ich egzaminach.

Pani profesorowa różniła się dość zasadniczo od swego małżonka. Miała usposobienie żywe, towarzyskie, mówiła chętnie i dużo, nie zawsze zastanawiając się nad skutkiem

wyrzucanych przez siebie słów. Była postawna, przystojna, ale już zaczynała tyć. Teresa odziedziczyła po matce zaokrąglone kształty, pogodę ducha i dużą łatwość w obcowaniu z ludźmi. Ojciec obdarzył ją mocnym charakterem i uporem, z jakim konsekwentnie dążyła do raz obranego celu. Maurycy przywitał się i stanął z boku bardzo zażenowany. Nigdy nie wiedział, co począć z długimi rękami, które zawsze jakoś niepotrzebnie dyndały mu się wzdłuż korpusu. Najchętniej wsunąłby je do kieszeni spodni.

Pani Kozieska powitała go z wylewną serdecznością.

- Dobry wieczór, panie Maurycy. Jak się pan ma? Bardzo się cieszę, że nas pan odwiedził. Co pan porabia? Dawno już nie widzieliśmy pana. Podobno się pan ożenił. Winszuję, winszuję. Kiedyż nam pan przedstawi swoją żoneczkę?

- Ależ mam - przerwała Teresa. - To Michał się ożenił, a nie Maurycy. Michał Śliwiński.

Niespieszona tą uwagą profesorowa mówiła dalej nieprzerwanie.

-A, prawda, prawda. Masz rację, kochanie. Michał, naturalnie, że Michał, Michał... Maurycy... Widocznie coś mi się pokręciło. Bardzo pana przepraszam. Właśnie słyszałam, to znaczy... powiedziała mi Terenia, że ma pan jakieś trudności. Ależ oczywiście, że może pan u nas przenocować. Pościelimy panu w tym pokoiku koło gabinetu męża. Może nie będzie panu zbyt wygodnie na kanapce, ale młodzi ludzie...

Maurycy uklonił się niezgrabnie.

- Przepraszam. Ja doprawdy... ja nie miałem zamiaru robić państwu takiego kłopotu. To wina Teresy. Właściwie prawie siłą mnie zatrzymała. Przykro mi...

- Ależ drogi panie... Dlaczegoż miałoby być panu przykro? To doprawdy żaden kłopot. Prześpi się pan i nie ma o czym mówić. Po prostu nie ma o czym mówić. Czy nie jest pan głodny? Zaraz zrobimy herbatkę.

- Dziękuję, ale już mnie Teresa nakarmiła. Kozieski zwrócił się do żony:

- A gdzie to Julcia?

- Pozwoliłam jej dzisiaj wyjść. Urządzają składkowe

imieniny czy coś w tym rodzaju. Zanocuje u przyjaciółki.

Teresa przyniosła Maurycemu pościel i zaprowadziła go do jego zaimprovizowanej sypialni.

- Nie bądź taki przerażony - powiedziała ze śmiechem. - Wyglądasz tak, jakby ci się lada chwila miało przytrafić nieszczęście. Tata cię nie połknie. Zapewniam cię. Maurycy wziął piżamę profesora i zrezygnowany pomaszerował do łazienki.

Kiedy się wyciągnął na wąskiej kanapce i zgasił światło, znowu wróciły wspomnienia przeżytych niedawno chwil. Nie mógł po prostu uwierzyć, że to wszystko naprawdę się zdarzyło, że Joanna... że Krzysztof... Przewracał się z boku na bok. Wreszcie zapadł w niespokojny, gorączkowy sen, pełen widziadeł.

Obudził się zlany potem. Było ciemno i cicho. W pierwszej chwili nic mógł sobie uświadomić, gdzie jest i co się z nim dzieje. Dotknął ceraty, którą była pokryta kanapka. Chłód śliskiej powierzchni otrzeźwił go trochę.

Ale dlaczego właściwie się obudził? Czy dlatego, że miał przykre sny? Z wolna do jego świadomości poczęło docierać uczucie, że coś go obudziło, coś z zewnątrz. Podniósł się i wsparty na łokciu począł uważnie nasłuchiwać. W mieszkaniu nie było tak zupełnie cicho, jak to mu się pierwotnie zdawało. Drzwi, prowadzące do gabinetu, były leciutko uchylone. To stamtąd dochodziły go dziwne szmery. Czyżby profesor? Cóż by tam robił w środku nocy? A nawet gdyby czegoś szukał, to przecież zapaliłby światło. Szpara pomiędzy drzwiami była czarna. A jednak tam się coś działo, po ciemku.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie wysunął nogi spod kołdry i bosymi stopami dotknął posadzki. Sam właściwie nie wiedział, dlaczego się skrada. Może panujące ciemności działały na niego tak sugestywnie, a może instynkt kazał mu się poruszać bezszelestnie. Wolno zbliżył się do drzwi i zajrzał przez szparę.

Okno było otwarte. Profesor Koziński stał w szlafroku i szeptem rozmawiał z drobnym, szczupłym mężczyzną, którego blada twarz w poświacie księżyca wyglądała jak twarz trupa. Słów Maurycy nie mógł dosłyszeć. Mówili bardzo cicho,

pochyliwszy ku sobie głowy.

Po chwili mężczyzna o trupim wyglądzie skinął głową profesorowi, powiedział coś jeszcze i - nie spiesząc się - wyszedł przez okno, które profesor zamknął z zachowaniem wszelkich ostrożności.

Maurycy błyskawicznie wrócił na swoje posłanie. Był zupełnie oszołomiony tym, co zobaczył.

Lekko skrzypnęła podłoga. Poderwał się. Poczul zimny dreszcz w okolicy kręgosłupa. „Czegóż ja się boję, do diabła?” - próbował się uspokajać. Drzwi otworzyły się szerzej. Wszedł profesor. Stał, jakby się wahał. Wreszcie pochylił się i szepnął:

- Panie kolego... Panie kolego... Maurycy usiadł gwałtownie.
- Słucham, panie profesorze? Co się stało?
- Ciiicho. Niech pan nie krzyczy. Nie chcę, żeby się ktoś obudził.

- Dobrze - powiedział Maurycy. Profesor przysiadł koło niego na kanapie.

- Mam do pana wielką prośbę, bardzo wielką prośbę.

- Słucham, panie profesorze.

- Może się to panu wyda dziwne. Oczywiście, że to się panu wyda dziwne, ale... czy chce mi pan wyświadczyć ogromną przysługę?

- Oczywiście.

- Sprawa jest właściwie prosta. Weźmie pan tę kopertę i zawiezie pan pod wskazany adres - Kozieski wyjął z kieszeni szlafroka kopertę oraz dwie stuzłotówki. - Ma pan tu dwieście złotych. Na rondzie złapie pan taksówkę i pojedzie pan na Żoliborz. Odda pan tę kopertę i natychmiast pan wróci. Ma pan tu klucze od mieszkania. Albo nie... Lepiej, żeby pan nie wracał. Do rana już niedaleko. Jakoś się pan przemęczy. Przykro mi, że przeze mnie się pan nie wyśpi.

- Ależ to głupstwo, panie profesorze - zapewnił żywo Maurycy. - Nic mi się nie stanie. Jeżeli tylko mogę być w czymś pomocny, to... Kozieski mocno uściśnął mu dłoń.

- Dziękuję panu, panie kolego. Byłem pewny, że mogę na pana liczyć.

Maurycy energicznie wyskoczył spod kołdry i począł się pośpiesznie ubierać. Imponowało mu to, że profesor powierza mu jakąś ważną i odpowiedzialną misję. Noc i tajemniczość dodawały jeszcze uroku całej sprawie.

Na palcach podkradli się do drzwi wejściowych i profesor ostrożnie odsunął zasuwę.

- Jeszcze raz bardzo panu dziękuję - szepnął.

Ulica była pusta. Żółte światło latarni kołysało się nad asfaltem. W oddali dźwięczał nocny tramwaj. Maurycy wzdrygnął się. Poczłł przejmujący chłód. Zapiął starannie płaszcz i szybkim, zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku ronda. Nie przeszedł jednak stu metrów, gdy zza rogu wyjechała wolna taksówka. Podniósł rękę. Warszawa zatrzymała się tuż koło niego i szeroka czerwona twarz szofera wychyliła się z wozu.

-A pan gdzie chciał jechać?

- Na Żoliborz.

- To kawał drogi. Forbę na nocny kurs pan masz?

- Mam - Maurycy pokazał dwie stuzłotówki.

- Dobra. Siadaj pan. Ale nie z tyłu. Tu, koło mnie.

Maurycy usiadł posłusznie. Pragnął jak najprędzej wykonać powierzone mu zadanie. To musiało być coś bardzo ważnego. Profesor dopuścił go do tajemnicy, uznał, że można mu zaufać. Może być zupełnie spokojny. Na pewno się nie zawiedzie.

Mijali Pałac Kultury. Maurycy, w poczuciu własnej ważności, wyprostował się dumnie i bystrym wzrokiem spoglądał na miasto. Bo jeżeli profesor Kozieski obudził go w nocy i wysłał z tym listem, to nie mogła być jakaś bagatelka. Parokrotnie dotknął koperty ukrytej w wewnętrznej kieszeni płaszcza. W tej chwili nie myślał o Joannie i o swej tragicznej miłości. Tamte przeżycia ustąpiły na dalszy plan wobec misji, którą miał teraz do spełnienia.

- Na Żoliborzu gdzie zajdziemy? - spytał szofer.

- Na Kaniowską.

- Będzie pan wracał? -Będę.

Taksówkarz przyjrzał się uważniej swemu pasażerowi. Miał duże doświadczenie, ale nie mógł zrozumieć, po co ten chłopak

jedzie o trzeciej w nocy z Saskiej Kępy na Żoliborz. Był zupełnie trzeźwy, nawet wódki od niego nie było czuć. Więc nie z żadnej popijawy.

- Pewnie pan do narzeczonej tak zasuwa?

- Nie - odparł krótko Maurycy. Nie miał zamiaru wdawać się w rozmowę z tym człowiekiem.

Szofer wzruszył ramionami i nacisnął gaz. Zatrzymali się przed niedużym domkiem, stojącym w ogrodzie.

- Zaczekać na pana?

- Proszę. Niech pan zaczeka.

- Ale za kurs to wolałbym dostać teraz. Różnie bywa. Czasami pasażer zapomni wrócić. Niech się pan nie obraża, ale mnie już się tak trafiło. Gdzie tam potem kogo po nocy szukać?

Maurycy zapłacił. Podszedł do żelaznych sztachet i przez chwilę patrzył w ciemne okna.

- To tutaj - szepnął do siebie i pchnął furtkę. Po paru kamiennych schodkach wchodziło się na mały ganek. Maurycy starannie wytarł buty o bardzo zniszczoną słomiankę i poszukał dzwonka. Zawahał się. A może lepiej nie dzwonić? Może zapukać? Wyobraził sobie, jak wrzaskliwie odezwie się w ciszy nocnej dzwonienie. Już miał delikatnie zastukać, gdy nagle spostrzegł, że drzwi są uchylone. Zdumiał się. Któż na noc zostawia otwarte drzwi? Zrobiło mu się jakoś niewyraźnie. Nie wiedział, jak właściwie ma postąpić. Stał chwilę, przestępując z nogi na nogę, aż wreszcie podjął decyzję. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Otoczyła go ciemność. Chrząknął. Nikt się nie odezwał. Zakaszłał. Milczenie. Pomacał ścianę i znalazł wyłącznik. Zabłysło światło. Przedpokój był nieduży. W lustrze Maurycy zobaczył swą bladą, niespokojną twarz. Począł nasłuchiwać. W mieszkaniu nikt się nie poruszył. Co robić? Miał wielką ochotę zostawić list profesora i uciekać. Opanował się całą siłą woli.

Podszedł do drzwi prowadzących do reszty mieszkania. Patrzył na nie z wahaniem. Wreszcie zapukał delikatnie. Cisza. Zapukał trochę mocniej. Nikt się nie odezwał. Ostrożnie położył rękę na klamce. Drzwi nie były zamknięte na klucz. - Czy jest tu kto? - spytał i przestraszył się własnego głosu. Pokój

był ciemny Światło, padające z przedpokoju, wydobywało z mroku niewyraźne kształty umeblowania. Maurycy wszedł na palcach, jakby się skradał. Gdy oczy jego przywykły do ciemności, spostrzegł coś, co napełniło go przerażeniem. Poczul, jak zimne kleszcze chwytają go za gardło, a nogi odmawiają posłuszeństwa. Rozpaczliwym ruchem pomacał ręką przy drzwiach i przekreślił wyłącznik.

Koło niskiego tapczanu, na dywanie, leżało ciało szczupłego mężczyzny. Z lewej strony piersi tkwił, wbity po rękojesć, sztylet. Wąska struga krwi czerwieniła się na wykrochmalonym gorsie białej koszuli. Maurycy spojrział w martwą twarz Krzysztofa.

ROZDZIAŁ II

Powszechnie utarła się opinia, że Maurycy to porządny chłopak, ale cholerna dusza. Ile w tym jędrnym określeniu kryło się prawdy, trudno dociec, nie ulegaj ednak wątpliwości, że koledzy owego dziwnego młodzieńca mieli pewne podstawy po temu, aby traktować go z protekcyjnym uśmiechem oraz z pobłażliwością, z jaką ludzie nieraz się odnoszą do osobników, kontrastujących ze swym otoczeniem. W wypadku Maurycego kontrast ten był tak jaskrawy, iż mogło się zdawać, że to któryś z naszych przodków, dziwnym zrzędzeniem losu, pojawił się nagle w drugiej połowie dwudziestego stulecia.

Dużymi niebieskimi oczami patrzył ufnie na otaczających go ludzi. Każdy wiedział, że kogo jak kogo, ale Maurycego zawsze można nabrać na forszę. Oddawał wszystko, co miał, wierząc za każdym razem, że to jest naprawdę krótkoterminowa pożyczka. Nigdy się też nie troszczył o to, że sam zostanie bez grosza i że nie będzie miał na obiad. Cóż go to mogło obchodzić, kiedy właśnie w tym momencie jego kolega potrzebował pieniędzy, a on je miał w kieszeni. Staszek Kuźma, doprowadzony nieraz do rozpaczai naiwnością i lekkomyślnością przyjacielai, krzyczał:

- Do wszystkich diabłów! Gdzie żeś się, ty frajerze, taki uchwalał?

- W lesie - odpowiadał spokojnie Maurycy

I to była prawda. Wyrósł i wychował się w lesie.

Matki nie pamiętał. Jego ojciec, dziwak i marzyciel, skończył filozofię, a następnie studiował leśnictwo i wreszcie osiadł jako leśniczy w okolicy Muszyny.

Maurycy od razu zabłądził w gęstwinie życiowych trudności. Patrzył szeroko otwartymi oczami i nie rozumiał. Nie rozumiał, dlaczego chłopcy w szkole go biją, dlaczego drą mu książki i zeszyty i dlaczego potem nauczyciele gniewają się na niego za to, czego nie zrobił. Zawsze był winien. Dzieci są sprytnie i okrutne. Bardzo prędko zorientowały się, że Maurycyego można nie tylko bezkarnie bić, ale także można na niego zwalić każdą winę. Znalazły kozła ofiarnego, który był cichy, grzeczny i bezbronny. Nieraz pytał ze łzami w oczach:

- Dlaczego mnie bijecie? Co wam zrobiłem?

Zgraja odpowiadała śmiechem, drwinami, wyzwiskami. Gdy któregoś dnia wrócił do domu posiniaczony, z popod-bijanymi oczami, powiedział:

- Czy jesteś pewien, tatusiu, że ludzie są dobrzy? Warszawa oszołomiła go zupełnie. Tłum ludzi pędzących gdzieś w pośpiechu przed siebie, warkot samochodów, dzwonienie tramwajów, zgiełk, hałas, zamieszanie, wszystko to go ogłuszyło, przeraziło i odebrało odwagę.

W pierwszej chwili chciał zawrócić na dworzec i pierwszym pociągiem uciec do ojca i do leśnej ciszy. Przewyciężył się jednak.

To wielkie, wspaniałe miasto, widziane tyle razy we snach i na upiększonych fotografiach, wydało się Maurycemu smutne, brudne, ciemne i krzykliwe. Ludzie byli tu zdenerwowani, zapędzeni, źli, niechętni, a nawet wrogo do siebie nawzajem ustosunkowani. Panie, nie pchaj się pan, do jasnej cholery! No, co pan stoisz jak drąg? Widzieliście go, taki młody, a kobiecie miejsca nie robi. Cham, psiakrew. No panie...! Nie depczcie mi pan po nogach. Coś pan ze wsi, czy jak? Maurycy uśmiechał się życzliwie, uprzejmie, usprawiedliwiająco. Chciał powiedzieć wszystkim tym ludziom, że nie tylko jest ze wsi, ale z głębokiego, cichego lasu, że nigdy w życiu nie widział tramwaju i że nie wie, jak się należy zachować w tym dzwoniącym,

czerwonym pudle, w którym ludzie stłoczeni są jak śledzie w beczce. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Popychano go, potraćano, każdy miał do niego o coś pretensję. Widział wokół siebie same złe, nienawistne, brutalne twarze. Aż wreszcie stało się to, co się właściwie stać musiało: okradziono go, wyciągnięto mu z kieszeni wszystkie pieniądze.

Mieszkał już wtedy w domu akademickim przy placu Narutowicza. Wrócił z miasta bliski płaczu. Oczy miał pełne łez. Pieniądze, wszystkie pieniądze, które dał mu ojciec. I co teraz? Co teraz?

Koledzy wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Ależ z tego Borsuka łajza! Niech cię gęś kopnie, Moryś! I dużo ci rąbnęli?

- Wszystko - jęknął nieszczęsny chłopak.

- No, dobra, dobra. Nie płacz. Trzeba coś pokombinować. Nie masz ani graja?

- Nie. Wszystko...

- No to ci pożyczymy na depeszę. Musisz zatelegrafować do starego, żeby ci podesłał moniaki.

Tak też się stało. Maurycy wysłał rozpaczliwą depeszę do ojca, który przekazał mu telegraficznie pięćset złotych.

Czas płynął. Niebawem Maurycy zapomniał o swym fatalnym starcie w stolicy i znowu uśmiechał się życzliwie do ludzi, którzy go popychali w tramwaju, którzy go wypychali w sklepach z kolejek i przy każdej okazji wymyślali od kretynów, bałwanów i chamów.

Sporo czasu upłynęło, zanim począł rozumieć, co mówili jego koledzy. Początkowo nie miał pojęcia co to znaczy „ustawić cieżę na chatę” albo „wyrolować zaflitowanego piklafona”. Świat, w który wszedł, był dla niego zupełnie obcy, dziwny, mało zrozumiały. Jakże trudno było mu porozumieć się z kolegami. To wszystko, co ich bawiło, czym się pasjonowali, dla niego było zupełnie nieatrakcyjne, dalekie, niewarte zachodu. Nie lubił jazzu. Mógł natomiast całymi godzinami słuchać Bacha, Mozarta czy Chopina. Nie umiał tańczyć i nie czuł żadnej potrzeby, żeby się nauczyć. Z pewnym zdziwieniem patrzył na swych rówieśników, którzy z ponurym

wyrazem twarzy podrygiwali w takt hałaśliwej muzyki, szarpiąc brutalnie na wyciągniętej ręce blade dziewczyny. W tym tańcu było tyle jakiejś smutnej zawziętości, że to go napawało zdumieniem. Kiedy pierwszy raz poszedł do „Stodoły”, nachylił się do kolegi, z którym mieszkał w domu akademickim, i spytał:- Dlaczego on ją tak szarpie? Przecież o mało jej ręki nie wyrwie ze stawu?

Kolega ryknął śmiechem:

- A idźże, ty frajerze!

Podniósł się od stolika i po chwili szarpał niemiłosiernie jakąś wątłą blondynkę, uczesaną w koński ogon.

Tak, dziwne było to wszystko. A może dziwny był on, Maurycy. Robił wrażenie dużego, pijanego dziecka, błędzącego wśród gęstej mgły współczesności.

Któraś wieczoru na placu Narutowicza zgasło światło i dom akademicki utonął w ciemnościach. Z okien rozległy się wołania: „Leon, zapal światło!”. Dlaczego właśnie Leon miał zapalić światło i kim był osobnik, noszący to imię, nikt właściwie nie wiedział. Ponieważ ów legendarny Leon nie zapalał światła, jakiś pomysłowy student zapalił gazety i puścił płonący papier przez okno. Był wiatr. Kamienna studnia, utworzona przez bloki akademika, odegrała rolę komina. Mocny prąd powietrza porwał płonącą gazetę w górę i zaniósł ją w kierunku Ochoty. Rozległy się okrzyki zachwyту i niebawem inni mieszkańcy domu akademickiego poszli za przykładem kolegi, rzucając przez okna płonące papiery. Ogniste kule, gnane wiatrem, leciały na Ochotę. Nadaremnie próbowano uspokoić rozbawioną młodzież. Nie pomagały ani prośby, ani groźby. Wreszcie wezwano milicję i straż ogniową. Tak zwana rozróża przybrała gigantyczne rozmiary.

Wielu studentów zostało usuniętych z domu akademickiego, a niektórzy nawet musieli pożegnać się z uczelnią. Wyrzucono z akademika oczywiście i Maurycyego. Nie brał on żadnego udziału w tej ogniowej akcji, ale widziano, jak z jego pokoju rzucono płonące gazety i całą winę zwałono na niego. Koledzy umieli się sprytnie wykręcić.

To był straszliwy cios. Gdzie mieszkać? Co zrobić? Gdzie się

podziąć? Parę nocy spędził na dworcu. Był nieludzko zmęczony, zrozpaczony, zupełnie złamany. Nie wiedział gdzie pójść, kogo prosić o pomoc.

Po nieprzespanej nocy włókł się Alejami Jerozolimskimi i bezmyślnie skręcił w Nowy Świat. Poczł, że jest głodny. Wstąpił do baru mlecznego, wypił szklankę mleka i zjadł bułkę z masłem.

Szedł wolno w kierunku Świętokrzyskiej, gdy nagle wzrok jego padł na sklep ze zwierzętami. Przystanął i uśmiechnął się do ptaszków wesoło podskakujących za szybą wystawową. Pchnął drzwi. Wciągnął w nozdrza specyficzny zapach, wypełniający wnętrze sklepu. Papugi, kanarki, gołębie, morskie świnki, żółwie, złote rybki, a nawet wąż zaskroniec. Maurycy patrzył na te wszystkie żyjące istoty, przed oczami stanął mu rodzinny las i na chwilę zapomniał o mieszkaniowych kłopotach. Zatrzymał się dłużej przed klatkami z kanarkami.

- Lubi pan ptaki?

Drgnął i odwrócił się. Chudy staruszek uśmiechał się życzliwie.

- Lubi pan ptaki?

- Bardzo lubię - powiedział z przekonaniem Maurycy. Staruszek przyjrzał mu się uważnie, poprawiając na nosie binokle, pochodzące z jakiejś zamierzchłej epoki.

-Ja mam ładniejsze kanarki - szepnął. - Rzadko spotykane okazy. Może miałby pan ochotę obejrzeć?

Maurycy poczuł wielką sympatię dla tego miłego starszego pana. Nie chciał zrobić mu przykrości.

- Ogromną miałbym ochotę obejrzeć pańskie kanarki. Tamten spojrzał na niego niedowierzająco.

- Naprawdę? Nie żartuje pan?

- Ależ naprawdę. Dlaczegoż miałbym żartować? Bardzo lubię zwierzęta, a szczególnie ptaki.

- Wobec tego chodźmy - powiedział prędko staruszek, biorąc Maurycyego pod rękę. -A, prawda. Przepraszam. Nawet się panu nie przedstawiłem. Nazywam się Siewicki, Feliks Siewicki.

Maurycy uściśnął drobną, suchą dłoń i bąknął swoje

nazwisko. Był trochę zakłopotany tym spotkaniem i tą serdeczną zażyłością, jaką od pierwszej chwili okazywał mu dziwny staruszek.

Pan Siewicki, poprawiając sobie co chwilę nerwowym ruchem binokle, wyprowadził go na ulicę i pociągnął w kierunku Ordynackiej.

- To niedaleko, to zupełnie niedaleko. Zejdziemy sobie Tamką w dół, a potem to już parę kroków. Zobaczy pan, jak to bliziutko. Później może pan wsiąść w sto osiemnaście albo podejdzie pan sobie do dziewiątki. O, tędy, proszę bardzo. Teraz na lewo i w dół prościutko. To naprawdę zupełnie blisko.

Mówił prędko, nerwowo, jakby się bał, że Maurycy się rozmyśli.

Kiedy przybyli na miejsce, Siewicki z pewnym zakłopotaniem spojrział na ruderę, w której mieszkał.

- No cóż... pałac to to nie jest - uśmiechnął się, nadrabiając miną. - Ale pan rozumie... W pierwszym okresie trudno było o coś lepszego. Takie mieszkanie jak moje nazywało się wtedy luksusowym. Cóż... panie... wojna... wojna... powstanie. To nie żarty. Pan był wtedy małym dzieckiem. Nie pamięta pan. Daj Boże, żeby pan nigdy nie przeżył tego, co myśmy tu w Warszawie przeżyli. Straszne rzeczy... straszne. Ano... więc urządziłem się tu tymczasowo i tak już zostałem. Przyzwyczaiłem się, a o mieszkanie niełatwo. Trzeba mieć stosunki... pieniądze. Więc zostałem w tej rudercie. Boję się tylko trochę, gdzie się podzieję, kiedy ją zechcą rozbierać.

Sapał głośno, idąc po chwiejących schodach.

Mieszkanie było pod samym dachem, na strychu. Przedpokój, ubikacja, mała kuchenka i duży prostokątny pokój ze ściętymi mansardowo ścianami. Maurycy rozejrział się zaciekawiony. Wnętrze to robiło wrażenie pracowni malarskiej i przypominało jakieś zamierzchłe czasy cyganerii. Kilkanaście klatek z kanarkami wisiało na belkach i dużych hakach powbijanych w ściany.

Na widok swego opiekuna ptaki podniosły taką wrzawę, że trzeba było głośniej mówić, żeby je przekrzyczeć.

- Otóż i moi wychowankowie - powiedział dumnie pan

Siewicki, wskazując ręką piękne okazy turkotów, trajkotów i ciapaków.

- Widzi pan, jak się za mną stęskniły Przemile ptaszyny. Jakże ich nie kochać? Niech pan spojrzy na tego pomarańczowego samca, to sławny Caruso. Takiego śpiewaka nie znajdzie pan dzisiaj w całej Warszawie, ba... w całej Polsce. Wspaniały. Albo proszę popatrzeć na Kleopatrze. Czy nie piękna? Jakie upierzenie, jaki błysk oczu. Czy pan myśli, że ona się będzie zadawać z byle samcem, z byle jakim ciapakiem? Skądże znowu. Ma arystokratyczne gusty. Paruję ją przeważnie z Carusem. Tamta młodzież to właśnie po nich. Bardzo udane trzy samiczki i cztery samczyki. Na pewno będą z nich pierwszorzędni śpiewacy... Ale niechże pan siada, proszę bardzo. - Szybkim ruchem wytarł drewniany taboret i podsunął go gościowi.

Maurycy usiadł. Z zaciekawieniem popatrywał to na kanarki, to na starego, który kręcił się pomiędzy klatkami, rozdzielając jedzenie, zmieniał wodę w miseczkach, gwizdał, cmokał, świergolił, rozmawiał ze swoimi pupilami jak z dziećmi. Było coś bardzo wzruszającego w tym zasuszonym, małym staruszką zakochanym w swych ptaszkach. Widać było, że są dla niego całym światem, że wypełniają mu życie i że ich maleńkie istnienia są nierozzerwalnie związane z jego istnieniem. Był sam. Nie miał kogo obdarzyć tą miłością, tym wielkim gorącym uczuciem, które nosił w chudej, zapadniętej piersi.

- Podobają się panu moje kanareczki?

- Bardzo. Jestem zachwycony. Staruszek spojrzał na niego przyjaźnie.

- Jeśli tylko będzie pan miał ochotę, to bardzo proszę, w każdej chwili może pan przyjść do mnie, odwiedzić moje ptaszki. Bardzo, bardzo będę panu rad. Czy daleko pan mieszka?

Maurycy zmieszkał się. Był wściekły na siebie, że znowu się zaczerwienił.

- Właściwie... właściwie... na razie nigdzie.

- Jak to, nigdzie pan nie mieszka? - zdziwił się pan Siewicki.

- Tak... tak się jakoś złożyło... Na... na razie. Staruszek

poprawił na nosie binokle i bystro spojrział na mówiącego.

- Nie rozumiem. Niech mi pan powie prawdę, młody człowieku. Nie ma pan gdzie mieszkać?

- W tej chwili nie.

- A do tej chwili gdzie pan mieszkał?

- W domu akademickim na placu Narutowicza.

- I wyrzucili pana?

- Właśnie... Bo...

- Hm... - Siewicki zdjął binokle przetarł je dokładnie. - Nie wygląda pan na chuligana. To chyba musiało być jakieś nieporozumienie.

- Skrzywdzili mnie! Strasznie mnie skrzywdzili - wybuchnął Maurycy. Łzy napłynęły mu do oczu. Był bliski płaczu.

Pan Siewicki podszedł do niego, położył mu rękę na ramieniu i powiedział łagodnie.

- Spokojnie, mój drogi, spokojnie. Niechże mi pan opowie, jak to było.

Maurycy, pod wpływem tego serdecznego gestu, opowiedział całe zajście. Mówił szybko, chaotycznie, nerwowo, jakby chciał jak najprędzej wyrzucić z siebie cały żal i gorycz, która napełniała mu serce. Kiedy skończył, odetchnął z widoczną ulgą. Staruszek słuchał bardzo uważnie, nie przerywając ani jednym słowem. Dopiero gdy opowieść dobiegła końca, odezwał się cichym, równym głosem:

- Tak, postąpiono z panem podle. I gdzie pan się podziewał przez te kilka ostatnich nocy?

- Chodziłem po mieście. Spałem na dworcu.

- Czy chciałby pan zamieszkać u mnie?

Maurycy podniósł oczy i patrzył zmieszany, zaskoczony. - Jak to? Jak to u pana? Pan Siewicki uśmiechnął się.

- No, tak całkiem zwyczajnie. Mam tu zapasowe łóżko polowe. Znajdzie się jakiś koc, poduszka. Luksusu tu pan nie znajdzie, ale zawsze lepiej niż na dworcu. No cóż, zgoda. Bardzo się będę cieszył, jak pan u mnie zamieszka, i moje ptaszki także będą rade. One już poczuły, że pan jest ich przyjacielem.

I tak się stało, że Maurycy zamieszkał z dziwnym

staruszkami i z jego kanarkami. Zaprzyjaźnili się bardzo prędko i było im razem dobrze. Odtąd na poddaszu oprócz śpiewu kanarków

rozbrzmiewały głosy dwóch mężczyzn, którzy prowadzili ze sobą niekończące się rozmowy i dyskusje. Znowu Maurycy znalazł się pod wpływem fantasty, marzyciela i romantyka.

Spośród licznej studenckiej gromady wybrał sobie tylko Staszka Kuźmę, z którym się zżył i bliżej zaprzyjaźnił.

Od razu jakoś przypadli sobie do serca i z biegiem czasu przyjaźń ta ugruntowywała się coraz bardziej. Po przygodzie w domu akademickim Maurycy niewątpliwie zwróciłby się o pomoc do przyjaciela, ale pech chciał, że właśnie w tym czasie Staszek pojechał do chorego ojca. Kiedy wrócił, Maurycy mieszkał już na Powiślu.

O wiele później Maurycy spotkał na swej drodze Krzysztofa. A spotkanie to miało charakter trochę sensacyjny.

Wczesnym popołudniem Maurycy poszedł w górę rzeki. Usadził się w nadbrzeżnych zaroślach i patrzył w zamyśleniu na szarozielone fale, na których słońce zapalało złotawe blaski. Nagle posłyszał krzyk, krzyk przerażenia i rozpacz. Ktoś tonął. Nie namyślając się, skoczył do wody. Dobrze pływał. Wyciągnął na brzeg na wpół przytomnego człowieka. Niedoszłym topielcem okazał się Krzysztof Wajchert.

Był malarzem. Kończył Akademię Sztuk Pięknych. Pragnąc się odwdziżyć za ratunek, postanowił uwiecznić swego wybawcę na płótnie.

Podczas długich godzin seansów malarskich dwaj młodzi ludzie zaprzyjaźnili się ze sobą serdecznie. Maurycemu imponował Krzysztof, a znowu Krzysztofowi imponowało to, że imponuje Maurycemu. Od pierwszej chwili wywierał duży wpływ na tego nieśmiałego, nieobytego chłopaka, i to go bawiło. Szarżował swym cynizmem i zaśmiewał się, widząc zmieszanie na twarzy przyjaciela.

Krzysztof miał tupet, bogatego ojca i ogromne powodzenie u kobiet. Przystojny, lubiący się bawić, bardzo wcześnie zaczął odgrywać rolę złotego młodzieńca. Rozbijał się samochodem, płacił słone rachunki w najdroższych lokalach, był częstym

gościem w Zakopanem, w Sopocie i w Krynicy. Umiał czarować kobiety, ale umiał też oddziaływać na mężczyzn, a tym bardziej na mężczyzn tak naiwnych i niedoświadczonych, jakim był Borsuk.

Tego samego roku Maurycego spotkał ciężki cios. Jesień przyszła mglista i słotna. Ulice zamieniały się w brudne bajora, a w aptekach z każdym dniem rosły kolejki. Grypa rozszalała się w Warszawie.

Pewnego wieczoru pan Siewicki począł narzekać na dreszcze i łamanie w kościach. Na drugi dzień już nie wstał z łóżka.

Maurycy troskliwie pielęgnował chorego. Sprowadził lekarza, biegał do apteki, nacierał chudego staruszka, słowem robił wszystko, co było w jego mocy. Lekarz kazał forsownie odżywiać chorego. Łatwo powiedzieć „forsownie odżywiać”, ale trzeba mieć za co. Zaczęli więc sprzedawać kanarki. Całe młode pokolenie poszło do ludzi. Wreszcie zostało tylko osiem kanarków: Kleopatra, Kasia, Cizia, Żabcia, Wituś, Dyzio, Kuba, no i sławny Caruso.

Nie pomogły jednak ani lekarstwa, ani forsowne odżywianie. Staruszek gasł w oczach, tracił siły i chudł, jeżeli to w ogóle było jeszcze możliwe. Któregoś dnia przytrzymał Maurycego za rękę i powiedział bardzo cicho:

- Nie sprzedawaj nigdy Carusa. Pamiętaj. Nigdy.
- Przecież pan wie, że bez pańskiej wiedzy nie sprzedam żadnego ptaszka - zapewnił Maurycy.

Pan Siewicki uśmiechnął się z trudem.

- To już koniec, kochanku. Przyszedł czas i muszę odejść. Na to nie ma rady. Wszyscy muszą odejść. - Powolnym ruchem wskazał klatki. - Teraz ty się będziesz nimi opiekował. Wiem, że nie zrobisz im krzywdy. Pamiętaj, że Caruso... Tak... tak... Szczęśliwy jestem, że cię spotkałem wtedy na Nowym Świecie. Pamiętajsz? Mogę spokojnie umrzeć, bo wiem... bowiem, że moje ptaszki zostaną w dobrych rękach. No, dajże spokój. Nie płacz. Nie... nie... nie płacz. Do czego to podobne. Czy kto kiedy widział, żeby borsuki płakały. Wiesz, to zabawne, ale przez te dwa lata pokochałem cię jak rodzzonego syna. No, nie płacz już, Maurycy... Nie płacz, chłopcze. Tak przecież musi być. To się

zawsze tak kończy.

I skończyło się. Za trumną starego przyjaciela kanarków szedł tylko Maurycy i dozorczyńni.

Przez najbliższe dni Maurycy chodził spuchnięty od płaczu. W żaden sposób nie mógł się oswoić z myślą, że już nigdy... że naprawdę już nigdy nie zobaczy pana Siewickiego, że nie posłyszycy jego głosu.

Kanarki, jakby coś rozumiejąc, siedziały w klatkach osowiałe i nie śpiewały. Karmił je, zraszając łzami biszkopty.

Któregoś dnia odwiedzili go Kuźma i Joanna.

- Co się z tobą dzieje, Borsuk? Przyszliśmy zobaczyć, czy jeszcze żyjesz. Nie przychodzisz na wykłady. Co się stało?

Ujrzawszy zboląłą twarz Maurycyego, zrozumieli. Joanna się rozczuliła, podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Biedaku.

Teraz często spotykali się z Joanną. Miała dobre serce. Pocieszała go. A on...? A on pomału, pomału zakochał się, znowu się zakochał. Wzruszyła go swą dobrocią i tym, że lubiła kanarki.

W niedzielę po południu spotkał na Krakowskim Przedmieściu Krzysztofa. Młody malarz twarz miał ponurą, był milczący i zamyślony. Zniknęła jego dawna beztroska i pewność siebie.

Maurycy przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, wreszcie spytał:

- Co ci jest? Źle się czujesz?

- Nie, nie. Mam kłopoty - odparł niechętnie Krzysztof i wyciągnął rękę na pożegnanie.

Maurycy nie wiedział, że przez te parę miesięcy w życiu Krzysztofa zaszły poważne zmiany. Jego ojciec ożenił się z młodą, piękną kobietą. Pani Lena, nieomal natychmiast po powrocie z Urzędu Stanu Cywilnego, postanowiła zmienić tryb życia zarówno swego nowo upieczonego małżonka, jak i jego wesołego synka. Zabrała się też energicznie do dzieła i - po upływie niedługiego czasu - Krzysztof został pozbawiony tych możliwości finansowych, którymi dotychczas dysponował. Zaczęły się przykre rozmowy, kłótnie i awantury.

Konflikt pomiędzy piękną macochą a lekkomyślnym pasierbem nie trwał jednak zbyt długo. Pani Lena zorientowała się niebawem, że kochany Krzysio nie musi przecież wydawać pieniędzy na romantyczne eskapady, jeżeli w domu rodzinnym... Ta zdrowa, z punktu widzenia ekonomicznego, koncepcja nie znalazła jednak uznania w oczach inżyniera Wajcherta. Sielanka nie trwała długo i skończyła się straszliwą awanturą.

Ktoregoś wieczora Maurycy leżał w łóżku i czytał Księgę miłości Kasprowicza. Był w romantycznym nastroju. Spędził z Joanną całe popołudnie. Coraz mocniej ją kochał, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że wreszcie spotkał dziewczynę, na którą czekał tak długo. Spotykali się teraz często, chodzili do kina, do kawiarni, na dalekie spacer, robili wspólne projekty, mówili o przyszłości. Joanna studiowała chemię. Była chyba najładniejszą dziewczyną na całej Politechnice.

Dochodziła dwunasta. Maurycy ziewnął, odłożył książkę i już miał zgasić światło, gdy nagle posłyszał stukanie. Zdumiał się. O tej porze? Kto to mógł być? Wygramolił się z łóżka i poszedł otworzyć. W drzwiach stał Krzysztof z walizką w ręku.

- Cześć Borsuk. Nie śpisz?

- Właśnie miałem zamiar pójść spać - powiedział Maurycy. Zatrzasnął drzwi i przyjrzał się walizie Krzysztofa.

- Wyjeżdżasz?

- Raczej przyjechałem do ciebie.

- Do mnie? Nic nie rozumiem. Chyba żartujesz. Krzysztof potrząsnął głową.

-Wcale nie żartuję. Słuchaj, stary, muszę z tobą pomówić poważnie.

- Czy stało się coś złego? - zaniepokoił się Maurycy.

- Nie mam gdzie mieszkać. -Ty?

- Właśnie ja. No, cóż, różnie w życiu bywa.

- Ale co się stało?

Krzysztof zdjął palto, przyczesał włosy i zapalił papierosa.

- Na razie wolałbym ci szczegółów nie opowiadać. Za bardzo jestem roztrzęsiony. Pokłóciłem się z ojcem i musiałem się

wyprowadzić z domu. Nie miałem się gdzie podziąć, a ponieważ wiem, że teraz mieszkasz sam, przyszedłem do ciebie. Jeżeli możesz, to przenocuj mnie. Nie bój się, długo u ciebie nie będę siedział. Najdalej za parę dni muszę sobie znaleźć jakąś metę. Mógłbym oczywiście zamelinować się u którejś mojej babki, ale nie chcę. Zaraz się zaczniesz wypytywać, a co, a jak. Na diabła mi to.

- Ależ oczywiście! - zawołał z zapalem Maurycy - Bardzo się cieszę, żeś o mnie pomyślał. Będzie mi weselej. Teraz po śmierci pana Siewickiego...

- Wiem... wiem - przerwał mu Krzysztof. - Stary wykitował, zdaje się, gdzieś w listopadzie czy grudniu. Ano, widać czas było już na niego. Nie boisz się, że ci tu kogoś dokwaterują na jego miejsce?

- Ale skąd. Kto by tu chciał mieszkać? A zresztą ta rudera idzie na rozbiórkę. Najdalej w przyszłym roku... Ale może ty jesteś głodny. Mam kawałek chleba i chyba zostało mi jeszcze trochę kaszanki. Zaczekaj. Zaraz zrobię herbaty i odgrzeję kaszankę. Krzysztof skrzywił się.

- Daj spokój. Nie jestem głodny. Rąbnąłbym sobie kielicha, ale jeść nie chce. Nie masz gdzie trochę gołdy?

- Wiesz przecież, że ja nie piję.

- No tak, prawda. Grzeczny z ciebie chłopak.

Kiedy owego wieczora Maurycy zaparzał herbatę, nie przypuszczał, że to wszystko tak się później ułoży. Gdyby był przewidział...

ROZDZIAŁ III

Przy kierownicy nie było szofera. Maurycy nawet tego nie zauważył. Stał na szeroko rozkraczonych nogach i - chwiejąc się - patrzył tępo przed siebie. Robił wrażenie pijanego. Trwało to dłuższą chwilę. Nagle przez jego otępiałą twarz przemknął błysk świadomości. Poderwał się gwałtownie i zaczął uciekać.

Biegł, ile sił w nogach. Wreszcie zziąjany zwolnił i zataczając się, ruszył w kierunku Dworca Gdańskiego. Ciągle jeszcze nie

mógł zebrać myśli. Był na wpół przytomny.

- Uważaj pan, do jasnej cholery! Co pan, śmierci szukasz?! O mało nie wpadł pod samochód. Podniósł rękę do spoconego czoła i niepewnym krokiem wrócił na chodnik. „Śmierci szukasz? Śmierci szukasz?” - dźwięczało mu uporczywie w uszach. Śmierć, śmierć! Krzysztof. Boże.

Rzucił za siebie szybkie, przerażone spojrzenie i znowu zaczął biec. Potracił starego kolejarza.

- Uważaj pan. Wariat, psiakrew!

A może... A może on jeszcze żył? Może potrzebował pomocy? Nie... nie... nonsens. To był trup. Nóż w samym sercu. Trup... trup. Zrobiło mu się słabo. Oparł się o drzewo. Chwyciły go gwałtowne torsje.

Przechodząca kobieta splunęła ze wstrętem w jego kierunku.

- Tfuuu, pijana świnią.

Szedł dalej. Nieliczni o tej porze przechodnie przyglądali mu się z niechęcią.

- I to ma być młodzież? Kara boska.

- Popatrz na tego młodziaka. Ale podchromolił...

- Trzeba się opanować. Trzeba się opanować - powtarzał Maurycy

Joanna. To wszystko przez nią... wszystko przez nią. Po tym, co się stało wczoraj wieczorem, nikt przecież nie uwierzy, że to nie on zamordował Krzysztofa. Zbrodnia z miłości, z zazdrości. Każdemu to się wyda proste. Joanna nie powiedziała chyba nic, ale Krzysztof...

Musiał wyglądać nieszczególnie, bo jakaś starsza pani podeszła do niego i spytała troskliwie:

Czy pan źle się czuje? Ta nie miała go zapijanego. Miała łagodną, pełną dobroci twarz i siwe włosy, wymykające się spod niedużego czarnego kapelusza. Maurycy uśmiechnął się z wdzięcznością:

- Nie, nie, nic mi nie jest. Dziękuję pani.

Jeżeli nie wezmę się w garść, źle się to skończy - pomyślał. - Robię wrażenie pijanego albo chorego. Zwracam na siebie uwagę przechodniów."

Staął na przystanku tramwajowym i zawahał się. Właściwie

nie wiedział, gdzie pojechać.

Profesor Kozieski prosił, żeby nie wracał do nich na Londyńską. Czy miał mu powiedzieć o tym, co zobaczył w mieszkaniu na Kaniowskiej? A jeżeli profesor także będzie go podejrzewał? Nie, nie, nie można działać zbyt pochopnie. Trzeba się zastanowić, trzeba się dobrze zastanowić. Z tych dwustu złotych, które otrzymał od profesora, zostało mu sto dwadzieścia. Musi zwrócić te pieniądze. Ale zrobi to później. Około południa, a może nawet po południu. Tak będzie najlepiej. Zajdzie do profesora około trzeciej, czwartej po południu. Nagle przybladł jeszcze bardziej i o mało głośno nie krzyknął. A jeżeli profesor Kozieski wie o tej zbrodni? Jeżeli to on.. jeżeli on kazał komuś zabić Krzysztofa? Nie, nie, nonsens... Dlaczegoż by profesor pragnął śmierci Krzysztofa? Na pewno nawet nie wiedział o jego istnieniu. Zresztą, w takim wypadku nie posyłałby jego właśnie do tego mieszkania. Co za idiotyzmy przychodzą mu do głowy! Trzeba opanować nerwy. Kto zabił Krzysztofa i dlaczego? Co to za mieszkanie? Kto w nim mieszka? Czy to rzeczywiście jego widział z nożem w sercu? Dlaczego? Dlaczego go zabili? W tej chwili nie czuł już najmniejszego żalu do Krzysztofa o to, że zabrał mu Joannę. Tamta sprawa, wobec śmierci, wobec morderstwa, dokonanego na młodym chłopcu, zbladła i przestała być ważna. O Joannie myślał teraz jak o kimś obcym, dalekim, o kimś, kto bardzo dawno odegrał jakąś rolę w jego życiu.

- Czy pan naprawdę dobrze się czuje?

Drgnął. Ta sama starsza pani znowu niepokoiła się o jego zdrowie. Odpowiedział twierdząco i uśmiechnął się uprzejmie. W tym momencie zauważył, że stojący opodal milicjant przygląda mu się badawczo. Trzeba było podjąć jakąś decyzję. Nie mógł przecież cały dzień przestać na przystanku tramwajowym.

Nadjechała siedemnastka. Maurycy wsiadł do drugiego wozu i zapłaciwszy za bilet, przeszedł od razu na przednią platformę.

Musiał się ogolić, umyć i doprowadzić do porządku. Gdzie miał pójść?

Czy ma wrócić do siebie na Powiśle? Jeżeli chce udawać, że o niczym nie wie, to nie powinien tego robić. Teresa przecież wie, że się pokłócił z Krzysztofem i że się wyprowadził. Jakżeż mógłby wytłumaczyć swój nagły powrót do mieszkania. To musiałoby się wydać podejrzanym, tym bardziej że przecież nie da się ukryć zniknięcia Krzysztofa. W końcu ktoś się nim zainteresuje. Jeżeli nie ojciec i nie macocha, to koledzy, przyjaciele, sympatie. Nie, stanowczo nie może w tych warunkach wracać na Powiśle. Wpadnie tylko tam na chwilę i zabierze swoje rzeczy.

Wysiadł na moście Poniatowskiego i kamiennymi schodami zbiegł szybko w dół. Zrobiło mu się jakoś nieswojo, gdy wchodził do bramy. A może to wszystko nieprawda? Może to mu się tylko śniło? Może zastanie Krzysztofa w łóżku albo przy sztalugach? Zobaczy jego zmrużone oczy i drwiący uśmiezek. Boże, co by dał za to, żeby tamto było nieprawdą.

Na drugim piętrze skrzypnęły drzwi i wyłoniła się rozczochrana głowa pani Kierasińskiej, znanej na całym Powiślu z zamięłowania do obgadywania bliźnich.

- To pan, panie Maurycy? Dzień dobry.

- Dzień dobry - odparł niechętnie Maurycy, niezadowolony, że ta stara plotkara zobaczyła go na schodach.

- Pan już wrócił?

- A dlaczegóż bym nie miał wrócić?

- Ano bo pan Krzysztof powiedział, że pan się wyprowadził. Maurycy obrzucił wścibską kobietę ponurym spojrzeniem.

- Przyszedłem po rzeczy. Wczoraj nie zdążyłem wszystkiego zabrać.

- To pan dostał nowe mieszkanie, czy jak?

- Tak. Przydzielili mi sześć pokoi w Belwederze. Do widzenia pani.

Pani Kierasińska pokazała w uśmiechu żółte, spróchniałe zęby.

- Dowcipniś z pana Maurycego. Aż dziw, że się panu chce jeszcze żartować. Bo to ja zawsze mówię...

Maurycy biegiem ruszył w górę po schodach. Nie miał cierpliwości wysłuchiwać głądzenia tej baby.

Z bijącym sercem wsunął klucz w zamek. A może...? Nie. Mimo iż wiedział, że to przecież nie miało żadnego sensu, to jednak doznał uczucia ogromnego rozczarowania, kiedy nie zobaczył Krzysztofa ani w łóżku, ani przy sztalugach. Twarz mu zgasła, poszarzała. Stał na środku pokoju i rozejrzał się bezradnie. Bałagan panował tu jak zwykle nie do opisania. Poglębiał go jeszcze fakt, że Krzysztof najwidoczniej przebierał się w pośpiechu. Na łóżku leżało rzucone nieporadnie jego popielate ubranie. Na środku pokoju stał jeden brązowy but, a na krześle drugi. Stół został przyozdobiony brudną, flanelową koszulą, na sztalugach wisiały ciepłe kalessony Kilka krawatów, w istic artystycznym nieładzie, porzrzucanych było po całym mieszkaniu. Na małym, okrągłym stolczku stały dwa kieliszki i butelka z winem.

Wolnym krokiem powlókł się do przedpokoju, ściągnął z półki walizę i zaczął się pakować. Mógł się tu umyć i ogolić, ale nie chciał zostawać w tym mieszkaniu. Ogarnęła go gwałtowna chęć ucieczki. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, pakował wszystko, co mu wpadło pod rękę. Byle prędzej.

Wreszcie poupychał zawartość walizy, przygniótł wieko kolanem i z niemałym trudem zatrzasnął zamki. W tej chwili posłyszał stukanie do drzwi.

Spojrzał zaskoczony, zaniepokojony. Nie poruszył się. Stukanie powtórzyło się głośniejsze, bardziej zdecydowane.

Maurycego ogarnęło nagle przerażenie. Nie potrafiłby wytłumaczyć dlaczego, ale się bał, bał się tak bardzo, że aż się spocił.

Ktoś uparcie dobijał się. Trzeba było jednak otworzyć.

Na palcach podszedł do drzwi i odsunął zatrzask. Ku swemu zdumieniu zobaczył matkę Joanny.

Pani Skulska weszła zamaszystym krokiem i - nie tracąc czasu na powitanie - spytała:

- Gdzie Joanna?

Maurycy przez chwilę mrugał oczami, jakby nie rozumiał, o co chodzi. Robił wrażenie człowieka obudzonego nagle z głębokiego snu.

- Gdzie Joanna? - powtórzyła groźnie energiczna kobieta.

- Nie mam pojęcia - odparł szczerze Maurycy.

Matka Joanny zawsze go onieśmiałała, a w obecnej sytuacji... Pani Skulska zmierzyła go złym spojrzeniem:

- No chyba pan musi wiedzieć, gdzie jest Joanna?? Maurycy bezradnie rozłożył ręce. Był tak zaskoczony tą niespodziewaną wizytą, że nie wiedział, co powiedzieć i jak się zachować.

-Właśnie... proszę pani... no... kiedy... właśnie nie wiem, gdzie jest Joanna. Zupełnie nie wiem.

- No, jak to? Nie było tu jej wczoraj wieczorem?

- Owszem była, ale wyszła.

- O której wyszła?

- Myślę że... Myślę, że około dziewiątej... A może było już po dziewiątej. Doprawdy, proszę pani, że nie pamiętam dokładnie.

- I nie nocowała u pana?

Maurycy zaczerwienił się po białka oczu.

- Ależ proszę pani, skądże znowu...

- No przecież podobno mieliście się niedługo pobrać - powiedziała Skulska i nerwowym ruchem wciągnęła rękawiczki. - Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Joanna nie wróciła na noc. Byłam przekonana, że została u pana. Ostatecznie jest dorosła, więc... - spojrzała na nieszczęśliwą, wystraszoną minę Maurycego i coś jakby błysk wesołości zamigotał w jej oczach. - I rzeczywiście pan nie wie, co się stało z Joanną? - dodała łagodniej.

- Nie mam pojęcia.

- I nic to pana nie obchodzi? Maurycy znowu się zaczerwienił.

- No cóż... cóż ja... Doprawdy nie wiem... Joanna jest taka samodzielna, że...

- Niech pan sobie kupi jelenie rogi - powiedziała ze złością Skulska i wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

-Jelenie rogi... - powtórzył machinalnie Maurycy. Przez chwilę patrzył w zamyśleniu na drzwi, za którymi zniknęła jego niedoszła teściowa, a następnie wzruszył ramionami i wrócił do swojej walizy. Była tak ciężka, jakby naładowano do niej kamieni.

Na dole zaszedł do mieszkania dozorca.

- Czy pani pozwoli, pani Bolesiowa, że zostawię na chwilę walizkę? Pójdę poszukać taksówki.

- A co to pan Maurycy wyjeżdża?

- Tak, na razie. Potem może wrócę.

- No dobrze, a kanarki? Przecie wyzdychają.

- Niech się pani nie martwi. Kanarki już umieściłem u znajomych.

- To na długo pan wyjeżdża?

- Nie wiem.

- Tu była komisja dom oglądać. Mają rozbierać tę rudere. To w razie czego co zrobić z pańskimi rzeczami?

- Nie wiem.

Bolesiowa pokręciła głową.

- Oj, młodzi... młodzi. Do czego tyż to podobne... Maurycy wybiegł na ulicę. Znaleźć taksówkę w tej części

miasta nie było rzeczą prostą. Krążył więc dobre pół godziny po Powiślu i dopiero na Trzeciego Maja znalazł wolną warszawę.

Z dozorczynią pożegnał się pośpiesznie.

- Dokąd jedziemy? - spytał szofer.

Maurycy zdrętwiał. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że nie wie właściwie, dokąd ma jechać. Nerwowo począł przypominać sobie adresy swoich znajomych.

- Dokąd jedziemy? - powtórzył głośniejszo szofer i odwrócił się do milczącego pasażera.

- Plac Narutowicza - powiedział Maurycy. Zdecydował się pojechać do Staszka Kuźmy, który mieszkał w domu akademickim. -Jaki to dzień dzisiaj mamy? - spytał. Szofer zaczął się śmiać.

- Ale żeś sobie pan wczoraj podgazował, kiedy już i dni się panu mylą. Niedziela, panie, od samego rana niedziela.

Maurycy ucieszył się. Prawdopodobnie zastanie wobec tego Kuźmę w domu. Staszek w niedzielę lubił się wylegiwać do południa. Kiedy zajechali na miejsce, Maurycy powiedział:

- Niech pan chwileczkę zaczeka.

Nie mógł przecież wejść do akademika z taką ogromną walizą. Zwróciłoby to uwagę. Pobiegł na górę. Zadyszany wpadł

do pokoju przyjaciela. Staszek właśnie naciągał spodnie.

- Co się stało, Borsuk? Skąd cię wypuścili? Jak ty wyglądasz?

- Nie mam gdzie mieszkać. Musisz mi pomóc. Walizka w taksówce. Chodź prędko.

- Zdaje się, że coś z tobą nie w porządku - powiedział Kuźma. - Zaczekaj, muszę włożyć buty.

Za chwilę zbiegli na ulicę.

- O rany - jęknął Kuźma. - Coś ty za kufer przytaszczył? Czeka, umieszczę to na razie u znajomego dozorca. Później się zobaczy.

Maurycy wyciągnął z wozu walizę i zapłacił szoferowi.

- Błagam cię, Staszku, ratuj mnie. Nie mam się gdzie podziąć.

- Ale co się właściwie stało? Spaliło się twoje mieszkanie? Zawaliła się rudera?

- Potem. Potem ci wszystko wytłumaczę.

- No dobra. Idźmy. Na razie zostawimy ten cały majdan tutaj, naprzeciwno. Dobrze się składa, bo właśnie wczoraj zabrali Heńka do szpitala. Jest wolne łóżko w moim pokoju.

Jakoś cię przenocujemy. Ale ciuchy to trzeba będzie po trochu nosić. Bo tego kuferka nie da rady zatargać niepostrzeżenie.

Dozorca, pan Walisik, zgodził się bez większych trudności przechować dobytek Maurycego.

- Ćwiartula leci - powiedział, pociągając fioletowym nosem.

- Leci, panie Michale, leci - uśmiechnął się Kuźma. -Spokojna głowa.

- No, to w porządeczku. Jak gaz jest, to i głowa spokojna. Stawiaj pan ten bagaż tam, pod szafą. Nic tu nie zginie. Pewność i zaufanie.

Pożegnali uczynnego dozorcę i wyszli. Kuźma zaprowadził przyjaciela do siebie. Zamknął starannie drzwi i powiedział:

- No, a teraz gadaj, co się stało.

Maurycy jękając się i czerwieniąc, opowiedział wczorajszą scenę, nie wspominając oczywiście ani słowem o Kaniowskiej i zamordowaniu Krzysztofa.

- Wszystkie baby to kurwy - mruknął Kuźma. - A temu pętałowi nie powinieneś być ustąpić. Jakby tak na mnie trafiło, tobym go zamalował w zęby i ze schodów zrzucił. Bydlę. Poczekaj, już ja z nim pogadam. Ty jesteś dęty frajer i ciebie każdy wyroluje, ale ze mną to on inaczej będzie rozmawiał.

Maurycy zerwał się przerażony.

- Nie, nie! Proszę cię.

Kuźma spojrział na niego zdziwiony.

- Co ci się stało, Borsuk? Jak nie chcesz, to oczywiście nie będę się wtrącał do twoich spraw. Ale nie rozumiem. Przeszkoliłbym trochę tego malarzynę i wróciłbyś spokojnie do swojego mieszkania.

- Nie, nie. Bardzo cię proszę. To są takie osobiste sprawy. Nie chcę, żebyś się starał z nim zobaczyć.

Kuźma wzruszył ramionami.

- No dobra. Nie denerwuj się. Siadaj. Może zapalisz. A, prawda, ty nie palisz. - Wyjął paczkę papierosów i sięgnął po zapalki, leżące na stole. - Słuchaj, kochany, ja muszę wyjść. Umówiłem się z jedną babką. Nie chcę się spóźnić. Ty się tutaj rozkwateruj. Nie bój się... Na razie nikt tu nie zajrzy. Potem się wszystko załatwi. Jak chcesz, to się prześpij. Ja wrócę za jakie dwie godziny.

- Przede wszystkim chciałbym się ogolić i umyć - powiedział Maurycy.

- No to w dechę. Masz tu golenie, mydło, ręcznik. Zrób się na bóstwo, a ja spływam. Baj... baj...

Zostawszy sam, Maurycy rzucił się na łóżko. Był zmęczony, nieludzko zmęczony. Przeżycia minionej nocy wyczerpały go zupełnie. Czuł przejmujący chłód. Nakrył się kocem i skurczony leżał, patrząc w ścianę. Jakżeż wdzięczny był Staszкови, że sobie poszedł, że zostawił go samego i że nie zadrecza go już pytaniami. Nie miał sił. Pragnął tylko jednego - żeby zostawiano go w spokoju, żeby nikt do niego nie mówił,

żeby nikt nic od niego nie chciał... Spać... spać...

Za ścianą zaskrzeczał głośnik radiowy.

Maurycy drgnął gwałtownie i przewrócił się na wznak. Wolno otworzył oczy i teraz wpatrywał się w brudny, popękany

sufit. Czarne rysy układały się w dziwaczne rysunki. Tu głowa jakiegoś potwora. Tam znowu coś jakby okręt zagłowy. Dalej rogi. Rogi? Kto mówił o rogach? O jakie rogi chodzi? Dlaczego rogi?... Ach, prawda... przecież to pani Skulska... Ale zaraz... Gdzie on widział rogi? Gdzie on niedawno widział rogi...? Ależ tak... tak... nie ma wątpliwości, w tym przedpokoju na Kaniowskiej wisiały rogi. Pamięta, doskonale pamięta. Koźle rogi. Na Kaniowskiej. Tam...

Tak był wstrząśnięty tym odkryciem, że usiadł na łóżku. Przetarł oczy i spojrział przytomniej.

- Dlaczego właściwie o tym myślę? Co mnie mogą obchodzić rogi wiszące w jakimś mieszkaniu na Kaniowskiej?

Jakimś mieszkaniu? Nie, to nie było jakieś mieszkanie.

W tym mieszkaniu leżał zamordowany Krzysztof. Biała koszula splamiona krwią i nóż wbity po rękojęść w serce. Obraz, odsuwany przez ostatnie godziny, podświadomie zamazywany w pamięci, odżył nagle z gwałtowną siłą.

Poczuł potrzebę ruchu. Nie mógł tak leżeć beczynnie, zapatrzony w sufit. Zerwał się z łóżka i zaczął krążyć po niewielkim pokoju, objijając się o meble. Za ścianą skocznymi melodiami bębniło radio. To było nie do wytrzymania. Zasłonił sobie uszy rękami, ale daremnie. Ciągłe słyszał chrapliwe, hałaśliwe dźwięki.

Ustawił na stole przyrządy do golenia. Lusterko było pęknięte. Przez mizerną, zmęczoną twarz biegła ciemna kreska.

— Popsuta twarz - powiedział i przestraszył się własnego głosu, tak zabrzmiał obco i nienaturalnie. - Popsuta twarz - powtórzył z uporem i zaczął namydlać sobie policzki. -A jeżeli zwariowałem? - Ogarnął go straszliwy lęk.

Ogolił się pospiesznie. Chciał jak najprędzej odwrócić lusterko, które pokazywało mu jego „popsutą twarz”. Umył się zimną wodą i to go trochę uspokoiło.

- Co się ze mną dzieje? Co się ze mną dzieje? - powtarzał. - Przecież jeżeli tak dalej pójdzie, to naprawdę mogę zwariować. Trzeba się opanować.

To nie było w porządku. Wiedział doskonale, że to nie było w porządku. Powinien był od razu pójść do komisariatu i

zameldować o wszystkim milicji. Co by zrobili? Zaaresztowaliby go i wsadzili do więzienia. Kto mógł zabić Krzysztofa? Naturalnie on. Czuł, że nie potrafiłby się bronić, że zaraz by się zaczerwienił, zaplątał w zeznaniach. Na wszystkich zrobiłby podejrzane wrażenie. Ludzie już na pewno wiedzieli o tej historii z Joanną. Ta sąsiadka z drugiego piętra zrobiła jakąś aluzję. A teraz wie o wszystkim i Staszek. O wszystkim nie. Nie wie, że zamordowano Krzysztofa...

Radio za ścianą jazgotało uparcie. Maurycy oczyścił ubranie, narzucił płaszcz i wybiegł na ulicę. Tutaj przynajmniej nie słyszał A mnie tak szkoda lata.

Powietrze było ciepłe, łagodne. Zupełna wiosna. Niedzielną przechodnie, ubrani odświeżeni, nie śpieszyli się. Przykładnie wyglądające małżeństwa popychały przed sobą wózki lub ciągnęły za ręce podrośnięte dzieci. Słoneczna jesień sprzyjała familijnym spacerom.

Co stało się z Joanną? Dlaczego nie wróciła na noc do domu?

Czy to miało jakiś związek z Krzysztofem? A jeżeli Joanna także... Nie, nie, to już są jakieś maniackie myśli. Dlaczegoż by Joanna? A dlaczego Krzysztof? Kto mógł pragnąć jego śmierci? Kto go zamordował? Czy miał wrogów? Któż to wie? Był kobieciarzem. Mogła to być zemsta jakiejś porzuconej dziewczyny. Dziewczyna wbijająca nóż w serce? Jakież to potrzeba siły i zdecydowania? I przecież broniłby się. Nie, nie, to musiał zrobić mężczyzna. Może jakiś zdradzony mąż czy kochanek, albo narzeczony. Na przykład taki narzeczony, który go zastał na gorącym uczynku. Nie, nie! Nigdy! Nigdy tego by nie zrobił! A zresztą, jakież to w ogóle ma sens? W takich wypadkach to przecież zależy od kobiety. Jeżeli Joanna chciała... Krzysztof,

jako jego przyjaciel, nie powinien był, ale... Nie warto o tym myśleć. To już teraz i tak nie miało przecież żadnego znaczenia. Zjadł obiad w barze mlecznym. Dochodziła trzecia. Można już było chyba zaryzykować i pojechać do profesora Kozieskiego.

Drzwi otworzyła mu Teresa. Ucieszyła się.

- Dobrze, że przyszedłeś. Tak się rano wymknąłeś. Gdzie żeś

się tak spieszył przy niedzieli?

- Miałem do załatwienia jedną sprawę - bąknął Maurycy.

- Wycieraj nogi i chodź.

Zaprowadziła go do swego pokoju. Dużo tu było książek. Koło półek wisiały klatki z kanarkami. Maurycy uśmiechnął się na widok swoich przyjaciół. Podeszedł do Carusa i zagwizdał tak jak zwykle. Ptak począł bić skrzydłami i podskakiwać radośnie. Pozostałe kanarki poszły za jego przykładem i głośnym ćwierkaniem witały swego opiekuna.

- Poznały cię - zdziwiła się Teresa.

- A jakżeżby mnie mogły nie poznać? Przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Czy trzeba je wypuszczać?

-Ależ oczywiście. Przynajmniej raz na dzień powinny pofruwać sobie po mieszkaniu, rozprostować skrzydełka. Potem same wracają do klatek. Nie trzeba ich łapać ani zaganiać. To są bardzo dobrze wychowane kanarki.

- Mam wrażenie, że będę musiała rzucić medycynę i zacząć studiować ornitologię. Roześmieli się. Maurycy nagle spoważniał. -Właściwie to ja... Właściwie... chciałem...

- Co chciałeś?

- Chciałbym pomówić z twoim ojcem. Zrobiła zdziwioną minę.

- Z tatusiem? To chyba nic łatwiejszego. Położył się po obiedzie, ale myślę, że już wstał. Pójdę zobaczyć.

Maurycy pozostał sam ze swymi kanarkami.

- Co ja z wami zrobię? — szepnął, zbliżając się do klatek. - Gdzie ja was ulokuję? -Nachylił się nad klatkami, pogwizdując cicho. - Moje maleństwa. — Caruso odpowiadał mu ochoczo, kręcąc dziarsko główką i przestępując z nogi na nogę. Był w doskonałym nastroju, oczy mu błyszczały i bojowo nastroszył pióra. Ze wszystkich kanarków Maurycego był najmocniejszy i najbardziej zadzierzysty. Do jego klatki nie można było nigdy wpuścić drugiego samca. Natychmiast zabierał się do bójki i mógł dotkliwie pokaleczyć albo nawet zabić nieproszonego gościa. Tolerował tylko towarzystwo samiczek, i to tylko w okresie godowym.

Skrzypnęły drzwi. Weszła Teresa.

- Ojciec czeka na ciebie w swoim gabinecie. Profesor Kozieski siedział za biurkiem. Przywitał się z Maurycem i wskazał mu krzesło.

- Proszę, niech pan siada. Mówiła mi Terenia, że pan ma do mnie jakąś sprawę. Słucham?

Głos brzmiał sucho, oficjalnie. Szare, ptasie oczy patrzyły chłodno i obojętnie. Maurycego speszyło to przyjęcie. Po nocnej rozmowie, która miała charakter tak bardzo poufny, spodziewał się, że profesor jakoś inaczej go potraktuje. Kurczowo zacisnął dłonie.

- Chciałem... chciałem panu profesorowi zwrócić sto dwadzieścia złotych... - powiedział niepewnie i szybkim ruchem wyciągnął z kieszeni portfel.

Kozieski spojrział na niego zdziwiony.

- Sto dwadzieścia złotych? Nie rozumiem. Maurycy stropił się jeszcze bardziej.

- No, tak. Sto dwadzieścia złotych. Tyle mi zostało z tych dwustu złotych, które mi pan profesor dał na taksówkę.

Szare oczy patrzyły z rosnącym zdziwieniem na młodego człowieka.

- Ja panu dawałem na taksówkę? Dwieście złotych? Doprawdy, mój chłopcze, nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Maurycy poczuł, że cały pokój zaczyna mu wirować przed oczami. Ogarnęła go rozpacz.

- Nocowałem tu dzisiaj... - wykrztusił. Profesor skinął głową.

- Tak. Wiem o tym.

- I... iw nocy... Przecież... przecież pan profesor chyba pamięta...?!

-Ale co mam pamiętać? Wiem, że pan tu u nas nocował. W ostatnim zdaniu Maurycy posłyszał zniecierpliwienie.

- No tak. Nocowałem. Spałem w tym małym pokoiku koło gabinetu pana profesora. I w nocy pan profesor obudził mnie i kazał jechać na Kaniowską... Na Żoliborz... I dał mi pan profesor dwieście złotych na taksówkę i właśnie z tych dwustu złotych zostało mi sto dwadzieścia złotych reszty.

Profesor Kozieski poprawił się na fotelu, zdjął okulary, przetaił je starannie, a następnie bardzo uważnie przyjrzał się Maurycemu.

- To wszystko chyba się panu śniło - powiedział, akcentując wyraźnie każdą sylabę. - To się panu śniło.

- Ale... panie profesorze! - zawołał Maurycy i nagle sobie przypomniał. - Przecież... przecież pan mi kazał zawieźć na Kaniowską list... list w dużej, szarej kopercie, gruby list. Mam go w płaszczu, w kieszeni. Zaraz go przyniosę! - Zerwał się i wybiegł do przedpokoju. Drżącymi rękami począł przetrząsać kieszenie płaszczu. Na próżno. Szara koperta zniknęła. Poczul, jak pot oblewa mu całe ciało. Stał bez ruchu, zupełnie otepiały i z trudem przełykał ślinę.

Profesor Kozieski wyszedł za nim do przedpokoju, wziął go pod rękę i z powrotem zaprowadził do swego gabinetu.

- No i cóż? Znalazł pan ten tajemniczy list? - spytał z łagodnym uśmiechem.

- Nie - jęknął Maurycy.

- No widzi pan. Bo żadnego listu nie było. To wszystko musiało się panu przyśnić. Czy pan ostatnio nie jest przepracowany? Może za dużo się pan uczy? Nie ma sensu się tak przemęczać. Zdrowie przede wszystkim.

- Nie... nie!! - wybuchnął gwałtownie Maurycy. - Ja nie zwariowałem! Ja nie zwariowałem! To nieprawda! Nieprawda!

Kozieski położył mu rękę na ramieniu i posadził na krześle.

- Niechże się pan uspokoi. Ostatecznie nic się takiego nie stało. Uległ pan po prostu jakimś sennym widziadłom czy też jakiej halucynacji. Gdybym nie wiedział o tym,

że pan nie pije alkoholu, to przypuszczałbym, że... Radzę panu przeprowadzić kurację wzmacniającą. Przede wszystkim należy wzmocnić system nerwowy. To z przepracowania. Zdarzają się takie wypadki.

Maurycy znowu się zerwał.

- Panie profesorze. Mnie się nie zdawało. Mnie się nie śniło. To niemożliwe. Ja przecież jestem normalny. W nocy przyszedł do mnie pan profesor i... A przedtem...

- Co przedtem?

- Przedtem widziałem, jak pan profesor z kimś rozmawiał u siebie w gabinecie.

-I... ?

- I ten ktoś potem wyszedł przez okno. Kozieski zaczął się śmiać.

- No widzi pan. Najlepszy dowód, że to wszystko się panu śniło. Czy pan to uważa za możliwe, żebym ja przyjmował w środku nocy gości, którzy wychodzą przez okno? No i niechże się pan zastanowi.

- Nie wiem, już nic nie wiem - szepnął Maurycy i zwiesił głowę. Czuł się tak bezsilny, tak bardzo bezsilny, że chciało mu się płakać. — A Krzysztof...?

- Co Krzysztof? - podjął profesor.

W tej chwili Maurycy zrozumiał, a raczej wyczuł instynktownie, że nie powinien mówić o tym, co widział w mieszkaniu na Kaniowskiej. Odwrócił się i bez słowa pożegnania wyszedł. Ruchem automatu zdjął z wieszaka swój płaszcz. Otworzył drzwi. Zapomniał o Teresie.

Apatycznie włókł się ulicą, nie widząc i nie słysząc, co się wokół niego działo. Uparta, natrętna myśl brzęczała mu w głowie: „Wariat, wariat”. Czy rzeczywiście? Czy rzeczywiście był niespełna rozumu? Co to wszystko znaczy? Na miłość boską, co to znaczy? Ciągłe widział przed oczami poważną, stateczną twarz profesora Kozieskiego, który mówił: „Czy pan uważa za możliwe, żebym ja przyjmował w środku nocy gości, którzy wychodzą przez okno?”. Tak, to nie było możliwe, to było zupełnie nieprawdopodobne. A jednak... a jednak przecież widział, widział na własne oczy, tak jak widzi teraz tych ludzi, którzy go mijają na ulicy. Nie, nie, to nieprawda -on nie zwariował. W tej chwili przyszło mu na myśl, że każdy wariat uważa się za normalnego. Przystanął pod latarnią i wyjął z portfelu pieniądze. To przecież były te same pieniądze, które w nocy wręczył mu profesor. Sto złotych profesora, a dwadzieścia wydał mu z drugiej setki szofer. On miał swoich pieniędzy tylko pięćdziesiąt złotych, które zmienił w barze mlecznym. Te sto dwadzieścia złotych są najlepszym dowodem, że mu się to wszystko nie przyśniło ani nie przywidziało. Ale w takim razie

co to znaczy? Przecież profesor Kozieski... A jeżeli rzeczywiście to wszystko tylko mu się śniło...? Przeciągnął ręką po rozpalonym czole. „Mam chyba gorączkę” - pomyślał. Ale jeżeli to wszystko mu się śniło, to... To przecież Krzysztof żyje, przecież nie został naprawdę zamordowany. A dom na Kaniowskiej...? A nóż w sercu? A krew? Czy to także było snem, przywidzeniem, halucynacją? Niemożliwe... zupełnie niemożliwe. Właściwie należałoby to sprawdzić, przekonać się, raz jeszcze zobaczyć. Na myśl o domu na Kaniowskiej i o tym mieszkaniu ogarnęło go przerażenie. Nie, nie, wszystko byle nie to. Ale przecież musi, musi się jakoś upewnić, że to nie był sen, że nie zwariował. Siedemnastka ruszała z przystanku. Wskoczył do drugiego wozu. Niech się dzieje, co chce. Pojedzie na Żoliborz i sprawdzi. Musi mieć bezwzględna pewność.

Jesienny dzień prędko się kończy. Kiedy Maurycy znalazł się na Kaniowskiej, było już ciemno. W słabym świetle latarni zobaczył dom, ten sam dom, te same żelazne sztachety. Przecież był tu w nocy! Niemożliwe, żeby mu się przyśnił identyczny dom!

Stał zapatrzony w okna, w których nie było światła. Tam, na dywanie leży Krzysztof. Nóż w sercu. Biała koszula jest skrwawiona. Twarz blada, straszliwie blada. Twarz trupa.

Chciał otworzyć furtkę, ale natychmiast cofnął wyciągniętą rękę, jakby sparzyła go żelazna klamka. Nie, nie, to było ponad jego siły. Nie może, nie może tam wejść. Nerwowym krokiem zaczął przechadzać się wzdłuż sztachet i nagle przyszło mu do głowy, że to niebezpieczne. Nie powinien pokazywać się tutaj, nie powinni go widzieć w pobliżu miejsca zbrodni. Ktoś mógłby go zauważyć, przypomnieć sobie jego twarz.

Szybkim krokiem ruszył w kierunku placu Inwalidów. Musiał użyć całej siły woli, żeby nie biec.

Wsiadł w trzydzieści jeden. Nic już nie wiedział, nic nie rozumiał. W głowie miał zamęt, całe ciało bolało go tak, jakby go ktoś pobił. Czuł, że ma czerwone oczy. Piekły go nieznośnie. Jakżeż marzył o tym, żeby wyciągnąć się w łóżku i zaraz zasnąć. Nie myśleć, chociaż przez kilka godzin móc nie myśleć. Będzie musiał rozmawiać ze Staszkiem, będzie go wypytywał. To go

przerażało.

Kuźma był w domu.

- Gdzie żeś ty się podziewał tyle czasu? Czekałem na ciebie. Myślałem, że razem gdzieś zjemy obiad.

- Chodziłem trochę - powiedział wymijająco Maurycy.
-Jadłem w barze mlecznym.

- No to musisz być cholernie głodny.

- Nawet nie wiem. Nie myślałem o tym.

Kuźma przyjrzał się przyjacielowi i na jego kwadratowej, śniadej twarzy pojawił się wyraz szczerzego zatroskania.

- Oj, Borsuk, coś ty mi nietęgo wyglądasz. Tak jakby cię kto przez wycimaczkę przepuścił. Trzymajże się, chłopie. Nie daj się. Mówię ci, że to wszystko pic na wodę. Jeszcze sobie taką babkę zafundujesz, że...

- Daj spokój - przerwał mu niechętnie Maurycy.

- Dobra, dobra, już się przemykam. Ale ty się musisz wziąć w garść, bo tak to doszczętnie skapcaniejesz, wykończysz się. Zaczekaj, zrobimy herbatkę i przetrącimy coś niecoś.

Ktoś zastukał.

- Kto tam? Wejść.

- Telefon do kolegi Kuźmy. Kuźma zdumiał się.

- Do mnie? Telefon? Dobra. Dziękuję. Już idę. Po chwili wrócił.

- To do ciebie dzwoni Teresa Kozieska.

Maurycy, przeskakując po trzy stopnie, zbiegł do aparatu.
-Halo...?

Posłyszał w aparacie zmieniony od płaczu głos Teresy.

- Maurycy, och, Maurycy. Nieszczęście! Straszne nieszczęście!

- Na miłość boską, co się stało?

- Caruso nie żyje.

ROZDZIAŁ IV

Nie wiedział, kiedy i jak przebył przestrzeń dzielącą go do mieszkania profesora. Teraz stał pochylony, jakby nagle postarzały, i szklanymi oczami patrzył na małą pierzastą kulkę,

która tak niedawno była sławnym, pełnym życia śpiewakiem.

Teresa, nie mogąc znieść przedłużającego się milczenia, zaczęła mówić cichym, przerywanym głosem:

-Ja naprawdę nie wiem... naprawdę nie rozumiem, co mu się stało... Taki był przecież żwawy, wesoły, pełen życia. Nie wiem... zupełnie nie wiem. Kiedy ty wyszedłeś, zaczął trzepotać się w klatce, wydał mi się jakiś niecierpliwy, zdenerwowany. Myślałam, że może nie był na spacerze i dlatego jest taki podniecony. Wypuściłam go więc, żeby sobie trochę pofruwał. Zaćwierkał wesoło i wyglądał na bardzo zadowolonego. Latał po całym pokoju, siadał na półkach z książkami, na meblach. Był zupełnie zdrowy. I nagle... Poszłam tylko na chwilę do telefonu. A kiedy wróciłam... Kiedy wróciłam było już po wszystkim... już po wszystkim. Och, Maurycy...!

Maurycy poruszył się jak automat. Na wyciągniętej dłoni ciągle trzymał nieżywego kanarka.

- Umarł w bólu - powiedział.

Wjej oczach, przesłoniętych łzami, pojawiło się zdziwienie.

- W bólu?

- Tak. Spójrz na te podkurczone gwałtownie nóżki, na te konwulsyjnie zaciśnięte pazurki. To był ból, straszny ból.

- Ale co mu się mogło stać? Nie rozumiem.

-Ja też nie rozumiem. - Pochylił głowę. Pod wpływem jego oddechu pomarańczowe piórka poruszyły się leciutko.

- Caruso, mój mały, biedny Caruso.

Wyjął chustkę, starannie zawinął nieruchomego ptaszka i wsunął go do kieszeni płaszcza.

- Zabierasz go?

Skinął głową. Wszedł, nie patrząc na Teresę...

Na ulicy z wolna przychodził do siebie. Mimo iż powietrze było łagodne, czuł chłód przenikający całe ciało. Postawił kołnierz i ociężałym krokiem włókł się mostem Poniatowskiego. Od czasu do czasu wsuwał rękę do kieszeni płaszcza, jakby chciał się przekonać, że Caruso jest tam jeszcze. Delikatnie dotykał miękkiego zawiniątka i prędko cofał palce. Nie... to mu się nie zdawało, Caruso był tam ciągle, nieruchomy, milczący, martwy.

Maurycy przystanął i wilgotną dłonią przeciągnął po twarzy. Nie rozumiał, co się działo wokół niego. Krzysztof, a teraz Caruso. Dlaczego? Dlaczego ktoś zamordował Krzysztofa? Dlaczego nagle umarł Caruso? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Czyżby? Ale, na miłość boską, dlaczego? Komu zawinił mały, biedny ptaszek. Nie, nie, to niemożliwe. Co za głupstwa przychodzą mu do głowy. Nie mógł się jednak uwolnić od dręczącej go wątpliwości. Musisz się przekonać... Musisz się przekonać... - dźwięczało mu uparcie w uszach.

Wsiadł w dwadzieścia pięć i znowu wsunął rękę do kieszeni płaszcza. Małe ciało było już zupełnie zimne i sztywne.

Staszek czekał na niego niecierpliwie. Był niespokojny i zaintrygowany nagłym zniknięciem przyjaciela.

- Co się stało, Borsuk? Co ty wyprawiasz, Maurycy? Może trochę zbyt teatralnym gestem wyjął z kieszeni nieżywego kanarka i położył go na stole.

- Kanarek?

- Tak. Caruso.

- Zdechł? Co mu się stało?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Jeszcze parę godzin temu czuł się znakomicie.

Kuźma nie był w stanie przejąć się zbyt śmiertelnością słynnego Carusa. Wzruszył nieznacznie ramionami i powiedział filozoficznie:

- No, cóż... każdy z nas musi kiedyś wykitować. Dłaczegoż by więc kanarek nie miał rozstać się z tym światem? Widocznie czas był już na niego.

- Caruso nie był stary. W pełni sił. Zdrowy, wesoły. Miał największy temperament ze wszystkich moich kanarków.

- Więc co mu się u licha nagle stało?

- Muszę... muszę się przekonać - powiedział z uporem Maurycy.

- O czym się musisz przekonać?

- Dlaczego umarł Caruso?

- Śmieszny jesteś. Chyba nie masz zamiaru przeprowadzać sekcji zwłok „sławnego śpiewaka”. Nie wiem, czy rodzina zgodziłaby się na to.

- Nie żartuj. Muszę wiedzieć. A ty mi pomożesz. Kuźma uderzył się dłońmi po udach.

-Jak Boga kocham, Borsuk. Wiesz, że ty nie jesteś normalny. Coś ci się przemeblowało.

Maurycy patrzył na niego, w oczach miał ogromny smutek.

- Chyba mi nie odmówisz, Stachu. Chyba mi pomożesz. Ja muszę mieć pewność? Rozumiesz? Muszę!

- Najgorsza rzecz to mieć do czynienia z wariatami -mruknął Kuźma. - No chodź, wrąbiesz coś i idziemy spać. Wyglądasz tak, jakby cię krowajuz drugi raz przeżuła. Aż mi się niedobrze robi, jak na ciebie patrzę.

Maurycy nie miał jednak apetytu. Wypił szklankę herbaty i zaraz położył się do łóżka. Nakrył się na głowę, żeby nie słyszeć tego, co mówi Staszek. Chciał być sam ze swymi myślami. Słowa przyjaciela drażniły go i męczyły.

Nazajutrz wstali wcześniej. Maurycy ogolił się i umył pośpiesznie. Tym razem jednak pęknięte lusterko nie zrobiło już na nim tak przygnębiającego wrażenia. Kiedy siedzieli przy śniadaniu, Kuźma powiedział:

- Słuchaj no, Borsuk, ty rzeczywiście chcesz robić tę komedię z kanarkiem?

Maurycy skinął głową.

- Bardzo cię o to proszę. Mnie samemu byłoby trudno. Widzisz, ty tego nie rozumiesz, ale... aleja byłem bardzo przywiązany do Carusa, więc...

- No, dobra, dobra - przerwał mu Kuźma. - Ostatecznie, jak ci na tym zależy... Pojechali na Politechnikę. Kuźma poprosił asystenta, żeby mu pozwolił skorzystać z laboratorium. Maurycy został na korytarzu. Nie chciał patrzeć na to, jak Staszek będzie kroił Carusa. Sama myśl o tym była dla niego trudna do zniesienia. Wiedział, że to śmieszne, że przecież to tylko kanarek, a jednak...

Czekał. Niecierpliwił się. Chodził nerwowo po korytarzu, siadał, znowu wstawał i dreptał tam i z powrotem pod drzwiami, za którymi odbywał się ostatni akt tragedii małego Carusa.

Wreszcie wyszedł Kuźma. W białym kitlu wyglądał poważnie

i oficjalnie. Twarz miał zafrasowaną.

- No i co... i co? - spytał Maurycy, pociągając go za rękaw.

- No cóż... Okazuje się, że miałeś rację.

- To znaczy...?

- To znaczy, że ta ilość cyjanku potasu zabiłaby konia, nie tylko kanarka.

Maurycy patrzył z niedowierzaniem na przyjaciela. Sam przecież podejrzewał, że z Carusem stało się coś niezwykłego, ale teraz... wobec stwierdzenia faktu, wydało mu się to zupełnie nieprawdopodobne.

- Cyjanek potasu... Caruso... Caruso otruty? - wykrztusił. Kuźma położył mu rękę na ramieniu.

- Daj spokój, Borsuk. Nie bądźże dzieckiem. Przecież w końcu to tylko kanarek. Zachowujesz się tak, jakbyś stracił nagle całą rodzinę.

- Ale jak to się mogło stać... jak to się mogło stać? - wyszeptał Maurycy.

Kuźma wzruszył ramionami. Na jego szerokiej twarzy malowało się znużenie.

- Diabli wiedzą. A zresztą nie mam zamiaru zajmować się tą „kryminalną” zagadką. - Uśmiechnął się. - Jak chcesz, to daj znać na milicję, że sławny Caruso został podstępnie otruty.

- Daj spokój z głupimi żartami - mruknął Maurycy. Kuźma wziął go pod rękę.

- No dobra, dobra. Nie złość się. Chciałem cię trochę rozruszać.

Takiś od wczoraj skapcaniały, że żał patrzeć. Chodź. Idziemy na wykład.

W auli było pełno. Wykłady profesora Kozieskiego cieszyły się dużym powodzeniem. Studenci notowali skrupulatnie każde słowo, wiedząc, że na egzaminie nie będzie żartów.

Maurycy usiadł w dalszych ławkach i wyjął pióro. Dyskretnie rozejrzał się po sali. Napotkał kilka ciekawych, natarczywych spojrzeń. Czyżby już wiadano o nim, o Joannie i o Krzysztofie...?

Nie widział Joanny. Zazwyczaj nie opuszczała wykładów z chemii organicznej. Czy wróciła do domu? A może stało jej się

coś złego? Wzruszył ramionami. Właściwie co go mogła obchodzić teraz Joanna. Wyjął ołówek i otworzył brulion. W żaden sposób jednak nie mógł się skupić. Notował automatycznie, nie rozumiejąc, o co chodzi. Parę razy wydało mu się, że profesor rzucił w jego kierunku szybkie spojrzenie zza okularów. Nie był jednakże pewny, czy to spojrzenie dotyczyło właśnie jego.

Atmosfera sali wykładowej działała uspokajająco. To było coś dobrze znanego, codziennego, prawdziwego. Koleżdy, koleżanki, ich szepty, uśmiechy, skrzywienie piór po papierze, rzeczowy, autorytatywny głos profesora, wszystko to coraz bardziej zacierało wspomnienie owej niesamowitej nocy, czyniąc tamte przeżycia nierealnymi. Patrząc wokół siebie, Maurycy raz po raz zadawał sobie pytanie, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę, czy nie był to po prostu jakiś koszmarny sen. Wykład się skończył. Kuźma podszedł do przyjaciela.

- No, jak tam, Borsuk, lepiej ci?

- Tak. Tylko martwię się moimi kanarkami. Na razie są u Teresy, ale po tym wypadku z Carusem boję się tam zostawiać. A poza tym... no wiesz... nie może przecież Teresa trzymać u siebie w mieszkaniu sześciu kanarków. Rozumiesz?

Kuźma w zamyśleniu potarł wierzchem dłoni nieogolony podbródek.

- Faktycznie. Coś trzeba będzie wymyślić. Profesor Kozieski pewnie nie lubi bałaganu w domu. Ale widziałeś? - pochylił się i zniżył głos. - Widziałeś? Joanna nie pokazała się na wykładzie. Widocznie nie ma ochoty spotkać się z tobą.

- Nie wiem - mruknął niechętnie Maurycy. - Być może... Kuźma, widząc, że Maurycy

kieruje się do wyjścia, spytał zdziwiony:

- Spływasz?

- Tak. Mam coś pilnego do załatwienia na mieście. Stojąc na placu przed Politechniką, Maurycy zastanawiał się nad dalszym planem działania. Postanowił jeszcze raz pojechać na Żoliborz.

Przeszedł przez plac i stanął na przystanku tramwajowym. Czekać na piętnastkę, starał się myśleć o czym innym.

Wiedział, że jeżeli zacznie się zagłębiać we wspomnieniach, to zabraknie mu odwagi i nie pojedzie.

Na Kaniowskiej zwolnił kroku. Najchętniej zawróciłby i zrezygnował z tego wszystkiego. Nogi ciążyły mu coraz bardziej, coraz trudniej było mu się poruszać. Oddech stał się nerwowy, w gardle mu wyschło, a w głowie miał szum.

Wreszcie zobaczył znane już sobie żelazne sztachety. Biały, odrapany dom wyglądał tak zwyczajnie, że aż go to zaskoczyło. Nie było tu nic tajemniczego, groźnego, dziwnego. Zwykły dom. Z brudnych, dawno nieodnawianych murów poodpadał miejscami tynk, pozostawiając po sobie wilgotne, szare ślady. Wokół rosły jakieś krzewy, sterczące teraz pożółkłymi, nagimi białkami. W świetle dnia wszystko to było zupełnie pozbawione niezwykłości.

Maurycy doznał uczucia jakby pewnego rozczarowania. „Więc to tutaj?” - pomyślał. Więc to rzeczywiście tutaj. Nie bez wahania położył rękę na żelaznej kłameczce. Chłód gładkiego metalu podziałał na niego jak prąd elektryczny. Poczul gwałtowny skurcz wszystkich mięśni. Pchnął furtkę.

Nerwowe kroki zaszeleściły po suchych liściach. Drzwi były zamknięte. Bardzo starannie wytarł nogi o słomiankę. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ciemny kształt dzwonka. Nie mógł się zdecydować. Wreszcie położył dłoń na bakelitowym guziku.

W tej samej niemal chwili rozległ się trzask zamka. Zobaczył duże, czarne oczy, patrzące na niego pytająco.

- Pan do kogo?

Maurycy przełknął ślinę i ukłonił się niezgrabnie.

- Przepraszam. Ja... ja jestem ze spółdzielni studenckiej. Skierowano mnie tutaj. Podobno trzeba wysprzątać mieszkanie... wytrześć dywany.

Przystojna brunetka przyglądała mu się z zainteresowaniem.

- To jakaś pomyłka. Nikogo nie wzywałam.

Maurycy nie wiedział, co powiedzieć. Poza plecami tej kobiety widział znany sobie przedpokój, ten sam przedpokój.

- Bardzo panią przepraszam. Widocznie dano mi zły adres. Czy... czy mógłbym zatelefonować do spółdzielni.

- Proszę. Telefon jest w tamtym pokoju.

W tamtym pokoju leżał wtedy Krzysztof. Maurycy ociągając się, otworzył drzwi. Wzrok jego natychmiast padł na dywan, na którym widział ciało przyjaciela. Niepewnym krokiem podszedł do telefonu i nakręcił jakikolwiek numer.

- Czy zastałem Tadeusza? - spytał.

Otrzymałszy zaś odpowiedź, że to pomyłka, zwrócił się z niewyraźnym uśmiechem do pięknej pani.

- Nie zastałem kolegi. Zdaje się, że będę musiał jechać na plac Narutowicza. Bardzo pani dziękuję i przepraszam.

Wychodząc, zauważył, że rogi z przedpokoju zniknęły, tylko w miejscu, gdzie wisiały, widać było na ścianie szary, wilgotny ślad.

Wsiadł w siedemnastkę i wrócił do śródmieścia. Postanowił pomówić z Teresą. Ostatecznie z tym cyjankiem potasu to nie było w porządku. Miał nadzieję, że złapie ją jeszcze na wykładach.

Wyskoczył z tramwaju na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Do Chałubińskiego było niedaleko. Poszedł piechotą.

Teresę odnalazł w hallu. Wziął ją za rękę i pociągnął ku oknu.

- Caruso zginął otruty - powiedział.

Spojrzała na niego jak na wariata. Maurycy posepnie pokiwał głową.

- Mówię prawdę. Nie ma co do tego wątpliwości. Staszek Kuźma robił sekcję zwłok.

- Sekcję zwłok?

- Tak. Znalazł cyjanek potasu.

- W kanarku?

- Tak. Biedny Caruso umarł otruty. Teresa przycisnęła dłonie do skroni.

-Jezus Maria! To niemożliwe! Skąd u nas cyjanek potasu? Ojciec nigdy nie robi w domu żadnych doświadczeń, nigdy nie przynosi z Politechniki żadnych preparatów. Nie rozumiem, zupełnie tego nie rozumiem.

- Myślałem, że może ty coś robiłaś z cyjankiem - powiedział

Maurycy.

- Ale skąd!

- No, w każdym razie musisz dobrze obejrzeć mieszkanie, bo to nie są żarty. Wczoraj kanarek, a jutro...

- Przerazasz mnie, Maurycy.

- Przyszedłem specjalnie, żeby cię ostrzec.

- I sądzisz, że Caruso wtedy, kiedy fruwał, kiedy wypuściłam go z klatki...?

- Oczywiście. Spozrzegł na jakimś meblu białe kryształki i myśląc, że to wapno -dziobnął. Gdzie go znalazłaś?

- W gabinecie ojca. Rodzice wyszli wieczorem. A wiesz, że mój pokój sąsiaduje z gabinetem tatusia. Otworzyłam drzwi, żeby Caruso miał więcej miejsca do latania. Telefon zadzwonił w hallu. Kiedy wróciłam, już było po wszystkim.

Maurycy ponuro patrzył w ziemię.

- Gdzie leżał? Gdzie go znalazłaś?

- Na półce z książkami, koło okna. Z początku nie mogłam zrozumieć, gdzie się podział. Zaczęłam więc szukać i... Och, Maurycy! Nie masz pojęcia, co ja przeżyłam. Wiedziałam przecież, jak bardzo jesteś przywiązany do tego kanarka, a i ja sama zaczynałam go już lubić.

Maurycy desperackim ruchem machnął ręką.

- Daj spokój. Po co o tym mówić? Już nic nie zmienimy. Wychodzisz?

- Tak. Właśnie miałam jechać do domu.

- Pozwolisz, że cię odprowadzę do tramwaju. Chciałbym jeszcze... chciałbym jeszcze pogadać.

Szli w milczeniu. Wreszcie Teresa spojrzała na swego ponurego towarzysza i powiedziała:

- Zdaje mi się, że chciałeś jeszcze o czymś ze mną porozmawiać.

Maurycy zmieszał się. Nie wiedział, jak zacząć.

- No, tak... Bo widzisz... Bo właściwie...

- No, o co chodzi? Gadajże po ludzku.

- Bo widzisz... Boję się, że ze mną... że ze mną dzieje się coś niedobrego.

- Niedobrego? O czym ty mówisz?

-Widzisz... To znaczy... To zdenerwowanie... To wszystko... Obawiam się, że może mam jakieś luki w pamięci. Ty studiujesz te rzeczy i dlatego myślałem, że...

Teresa podniosła na niego zaniepokojone spojrzenie.

- Ale o co ci właściwie chodzi? Nie rozumiem. Oczywiście, że zdarzają się zaniki pamięci, nawet całkowite amnezje, ale...

-Ja u ciebie byłem... to znaczy ja u ciebie nocowałem z soboty na niedzielę, tak? A dzisiaj mamy poniedziałek.

- Maurycy, co się z tobą dzieje?

- Nie... bo... widzisz... Tak mi się to wszystko pokiełbało. Najprzód ta przeprowadzka do ciebie...

-Joanna to jednak świnia - powiedziała z przekonaniem Teresa.

Maurycy był zaskoczony.

- A ty skąd wiesz, że...?

- Skąd wiem, to wiem. Mniejsza o to. Nie spodziewałam się tego po Joannie, no i po twoim przyjacielu Krzysztofie.

- Wolalbym nie rozmawiać na ten temat. Powiedz mi raczej, jak to właściwie było w sobotę, to znaczy przedwczoraj, to znaczy wtedy, kiedy ja u ciebie nocowałem.

Teresa wzruszyła ramionami.

- Co ty, Moryś? Rzeczywiście cierpisz na utratę pamięci? Chyba udajesz?

Maurycy począł żałować, że w ogóle zaczął tę bezsensowną rozmowę. Pragnął się z tego jak najprędzej wycofać.

- Nie zrozum mnie źle, Tereniu. Oczywiście, że wszystko doskonale pamiętam. Chciałem się po prostu tylko przekonać, czy moje wspomnienia z sobotniego wieczoru ściśle odpowiadają rzeczywistości. Byłem w fatalnym stanie nerwów i dlatego...

Teresa serdecznym ruchem wzięła go pod rękę.

- To zrozumiałe, kochany. W tej sytuacji każdy byłby zdenerwowany. Ale nie niepokój się. Zachowałeś się zupełnie poprawnie. Mama nawet stwierdziła na drugi dzień, że jesteś bardzo miły. Niepotrzebnie tylko w niedzielę rano wyrwałeś się tak o świcie. Mama była zdziwiona.

- A twój ojciec?

- Też był trochę zdziwiony. Kiedy wstał, ciebie już nie było. Ale wiesz, tatuś nie ma czasu zastanawiać się nad takimi rzeczami.

- Więc twój ojciec zdziwił się, że wyszedłem od was tak wcześniej?

- Tak. Ale dlaczego to ciebie tak interesuje? Zapewniam cię, że tatuś nie miał ci tego za złe. Powiedział, że pewnie miałeś coś pilnego do załatwienia. Zresztą nic się przecież nie stało. Nie popełniłeś żadnego faux pas.

Maurycy przystanął.

- Do widzenia, Tereniu! Nie gniewaj się, że cię już dalej nie odprowadzę, ale chciałbym jeszcze złapać w stołówce Staszka Kuźmę. Muszę z nim pomówić.

- W dalszym ciągu mieszkasz u niego?

- Tak. Ach, prawda! Zupełnie zapomniałem. Bądź tak dobra i jeszcze jeden dzień przetrzymaj moje kanarki. Jutro już je zabiorę.

- Och, to nic pilnego. Nie denerwuj się. Popatrzał na nią z wahaniem.

- Tylko... tylko bardzo cię proszę, Tereniu, nie wypuszczaj ich z klatek.

- Boisz się, że... Ależ to nie ma sensu...

- Nie wypuszczaj ich z klatek - powtórzył Maurycy i wyciągnął rękę na pożegnanie.

Zawrócił i szedł w kierunku Koszykowej. Tak był zamyślony, że o mało nie wpadł pod trolejbus.

- Uważaj, ślepak - krzyknął kierowca i gwałtownie zahamował. - Jak ci życie zbrzydło, to skacz do Wisły, a nie pchaj mi się pod wóz.

W stołówce, jak zwykle o tej porze, było tłoczno i gwarno. Maurycy odnalazł Kuźmę i usiadł koło niego.

- No, jak tam, Borsuk? Jak ci leci?

- Ano tak sobie.

- Odetchnąłeś świeżym powietrzem?

- Trochę.

- No to co tak siedzisz jak zdechła kuropatwa. Rusz się. Przynieś sobie koryto. Maurycy podniósł się ociężale i wolnym

krokiem poszedł po obiad.

Jadł w milczeniu.

Kuźma podłubał zapalką w zębach, spojrzął na zegarek i powiedział:

- Słuchaj no, Borsuk. Jakie ty masz plany? Idziesz na laborokę z technologii?

- Uhm - mruknął Maurycy, nie odrywając wzroku od talerza.

- No to się pospiesz.

Tego popołudnia jednak ćwiczenia wyraźnie nie szły Maurycemu. Był roztargniony, mylił się, wszystko leciało mu z rąk. Wreszcie Kuźma trącił go w łokieć.

- Zwariowałaś, Borsuk? Co ty wyprawiasz? Już drugi fleometr ci się sfajczył. Jak tak dalej pójdzie, to będziesz musiał całe stypendium za to szkło wybulić. Idź lepiej do domu i połóż się do łóżka. Z tej twojej roboty dzisiaj i tak nic nie będzie. Nie przypuszczałem, że taki z ciebie mięczak. Pakuj manele i spływaj.

Maurycy wytrwał jednak do końca ćwiczeń. Kiedy zdejmował szary, po wypalany kwasami fartuch, przyszło mu nagle do głowy, że śmiertelna dawka cyjanku potasu dla człowieka wynosi osiemnaście setnych grama. A dla kanarka...? Nie wiedział. W każdym razie o wiele mniej.

Z zamyślenia wyrwał go głos Staszka.

- No, ruszaj się. Nie będziemy tu przecież norować. Na ulicy owionął ich wilgotny wiatr. Coś mokrego padało z nieba - deszcz czy śnieg.

- Zdaje się, że koniec złotej jesieni - mruknął Kuźma i poprawił kołnierz jesionki. - Chodź do tramwaju. Nie chce mi się drałować na piechotę.

Maurycy zawahał się.

- Wiesz co? Jedź sam. Ja przyjadę później.

- Co cię napadło? Gdzie się będziesz włóczył?

- Widzisz... Chcę wpaść na chwilę do Teresy. Kanarki.

Rozumiesz?

Kuźma wzruszył ramionami.

- Zdaje mi się, że tobie już się w głowie kanarki zaległy. Ty

masz nielicznego fioła, Borsuk. No... jak chcesz. Ale nie siedź długo. Czekam na ciebie z herbatą. Cześć! Maurycy patrzył przez chwilę za oddalającym się przyjacielem, a potem wszedł do tramwaju.

Otworzyła mu drzwi Teresa. Chwyliła go za rękę i pospiesznie wciągnęła do przedpokoju.

- Chodź, chodź. Dobrze, że przyszedłeś. Rozróżba jak cholera. Ojciec jest wściekły. Musisz z nim porozmawiać.

Maurycy spojrział na nią niespokojnie.

- Ale co się właściwie stało? Nic nie rozumiem. Dlaczego pan profesor jest wściekły? Na kogo? Przecież chyba nie na mnie.

Przeszli do pokoju Teresy.

Zaledwie jednak Maurycy usiadł, gdy ktoś mocno szarpnął za klamkę i w drzwiach ukazała się wysoka postać profesora Kozieskiego.

- Dzień dobry panu. Opowiedziała mi Teresa jakieś niestworzone historie o pańskich kanarkach, o cyjanku potasu. Co to właściwie wszystko znaczy?

Głos brzmiał ostro, energicznie. Maurycy zerwał się z krzesła.

- Panie profesorze... Ja... ja sam właściwie nie rozumiem, jak to się stało. Bo... bo przyniosłem do Teresy moje kanarki i jeden z nich został otruty... to znaczy sam się otrułem. Musiał dziobnąć gdzieś trochę cyjanku potasu. Ale... zupełnie nie wiem, skąd cyjanek potasu...

Kozieski nie ukrywał swej irytacji.

- Panie Łosiński, to są bzdury. Ja nie robię w domu żadnych doświadczeń. Od tego mam na Politechnice laboratorium. A poza tym jak pan sobie to właściwie wyobraża? Że ja rozsypuję po meblach cyjanek potasu, tak?

- No, nie... skądże znowu - zawołał z przekonaniem Maurycy. - Nigdy mi coś podobnego na myśl nie przyszło. Zapewniam pana profesora, że...

- No więc...? - przerwał mu niecierpliwie.

- Więc nie mam pojęcia, jak to się stało, panie profesorze. Mój przyjaciel, Kuźma, robił sekcję zwłok, znalazł we

wnętrznosciach kanarka cyjanek potasu.

- Ten Kuźma jest medykiem?

- Nie. Studiuje razem ze mną chemię, ale przedtem był dwa lata na medycynie i dlatego...

Kozieski uważnie patrzył na mówiącego.

- Więc twierdzi pan, że ten pański kolega wykrył w kanarku cyjanek potasu...?

-Tak.

- Gdzie jest klatka, w której siedział ten kanarek? Teresa, która z widocznym niepokojem przysłuchiwała się rozmowie, skwapliwie podała ojcu pustą klatkę.

Profesor usiadł, przetarł dokładnie okulary, wyjął z kieszeni szkło powiększające oraz dużą pincetę i począł bardzo dokładnie badać piasek znajdujący się na dnie klatki. Pracował przez dłuższą chwilę. Wreszcie wyłowił z piasku szarawe kryształki.

- Niech no pan spojrzy, panie Łosiński.

Maurycy pochylił się. Poczul gorzki zapach migdałów.

- To niemożliwe - powiedział, patrząc w osłupieniu na profesora.

- Ajednak to fakt, drogi panie. Cyjanek potasu. Nie ma żadnych wątpliwości. Cyjanek potasu na dnie klatki. Mogę pana zapewnić, że ani ja, ani nikt z domowników nie nasypał tutaj cyjanku, żeby otruć pańskiego kanarka.

- Ale... na miłość boską... kto? Kto mógł to zrobić? Kozieski wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Pan sam powinien to wiedzieć najlepiej.

-Ja? Chyba pan profesor nie przypuszcza, że ja... Kozieski popatrzał na niego jakoś dziwnie.

-Ja nic nie przypuszczam, młody człowieku - powiedział, akcentując wyraźnie każdą sylabę. - Nic nie przypuszczam. Wydaje mi się tylko, że pan się zachowuje co najmniej oryginalnie. Mam do pana prośbę. Niech pan zabierze te swoje kanarki. Lubię mieć spokój w domu. Rozumie pan?

- Ależ tatusiu... - wtrąciła się Teresa. Profesor Kozieski wstał.

- Dosyć. Ani słowa już na ten temat. Proszę dobrze

wyczyścić klatkę i zabierać kanarki. Nie chcę już o tym słyszeć.

- Panie profesorze - powiedział nieśmiało Maurycy.

- O co chodzi?

- Panie profesorze... Teresa znalazła nieżywego kanarka na półce z książkami w gabinecie pana profesora. Przecież gdyby dziobnął w klatce cyjanek potasu, toby został na miejscu.

Kozieski niechętnie wzruszył ramionami.

- Od razu widać, że pan nie ma pojęcia o tych sprawach. Ptak bardzo często trzyma coś w dziobie dłużej niż czas, zanim połknie. Dziób mógł być w danym momencie prawie zupełnie suchy. Kanarek dziobnął truciznę, pofrunął z nią na półkę z książkami i tam dopiero połknął cyjanek potasu. Jasne?

Maurycy pokiwał głową. Wprawdzie nie bardzo przemawiało mu do przekonania rozumowanie profesora, ale nie miał odwagi zaprzeczyć.

Kozieski wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

- Przykro mi - powiedziała cicho Teresa. - Bardzo mi przykro. Tatusz nigdy... nigdy tak się nie złości. Doprawdy bardzo mi przykro.

Maurycy wyjął grzebień i usiłował doprowadzić do porządku wzburzoną czuprynę.

- Głupstwo. Nie przejmuj się. Przepraszam, że naraziłem cię na te wszystkie nieprzyjemności.

- No dobrze, a co zrobisz z kanarkami?

- Muszę coś wymyślić. Pozwolisz mi zatelefonować?

- Oczywiście.

Połączył się z domem akademickim i wezwał do aparatu Staszka.

- Mówi Maurycy. Słuchaj, kochany, muszę natychmiast zabrać od Teresy kanarki. Nie wiem co robić. Dostyc późno. Może udałoby się na razie umieścić je u tego twojego dozorca, tam, gdzie zostawiłem swoje rzeczy?

- Do cholery z kanarkami. No, ale dobra. Jak nie ma innej rady, to bierz takse i przywoź je tutaj. Myślę, że pan Michał się zgodzi. Tymczasowo oczywiście. Potem się zobaczy.

I tak kanarki Maurycego znalazły się w zadymionym, niezbyt wonnym mieszkaniu pana Michała. Nie było już jednak wśród

nich sławnego śpiewaka Carusa.

Kiedy dwaj przyjaciele zasiedli do skromnej kolacji, Kuźma pociągnął duży łyk herbaty i powiedział:

- Wiesz co, Borsuk? Ja osobiście uważam, że to wszystko nie ma żadnego sensu.

- Co nie ma sensu? Nie wiem, o czym mówisz.

- No o tym, że to nie ma żadnego sensu, żebyś ty temu łobuzowi mieszkanie dobrowolnie oddawał. Do czego to podobne? Nie dosyć, że ci dziewczynę zabrał, to jeszcze z mieszkania wyrzucił. Dajże spokój! Przecież to jasny szlag może człowieka trafić. Zamiast wziąć faceta, dmuchnąć go w ucho i ze schodów spuścić, to ty się unosisz honorem i wyprowadzasz się z lokalu. Ja rozumiem, że ci nieprzyjemnie z takim draniem razem mieszkać, ale to on się powinien wyprowadzić, a nie ty. Jak chcesz, to z nim zaraz jutro pogadam. Tak go ob tańczuję po chłopsku, że go cholera weźmie. Z samego rana do niego polecę. Bo, jak Boga kocham, nie mogę ścierpieć twojej krzywdy.

- Daj spokój - powiedział cicho Maurycy. - Nie chcę, żebyś się mieszał w tę sprawę. Jeżeli ci przeszkadzam, to się wyprowadzę.

- A idźże, ty kretyńska pało - obruszył się Kuźma. - Nie o to chodzi, że mi przeszkadzasz. Możesz mieszkać tu, ile ci się żywnie podoba.

Nawet jak Heniek wróci ze szpitala, to i tak się jakoś skombinuje. Aleja się nie mogę na to wszystko spokojnie patrzeć. Byle pętał się po tobie przejeżdża, a ty na to pozwalasz. Nienawidzę takich apostołów, cierpiętników. Rozumiesz!?! Nienawidzę.

ROZDZIAŁ V

Wreszcie się zdecydował. Wygramolił się spod kołdry i wsunął nogi w miękkie, filcowe pantofle. Przez chwilę siedział na brzegu łóżka, drapiąc się po tłustym sfałdowanym karku.

Wstał. Wolno poczłapał do lustra. Wysunął język. Był obłożony brunatnoszarą warstwą niestrawności. Z wyraźną

niechęcią patrzył na odbicie. Skrzywił się. Ohyda. Zmięta, obwisła twarz, zaczerwienione, kaprawe ślepia, rzadkie sterczące włosy, nieokreślone, wstrętnej barwy. No i te wątrobiane wory pod oczami. Wieczorem wyglądał jeszcze jako tako, ale rano i do tego po wódce...

Podciągnął spodnie od pidżamy i z kieszeni marynarki, wiszącej na poręczy krzesła, wyjął grzebień, bielejący resztkami łupieżu.

Sapiąc usiłował doprowadzić do porządku swą fryzurę. Ze złością spojrzął w kierunku małżeńskiego łóżka.

- Nie powinnaś mnie prowadzić na te ochłaje. Wiesz, że mi wódka szkodzi.

Głos miał schrypnięty.

Pani Lena odwróciła się tyłem i naciągnęła kołdrę na głowę. Kiedy przed półtora rokiem wychodziła za mąż za tego wytwornego starszego pana, nie przypuszczała, że to będzie takie trudne do zniesienia.

- Nie powinnaś mnie prowadzić na te ochłaje. Tylko sobie niszczyć zdrowie. Westchnęła z rezygnacją. Wiedziała, że już jej nie da pospać.

- Nikt ci nie każe pić. Jak ci szkodzi, to nie pij. Czekał tylko na to, żeby się odezwała. Wybuchnął.

- Łatwo ci mówić „nie pij”. To się tylko tak gada. Spróbuj coś załatwić u nas w Polsce bez wódki. Zobaczysz. „Panie inżynierze, skoczmy na jednego”, „Panie inżynierze, musimy to oblać”, „No jak to? Nie napije się pan z nami?”, „Heniu, cyk na drugą nóżkę”, „Heniu, jak Boga kocham, ze mną się nie napijesz?”. I tak wszędzie i tak w kółko. Aż do obrzydzenia. A spróbuj odmówić. Natychmiast stajesz się śmiertelnym wrogiem, człowiekiem podejrzanym, niegodnym zaufania, przyjaźni. Wychodzisz z obiegu, kończysz się. Tylko ten, kto chłje wóde, ma u nas jakieś szanse życiowe.

Pani Lena ziewnęła. Znała na pamięć ten tekst.

- Przesadzasz. Są ludzie, którzy nie piją, a jednak jakoś egzystują. Na przykład choćby taki Genio Kamiński.

- Nędzarz. Kompletny nędzarz. Ciekawy jestem, co byś powiedziała, gdybym ci tak przyniósł do domu tylko gołą

pensyjkę i ani grosza więcej?

- Prawdopodobnie nie wyszłabym za mąż za człowieka z „gołą pensyjką”.

- Rozbrajająca jest twoja szczerość. Kochająca zoneczka, co? Usiadła na łóżku i odgarnęła spadające na czoło włosy.

- A cóż ty sobie wyobrażasz, że ja wyszłam za ciebie dla twoich męskich wdzięków, tak? Idiota!

Wyszedł do łazienki, trzasnąwszy drzwiami. Niedzielny poranek nie zapowiadał się zbyt rozkosznie.

Pani Lena uśmiechnęła się do siebie i z powrotem opadła na poduszki. Wydeła wargi i cicho zaczęła pogwizdywać Que sera, sera. Lubiła wyprowadzać z równowagi tego „starego durnia”. To ją bawiło. Przez chwilę wodziła sennym spojrzeniem po ścianach i meblach. Zatrzymała się na telefonie. Nagle widocznie coś sobie przypomniała. Szybko wyskoczyła z łóżka i podbiegła do aparatu. Niespokojnie patrząc na drzwi, nakręciła numer.

- Halo. To ty, Wiesiu? Muszę się z tobą zobaczyć. Koniecznie. Jestem niespokojna. To nie takie proste... Zrozum... Czekaj na mój telefon. Nie mogę teraz swobodnie rozmawiać... Tak... tak... jest, jest w łazience...

Posłyszała kroki. Pośpiesznie odłożyła słuchawkę i jednym susem znalazła się w łóżku.

Pół twarzy miał namydlonej. Z ogolonego przed chwilą policzka spływała krew.

- Z kim rozmawiałeś? Spojrzała na niego czule.

- Biedaczku mój! Znowu się zaciąłeś. Poczekaj, zaraz ci zatamuję.

Wstała, wzięła z toaletki watę i butelkę z wodą kolońską. Podeszła do męża.

- Jesteś nieuważny. Jak można tak się kroić? Będzie trochę szczypać. Stój spokojnie.

- Nigdzie nie mogłem znaleźć ałunu - mruknął łagodniej, udobruchany troskliwością żony.

- Nie martw się. Ja ci poszukam. Wiesz przecież, że ty nigdy niczego nie potrafisz znaleźć...

Wajchert spojrzał podejrzliwie. Ta nagła czułość wydała mu

się podejrzana.

- Z kim rozmawiałaś? Udała zdziwioną.

- Rozmawiałam? Ja? Z tobą.

- Pytam, z kim rozmawiałaś przez telefon.

- Przez telefon? Ach, tak, tak. To była pomyłka. Wzruszył ramionami.

- Wiesz, że mogłabyś przynajmniej trochę inteligentniej kłamać.

Roześmiała się.

- Coś ty dzisiaj taki nie w sosie, Heniu? Ja rozumiem, że masz kaca po wczorajszym, ale dlaczego ja mam cierpieć?

O, widzisz, już nie krwawi. Skończ się teraz golić. Musisz ślicznie wyglądać, kochaneczku.

- Dlaczego muszę ślicznie wyglądać?

- Żeby mi się podobać. Uśmiechnął się kwaśno.

- Przecież przed chwilą powiedziałas, że nie wyszłaś za mnie za mąż dla moich „męskich wdzięków”.

Popchnęła go w kierunku łazienki.

- Idź, idź, głuptasku. Nie znasz się na żartach. Wyszedł, pomrukując coś pod nosem. Widocznie jednak

słowa pani Leny wpłynęły na poprawę humoru jej małżonka, po chwili rozległo się wesołe pogwizdywanie. Spytała przez drzwi:

- Heniusiu, czy ty gdzieś wychodzisz przed obiadem?

- Nie, kochanie. Nigdzie nie wychodzę... Mam trochę zaległej korespondencji. Muszę napisać kilka pilnych listów.

- Ale ja się trochę przejdę. Chcę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Idź, idź, skarbie. Przejdź się. Tylko się nie spóźnij na obiad. Wiesz, że Klementyna tego nie lubi, szczególnie w niedzielę.

- Bądź spokojny. Nie spóźnię się.

Pani Lena tak energicznie zabrała się do porannej toalety, że w niespełna pół godziny stanęła gotowa do wyjścia. Pocałowała męża w czubek łysiejącej głowy i już jej nie było.

Wiesław Koniewicz mieszkał na tak zwanym Latawcu. Był wysoki, postawny, przystojny. Miał trzydzieści dwa lata,

piękną, falującą czuprynę i ogromny tupet. Już we wczesnej młodości pozbył się owego „zbędnego” balastu, jakim są wszelkiego rodzaju skrupuły natury moralnej i fakt ten niezmiernie ułatwił mu pływanie po powierzchni życia. Posiadał nowoczesnie urządzone kawalerkę. Ubierał się z wyszukaną elegancją, lubił się bawić w towarzystwie pięknych kobiet i miał tę ogromną zaletę, że nigdy nie narzekał na brak pieniędzy. Skąd czerpał dochody, tego nikt z jego znajomych dokładnie nie wiedział. Oficjalnie pracował w ministerstwie.

Pani Lena dłuższą chwilę trwała nieruchomo w objęciach kochanka. Wreszcie jednak oswobodziła się z uścisku i westchnąwszy, wróciła do szarej rzeczywistości. Plastikowym grzebieniem poprawiła sobie wieczną ondulację i z namaszczeniem poczęła przesuwac szminką po wargach.

Koniewicz zapalił papierosa i czekał cierpliwie. Jako doświadczony mężczyzna wiedział, że w takich momentach nie należy zbędnymi słowami przeszkadzać kobiecie.

Wreszcie pani Lena skończyła swą działalność plastyczną.

-Jestem niespokojna - powiedziała.

Nieznacznie wzruszył ramionami.

- Słyszałem już to. Ale tłumaczę ci przecież, że nie masz najmniejszego powodu do niepokoju.

- Słuchaj, Wiesiu... Ty jesteś lekkomyślny. Zrozum, że to pachnie kryminałem...

Jeżeli...

Roześmiał się.

- Czym to pachnie, to już wiem najlepiej. Możesz mnie nie uczyć kodeksu karnego. Nie fatyguj się.

Spojrzała na niego ze złością.

-Jesteś zarozumiałym głupcem. Rozumiesz? Zmądrzejesz dopiero wtedy, jak dostaniesz dziesięć lat. Ale wtedy to już będzie za późno. To wszystko w ogóle nie miało najmniejszego sensu. Żałuję, że się w to wdałam. Czy wiesz, że Krzysztof wcale się nie odzywa? Jestem pewna, że coś knuje.

Koniewicz strzepnął popiół z papierosa i powiedział wolno.

- Krzysztofa się nie bój. Nic ci nie zrobi. Moja w tym głowa.

- A jednak ja się go boję.

-Jeżeli ci to sprawia przyjemność, to możesz się bać, ile ci się podoba.

- Ale zrozum, Wiesiu, że Krzysztof wie o wszystkim. Jeżeli zechce, to powie i...

- Bądź spokojna. Nie powie.

- Chciałabym ci wierzyć.

- Możesz mi wierzyć. Przede wszystkim nie denerwuj się. Jak zaczniesz szaleć, to sama się wspaniesz. Grunt to spokój.

Jesteś babką w dechę, tylko trochę za nerwową. Zaraz sobie wyobrażasz jakieś historie nie z tej ziemi. Wszystko będzie all right. Miej tylko do mnie trochę zaufania.

- Ależ ja ci ufam, Wiesiu.

- No to fajnie. Nie mówmy już o tym. Buźki! - Pociągnął ją ku sobie i mocno pocałował w usta. - Trzymaj się, Lenuś. Uważaj tylko na „kochanego” mężusia, żeby się nie kapnął.

Uśmiechnęła się.

- Ten stary ramol? Spokojna głowa.

- No, no. Widzę, że teraz ty jesteś trochę nazbyt pewna siebie. Pamiętaj o tym, że tacy „starzy ramole” często bywają niebezpieczni. Zazdrośni, podejrzliwi. A poza tym twój mąż nie jest tak stary, żeby nic nie rozumiał, co się koło niego dzieje.

- Chyba mi ufa. Koniewicz parsknął śmiechem.

- Cha, cha, cha! A to dobry kawał! Ufa ci? Po tej historii z Krzysztofem? Wiesz, że jesteś znakomita.

Wyrwała mu się z objęć.

- Idę. Do widzenia - powiedziała obrażona.

- No, Lenuś. Nie dąsaj się.

- Nie przyszłam tu po to, żebyś mi mówił same impertynencje.

- Zwariowałaś? Któż ci mówi impertynencje? Nie gniewaj się, kochanie. - Znowu ją objął i powiedział ciszej: - Kiedy przyjdiesz? Stęskniłem się za tobą.

-Jak będziesz taki, to nigdy. - Słowa te jednak zabrzmiały tak nieprzekonująco, że nie zwrócił na nie uwagi.

-Jutro po południu. Dobrze? O czwartej. Będę czekał.

- Spojrzała na niego spod rzęs.

- Może. Nie wiem.

- Będę czekał. Nie zrób mi kawału. Spojrzała na zegarek.
- Ojej, już strasznie późno. Muszę lecieć. Obiecałam Henrykowi, że nie spóźnię się na obiad. Do widzenia, kochany. Pa, pa, pa!

- Do widzenia, Lenuś. Do jutra.

Klementynajuz czekała z obiadem. Pani Lena pospiesznie się rozebrała, umyła ręce i przez chwilę obserwowała uważnie swe odbicie w lustrze. Doszedłszy do przekonania, że spotkanie z kochankiem nie pozostawiło na jej twarzy żadnego śladu, swobodnym krokiem weszła do pokoju.

Wajchert powiedział:

- Wiesz? Sensacja. Sensacyjna wiadomość.

- Co takiego?

- Dostałem list od Krzysztofa.

Spojrzała niespokojnie. Od czasu owej awantury nie wymawiali imienia Krzysztofa.

- List od Krzysztofa?

- Tak. I wyobraź sobie z Paryża. Masz, czytaj.

Wzięła kartkę ładnego listowego papieru i przebiegła ją oczami.

„Drogi Ojcze, zbrzydło mi już to życie w rodzinnym kraju. Postanowiłem poruszać się trochę po świecie. Siedzę w tej chwili w Paryżu. Wierzaj mi, że tutaj można odetchnąć prawdziwie artystyczną atmosferą. Warszawa to zabite deskami miasteczko w porównaniu z Paryżem. Urządziłem się zupełnie dobrze. Możesz być o mnie spokojny. Nie mogłem przecież całe życie siedzieć na tym strychu z Maurycym

i jego kanarkami. Nie podaję Ci na razie mego adresu, ponieważ mieszkam chwilowo w pensjonacie de familie i w tych dniach zapewne wyprowadzę się. Pozdrawiam Cię serdecznie, Krzysztof.”

Pani Lena dwukrotnie przeczytała list.

- Zdumiewające - powiedziała - zdumiewające. Skąd on w Paryżu?

Wajchert wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Jakoś to sobie skombinował. Sprytny chłopak. Dobrze zrobił. Może tam, na szerokim świecie dokona

czegoś więcej.

- Myślisz, że pojechał nielegalnie?

- Nie wiem. Możliwe. Zresztą to nie ma większego znaczenia. Nie sądzę, żeby chciał wracać. Pisze, że się jakoś urządził, więc... Chłopak sprytny, przystojny. Da sobie radę.

- Kiedy otrzymałeś ten list? - spytała pani Lena. - Przecież dzisiaj niedziela. Nie noszą poczty.

-Wczoraj przynieśli, jak nas nie było. Klementyna oddała mi go zaraz po twoim wyjściu. Rano nie chciała nas budzić.

Pani Lena była w doskonałym humorze. Wiadomość o wyjeździe Krzysztofa oznaczała dla niej spokój. Już się nie potrzebowała denerwować. Trudno było przecież przypuścić, żeby Krzysztof siedząc w Paryżu, chciał się zajmować tymi sprawami... Nie, nie, to było wykluczone. Na pewno myślał teraz zupełnie o czym innym. Dotknęła czule ręki męża:

- Heniulku, jakie masz plany na dzisiaj?

- No przecież jesteśmy zaproszeni na brydża do Kozieskich.

- Ach, prawda. Na śmierć zapomniałam. Nie bardzo mi się chce, ale trudno -obowiązki towarzyskie. Kto jeszcze u nich ma być? Nie wiesz?

- Nie wiem. Zdaje się, że profesor Zelman. Ale a propos. Będę musiał w tych dniach pojechać do Koronowa. Trzeba podgonić tam te roboty. Miały być na lipiec gotowe, a tu już grudzień. Może wybrałabyś się ze mną? Odpoczniesz trochę, odetchniesz świeżym powietrzem.

- Kiedy chcesz jechać?

- Choćby jutro.

- O nie, nie, jutro nie mogę. Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Dlaczegoż to nie możesz?

- Jestem zajęta.

- Cóż to za tajemnicze zajęcia?

- Takie tam babskie sprawy. Fryzjer, krawcowa, kosmetyczka.

- ...kochanek...

Pani Lena była oburzona.

- No wiesz... Cóż ty sobie wyobrażasz? Co to w ogóle znaczy? Wajchert pocałował żonę w rękę.

- Nie gniewaj się, kochanie. Przecież żartowałem.
- Nie znoszę takich żartów. Mam chyba prawo wymagać od własnego męża odrobiny szacunku.
- Cicho, Klementyna - syknął. - Masz rację, kochanie. Przepraszam cię.

Po deserze pani Lena poszła się położyć, Wajchert zaś usadowił się wygodnie w głębokim fotelu i zaczął przeglądać „Życie Warszawy”. Nie mógł jednak skupić uwagi na drukowanych stronicach. Ogarniała go coraz większa senność. Wreszcie wypuścił z rąk gazetę i zamknął oczy. Z milej drzemki wyrwał go chropowaty głos Klementyny.

- Proszę pana. Proszę pana.
- Co się stało? -Jakiś pan do pana.
- Do mnie? Kto?
- Młody. Mówi, że nazywa się Łosiński.
- Łosiński? Nie znam. Pewnie jakaś pomyłka. Mówi, że jest kolegą pana Krzysztofa. Wajchert wstał i spojrzał przytomniej.
- Niech go gospościa poprosi do mego gabinetu. Maurycy uklonił się. Był zmieszany.
- Bardzo pana przepraszam, panie inżynierze, że ośmielam się pana niepokoić, i to w dodatku w niedzielę, ale...
- Proszę, niech pan siada - powiedział Wajchert. - Może pan zapali, proszę.

- Dziękuję bardzo. Nie palę.

Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem w milczeniu. Wreszcie Wajchert powiedział:

- Więc pan jest kolegą mego syna?
- Tak właśnie. Krzysztof mieszkał u mnie przez ostatnich kilka miesięcy. Potem... potem... nie wiem... Potem nie widywaliśmy się z nim. Telefonował do mnie, że wyjeżdża... Nie rozumiem. Zdziwił mnie ten telefon. Bo skąd tak nagle... W ogóle to wszystko trochę dziwne. No CÓŻ...

Wajchert z uśmiechem patrzył na nieśmiałego młodzieńca.

- Czy pan wie, drogi panie, że Krzysztof jest teraz w Paryżu?
- W Paryżu?
- Tak. Dziwi to pana?
- Bardzo, bardzo mnie to dziwi... Pan nawet nie wie, jak

bardzo mnie to dziwi...

- Może pan chce przeczytać list, który od niego otrzymałem.

Maurycy ze zdumieniem przeczytał list raz, drugi i trzeci. Przełknął ślinę. Nie mogło być wątpliwości. To był charakter pisma Krzysztofa.

- Dzisiaj pan otrzymał ten list, panie inżynierze?

- Dzisiaj. To znaczy przyszedł wczoraj, ale gospościa doręczyła go dopiero dzisiaj. Widzę, że pan jest naprawdę zaskoczony.

-Jestem naprawdę zaskoczony - powtórzył cicho Maurycy.

-Tak... No cóż... skoro Krzysztof... Jeżeli jednak... jeżeli jednak to prawda, że wyjechał... no to boja wiem... Coś by trzeba z jego rzeczami. Zostawił u mnie swoje rzeczy, więc...

- Może pan zechce łaskawie, wobec tego, podać mi swój dokładny adres, a ja przyślę gospoście po rzeczy Krzysztofa.

Maurycy potrząsnął głową.

- Nie, nie. To już raczej ja sam przyniosę. Dwie ciężkie walizy. Kobieta nie da sobie rady. Jeżeli pan inżynier pozwoli, to jutro przywiozę. Nie wiem tylko, o jakiej porze kogoś zastanę.

- U nas przeważnie jest ktoś w domu. Najpewniej jednak w porze obiadowej, pomiędzy drugą a piątą. Jeżeliby nawet mnie nie było, to odbierze moja żona czy gospościa.

Maurycy wstał.

- Więc jutro po południu odwiozę rzeczy Krzysztofa. Do widzenia panu, panie inżynierze.

- Do widzenia. Dziękuję. Bardzo pan uprzejmy. Maurycy wyszedł i tak szybko zbiegł ze schodów, jakby go kto gonil.

W głowie miał zupełny zamęt. Krzysztof w Paryżu. Co to wszystko miało znaczyć? Więc okazuje się, że naprawdę coś mu się wtedy przywidziało, że tamto na Kaniowskiej było zjawą, wytworem chorej fantazji. Krzysztof nie został zamordowany. Żyje. Telefonował przecież do niego, a teraz napisał do ojca z Paryża. To były realne fakty. Widział przecież ten list. Więc jaki wniosek z tego wszystkiego? Czyżby coś z nim było nie w porządku? Przypomniał sobie tego kolegę, który zwariował z przepracowania. Biegał po korytarzu i do każdego wołał:

„Oddaj kapelusz”. Czyżby i on także...? Zrobiło mu się gorąco i zaraz potem wstrząsnął nim zimny dreszcz. A może należało pójść do doktora, do psychiatry. Przestraszył się tej myśli. Wystarczy tylko zacząć. W parę dni będzie gotów. Rzeczywiście zrobią z niego wariata. A czy...? Czy wie na pewno, że jest zupełnie normalny?

Zatrzymał się na przystanku koło Cedetu. Poczynał sobie zdawać jasno sprawę z tego, że jeszcze trochę takich rozważań, a nie pozostanie mu nic innego, jak tylko wsiąść w kolejkę i pojechać do Tworek. I nagle powziął decyzję: nie będzie się starał nic rozumieć. To było jedyne rozsądne wyjście z tej sytuacji. Nie będzie usiłował nic rozumieć i koniec kropka. Zajmie się swoimi sprawami i w ogóle nie będzie myślał o całej tej sprawie. Jeżeli Krzysztof żyje i jest w Paryżu, to niby o co chodzi. Na co ma sobie łamać głowę nad tą zagadką, której i tak nigdy nie rozwiąże. Nie ma sensu analizować jakichś stanów psychicznych, psychopatycznych. Po co? Do czego go to może doprowadzić? Tylko do szaleństwa. Wreszcie przecież sam w to uwierzy, że zwariował. Wsiadł w dwadzieścia pięć i pojechał na plac Narutowicza.

Kuźma się golił.

- Dobrze, że jesteś. Musisz zaraz zrobić się na bóstwo. -Ja? Dlaczego?

- Dzwonił do mnie Wacio Meloman. Idziemy na ubaw.

- Gdzie?

- Do Podjemskiego. Nie znasz go?

- Do tego aktora?

- Właśnie. Zaprosił nas na wieczór. Maurycy skrzywił się niechętnie.

Słyszałem, że to jakiś zboczeniec.

No pewnie. Stary pedał. Ale co ci szkodzi. Nie bój się.

Nie zgwałci cię. Nie lubi takich drągali. Jego ostatnia miłość to podobno ten twój Krzysztof.

- Czy wiesz, że Krzysztof prysnął za granicę - powiedział Maurycy.

- Co ty mówisz? Gdzie?

- Pisał do ojca z Paryża. Czytałem jego list.

- No, teraz będziesz już mógł wrócić na ten twój strych. Zabierzesz wreszcie bezdomne kanarki.

- Tak, tak, oczywiście. Chciałem cię nawet prosić, żebyś mi pomógł w przeprowadzce.

Kuźma skończył się golić i wytarł sobie twarz mokrym ręcznikiem.

- No więc jak, Borsuk, pójdziesz z nami?

- Sam nie wiem... Nie bardzo mam chęć.

- Chodź, chodź. Co się będziesz w domu kwasił? Rozerwiesz się trochę. Ochłaj, nielicha zagrycha. Zobaczysz, ubaw będzie po pachy.

Maurycy bał się zostać sam ze swymi myślami. Zgodził się.

Około ósmej przyszedł Wacio Meloman. Był szczupły, średniego wzrostu, o nijakiej twarzy, którą trudno zapamiętać. Małe, wesołe oczy błyszczały sprytem i radością Życia. Nie miał powołania do pracy naukowej i już trzeci raz zmieniał uczelnię, twierdząc, że nie może natrafić na studia, które by go pasjonowały. Prawdziwą przyczyną tego stanu rzeczy był fakt, że naprawdę pasjonował go tylko taniec. Tańczył znakomicie i jedynie wytrwałej pracy nóg na parkiecie zawdzięczał swe powodzenie. Ktoś nazwał go „Melomanem” i tak już zostało. Wielu kolegów nie знаło nawet jego prawdziwego nazwiska. Ostatnio zapisał się do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, ale już przemyślał nad tym, żeby się przerzucić na jakieś studia techniczne. Dlatego też kręcił się wśród studentów Politechniki, żeby, jak mawiał, „wyniuchać teren”.

- No jak tam, chłopaki? Gotowi jesteście? Szafa gra?

- Czekamy na ciebie - powiedział Kuźma.

- A Borsuk posuwa z nami?

- Namówilem go. Nie chciał iść, ale go przekonałem.

- No to w dechę. Tylko żeby się za bardzo nie zgorszył. U Bobusia to lepszy bajzel. Chłopak ma fantazję.

- Zapewniłem Morysia, że go nie zgwałci. Wacio wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Spokojna głowa. Bobuś nie gustuje w takich ponurakach. Poza tym woli blondynów. Ostatnio podobno dobierał się do Krzysia Wajcherta. Artystyczna dusza. Parsknęli śmiechem.

Maurycy popatrywał na nich niepewnie.

- No to odjazd - skomenderował Wacio. - Jak będziemy marudzić, to nam wszystko wychlają. Tam towarzystwo nie zartuje.

Robert Podjemski, popularnie zwany Bobusiem, mieszkał w Alejach Jerozolimskich w nowym bloku, niedaleko Cedetu. Osobiście otworzył drzwi gościom i powitał ich w lansadach.

- Czekamy, czekamy. Niedobre chłopczyki spóźniają się. Tutaj powieście sobie na wieszaku płaszczyki. O tak, doskonale. To jest pan Moryś? Bardzo się cieszę. Dużo o panu słyszałem. Wszak to pan hoduje te rozkoszne ptaszki, te kanareczki?

- Tak, to ja - powiedział ponuro Maurycy. Ciekawie przyglądał się temu pulchnemu mężczyźnie, którego gładka, mocno napudrowana twarz przypominała raczej twarz podstarzałej kobiety.

Weszli do dużego pokoju. Rozsiadła się tu już w wygodnych pozach spora gromadka. Przeważali mężczyźni, chociaż było też i kilka młodych bardzo pięknych dziewczyn. Najwidoczniej troskliwy gospodarz dbał o tych swych gości, którzy nie dorosli duchem do platońskich wzlotów.

- Przedstawiam państwu reprezentantów naszych nauk ścisłych inżynierów Kuźmę i Łosińskiego.

- Nie uprzedzajmy wypadków - powiedział Kuźma.

- Och, cóż to za różnica. Przecież za rok będziecie inżynierami. No, chodźcie, chodźcie. Najwyższy czas, żebyśmy się czegoś napili. Na początek proponuję po kieliszeczku czystej eksportowej i jakąś pikantną zakąseczkę. Kawiorek, śledzik,

tatar, sardynka. Co kto lubi. A może jajeczko w majonezie? Panie Morysiu, proszę bardzo.

Dręczeni pragnieniem goście ochoczo spełnili toast na cześć gospodarza i nie czekając na słowa zachęty, powtórnie napełnili kielichy.

„Pikantne zakąseczki” zniknęły z talerzy i półmisek w dość szybkim tempie. Co chwilę też pojawiały się na stolikach nowe butelki. Początkowy sztywny nieco nastrój zniknął bez śladu, ustępując miejsca zupełnej swobodzie obyczajów. Z krzesel przeniesiono się na szeroki tapczan, a pod ścianą na

dywanie i kolorowych poduszkach zorganizowano wschodni kącik, który jednogłośnie nazwano Szeherazadą. Rozgrzani kaloryferami i alkoholem biesiadnicy poczęli się stopniowo pozbawiać poszczególnych części garderoby, co niewątpliwie wpływało na wzmożenie rodzinnego nastroju. W pewnym momencie z tapczanu podniósł się Bobuś i ze scenicznym gestem zawołał:

- Silentium.

- Cicho, cicho - odezwały się głosy. - Bobuś przemawia, nasz mistrz przemawia.

- Panie i panowie. Dopóki jeszcze Bobuś nie pozbawił was całkowicie przytomności umysłu, wysłuchajcie poezji ulubieńca bogów, Tadzia Sołtysika.

- Uwaga, Bobuś ma atak kultury antycznej - powiedział ktoś z boku.

- Cicho, cicho - zagłuszyli go zwolennicy talentu Tadzia Sołtysika. Wstał blade blondyn i drewnianym głosem wyrecytował wiersz, który odznaczał się tym, że nie posiadał ani rymu, ani rytmu, ani sensu.

Zerwała się burza oklasków. Entuzjaści nowoczesnej poezji hałaśliwie okazywali swój zachwyty.

Zmęczony mistrz osunął się bezwładnie na tapczan, przy czym pobał jeszcze bardziej.

- Wyprowadźcie go do łazienki - odezwał się ktoś trzeźwo oceniający sytuację.

- Nic mu nie będzie - zapewnił Bobuś. - Zaraz dostanie kawy. Tadziku, czy cię trochę mdli? Powiedz, kochanie, powiedz prawdę swemu Bobusiowi. Mdl cię?

- Trochę - jęknął pobałły poeta.

- Chodź, kochany, chodź.

Po chwili Bobuś wrócił. Był sam.

Towarzystwo, pozbywszy się groźnego niebezpieczeństwa, odzyskało dobry humor. Niezupenie zgrany kwartet odśpiewał Sto lat, dobrze zbudowana blondyna wykonała piosenkę A rivederci Roma zaś ognista brunetka, o wyglądzie Hiszpanki, rozebrała się do naga i na okrągłym stoliku usiłowała odtańczyć kankana. Niestety, wąty mebel nie wytrzymał jej

wybuchowego temperamentu i w kulminacyjnym punkcie runął z trzaskiem. Dziarska dziewczyna byłaby niewątpliwie poniosła szwank na swym obnażonym ciele, gdyby jej nie pochwycił w ramiona Kuźma.

- Widzę, że zaczynacie mi demolować mieszkanie - powiedział z niesmakiem Bobuś.

Uwaga ta nie była pozbawiona słuszności, ponieważ właśnie w tej chwili ktoś zrzucił na podłogę radio. Producenci z Zakładów imienia Kasprzaka przewidzieli jednak najwyraźniej podobną ewentualność, ponieważ aparat nie tylko nie zamilkł, ale wprost przeciwnie, nabrał pięknego, głębokiego tonu.

Maurycy nie pił dużo. Nie był przyzwyczajony do wódki i bał się upić. Ale nawet już po tych paru kieliszkach czuł szum w głowie. Siedział pod ścianą na tapczanie i bronił się łagodnie przeciwko agresji miedzianowłosej piękności, która atakowała go dość bezceremonialnie. Najwyraźniej nieśmiałość tego skromnego młodzieńca podniecała ją.

Korzystając z chwilowej przerwy, Maurycy spytał cicho Wacia Melomana:

- Powiedz mi, kto jest ta ruda pani.

- Taka jedna. Nic ważnego. Możesz się z nią przespać, jeśli tylko masz ochotę.

- Ładna.

- Niebrzydka. Tylko troszkę już za bardzo tego...

Bobuś przyniósł dużą maszynkę kawy i butelkę chińskiego koniaku.

- Macie trochę kofeiny. Nalewajcie sobie.

- Wolałabym trochę kokainy - odezwał się kobiecy głos.

- No, no, Lilusiu. Nie udawaj narkomanki. Wyciągnął się na tapczanie koło Maurycego i pogładził go czule po policzku.

- Moryś, coś ty taki smutny, chłopczyku? Napij się koniaczku.

- Dziękuję. Nie mogę już pić.

- No to może papieroska?

- Dziękuję. Nie palę.

- Abstynencik kochany Nie pije, nie pali, boi się dziewczynek. Chodź, pokażę ci moje albumiki, książeczki. -

Pociągnął go w kierunku sąsiedniego pokoju. - Chodź, chodź. Nie bój się, Morysieńku.

- Bobuś, nie zgwałć mi Borsuka - krzyknął za nimi Kuźma. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zagłuszyły go pierwsze akordy muzyki elektronicznej. To Duduś Wielżański usiadł do pianina.

Pokój był nieduży. Przy ścianach stały półki z książkami, sięgające niemal do sufitu. Pod oknem małe zgrabne biurczko z jasnego mahoniu. Na ścianach fotografie Bobusia w różnych pozach i w różnych kostiumach.

Kiedy znaleźli się sami, Bobuś natychmiast zmienił swój sposób bycia. Był zupełnie trzeźwy. Wypity alkohol nie podziałał na niego zupełnie. Położył Maurycemu rękę na ramieniu i patrząc mu w oczy, powiedział:

- Mam nadzieję, że pan się nie gniewa na mnie za taki trochę frywolny ton. Ale widzi pan, my tutaj tworzymy taką jedną dużą rodzinę i to jest nasz sposób bycia. Może komuś wydać się nieco za swobodny, ale przecież nie możemy utrzymywać jakiejś sztywnej etykiety towarzyskiej.

Maurycy pomyślał, że rozbieranie się do naga odbiega dość daleko od „sztywnej etykiety towarzyskiej”. Nie zdradził się jednak ze swą refleksją.

- Nie gniewa się pan więc na mnie, panie Morysiu?

- Ale skądże znowu. Wbiegła tycjanowska piękność.

- Bobuś, Bobuś. Chodź prędko. Ratuj sytuację. Chcą wyrzucić przez okno Wacia Melomana.

- Kochane chłopczyki. Mają poczucie humoru. Dobrze, już idę. Niech pan sobie tymczasem obejrzy książeczki i albumiki z fotografijkami. Ja zaraz wracam. Zostawszy sam, Maurycy rozejrzał się sennie po pokoju. Nie miał ochoty oglądać ani „książeczek”, ani „albumików z fotografijkami”. Ziewnął. Był zmęczony. Najchętniej wyniósłby się z tego całego bałaganu. Nagle przyszła mu genialna myśl do głowy. Napisze do gościnnego gospodarza i wyjdzie niepostrzeżenie.

Usiadł przy biurku i sięgnął po blok listowy, leżący koło kałamarza. Drgnął. W bloku pod bibułą spostrzegł zapisaną kartkę papieru. Charakter pisma Krzysztofa. Zawahał się.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się czytać cudzego listu. W tej sytuacji jednak... „Robercie, raz jeszcze ci powiadam, że nie pomogą ani twoje prośby, ani groźby. Gdybyś nawet miał mnie naprawdę zabić, to i tak nigdy, nigdy nie wrócę do tego, co było. Brzydzę się tobą. Rozumiesz? Brzydzę się tobą. Nie mogę na ciebie patrzeć.

Jesteś wstrętny, podły, fałszywy. Teraz wierzę, że jesteś zdolny zamordować człowieka. Ale nie boję się ciebie. Nie odważysz się. Na wszelki wypadek noszę przy sobie nóż sprężynowy. Nie cofnę się przed niczym. Pamiętaj o tym i lepiej zostaw mnie w spokoju. Krzysztof.”

Maurycy z zapartym tchem przeczytał list, złożył go z powrotem i wsunął pod bibułę. Niespokojnie spojrział w kierunku drzwi, za którymi zniknął Podjemski. Ostrożnie wyszedł do przedpokoju. Nie chciał zostać tu ani chwili dłużej.

Kiedy zdejmował palto z wieszaka, posłyszał za plecami czyjś głos:

- Pan wychodzi?

Odwrócił się gwałtownie, jakby przyłapany na jakimś przestępstwie.

Wysoki, szpakowaty mężczyzna uśmiechnął się życzliwie. Maurycy już przedtem zauważył, że ten sympatyczny pan zachowywał się z dużą rezerwą i nie brał udziału w ogólnym szaleństwie.

- To może wobec tego razem opuścimy progi gościnnego domu. Ja też już mam dosyć tej zabawy. Zbyt tu hałaśliwie.

- O tak - przytaknął skwapliwie Maurycy.

Na schodach towarzysza Maurycyego wyciągnął rękę i powiedział:

- My się właściwie jeszcze nie znamy. To znaczy, ja usłyszałem pańskie nazwisko, ale pan nie wie, jak ja się nazywam. Pan pozwoli, że się przedstawię: Koszycki, Andrzej Koszycki.

Maurycy uściśnął podaną sobie dłoń.

- Wydaje mi się, że słyszałem już gdzieś pańskie nazwisko.

- Bardzo możliwe. Jestem dziennikarzem, a ostatnio wyszedł tom moich opowiadań. Mógł pan gdzieś na okładce

zobaczyć moje nazwisko.

Maurycy, dla którego świat dziennikarzy i literatów był czymś zupełnie nieznanym, tajemniczym i bardzo pociągającym, był zachwycony tą nową znajomością. Kiedy znaleźli się na ulicy, Koszycki spytał:

- Gdzie pan mieszka?
- W akademiku. Na placu Narutowicza.
- Jeśli pan pozwoli, to odwiozę pana. Mam tu swój wóz.
- Och, bardzo dziękuję.

Wsiedli do fiata. Koszycki uśmiechał się nieznacznie. Widocznie bawiło go wrażenie, jakie wywarł na nieśmiałym studencie.

- Miło by mi było, gdybyśmy mogli utrzymać naszą znajomość. Czy nie zechciałby pan spotkać się ze mną któregoś dnia?

Maurycy był zdziwiony.

- Bardzo chętnie, ale...
- Rozumiem. Nie wie pan, dlaczego chciałbym się z panem spotkać. Otóż jest sprawa tego rodzaju, że noszę się z zamiarem napisania powieści z życia młodzieży różnych krajów.

Dużo podróżuję i dlatego... W związku z tym zależy mi na kontaktach z młodzieżą, szczególnie z młodzieżą akademicką. Zbieram materiały. Teraz już pan rozumie. Maurycy skinął głową.

- Tak, rozumiem. Obawiam się tylko, że nic specjalnie ciekawego nie potrafię panu opowiedzieć. Właściwie to ja się bardzo mało udzielam, nigdzie nie bywam, bardzo rzadko... Nie sądzę, żeby pan miał ze mnie jakiś pożytek.

Koszycki się roześmiał.

-Jest pan niezwykle skromny. Ale mogę pana zapewnić, że tak zwany „pożytek” będę miał na pewno ze znajomości z panem. Przyznaję, że tam u Bobusia od razu zwróciłem na pana uwagę. Zainteresował mnie pan.

Maurycy spojrział na niego szczerze zdumiony.

-Ja?

- Tak. Dlaczegoż to pana tak zdumiewa?

- No bo... nie rozumiem... zupełnie nie rozumiem...

Przecież...

- To proste. Jest pan inny, nie taki jak pańscy koledzy. To się widzi i to się czuje. Trudno to może tak od razu panu wytłumaczyć. Nie jest pan zapewne zorientowany w pracy literackiej.

- Zupełnie nie.

- No właśnie. Ale z czasem zrozumie pan te rzeczy. Zatrzymali się przed domem akademickim.

- No więc jak? Zobaczmy się?

- Chętnie.

- Co pan robi we wtorek po południu?

- Mam laborkę. To znaczy mam ćwiczenia na Politechnice.

- To może wieczorem?

- Wieczorem prędeej.

- O ósmej?

- Dobrze.

- Więc o ósmej we wtorek w „Niespodziance” na MDM. Na górze. Zgoda?

- Zgoda. Bardzo panu dziękuję za odwiezienie.

- Nie ma za co. Cześć. Do wtorku.

Leżąc w łóżku, Maurycy myślał o przyjęciu u Podjemskiego. Ten list. Znowu przypomniał mu się Krzysztof i cała ta przekłeta sprawa. Znowu wrócił do tamtej nocy. Znowu zobaczył twarz profesora Kozieskiego, Teresę, dom na Kaniowskiej i... do licha... Przecież obiecał sobie, że nie będzie już myślał o tym wszystkim, że nie będzie usiłował zrozumieć tego, co się stało, tego, co widział.

Nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok.

Nad ranem wrócił pijany Kuźma.

ROZDZIAŁ VI

Niechętnie otworzyła oczy. Leżała bez ruchu, patrząc na wąską smugę światła przedzierającego się przez niedosuniętą zasłonę. Z niepokojem myślała o tym, że wreszcie trzeba będzie przecież wstać, chodzić, ruszać się, mówić, żyć. A ona pragnęła tylko spokoju. Cały dzień mogłaby tak przeleżeć zapatrzona w

kolorową storę, przez którą przebijał się blask dnia. Wiedziała jednak, że to niemożliwe, że za chwilę wstanie matka i przyjdzie ją budzić. Zacznie ją pytać, dlaczego tak mizernie wygląda, dlaczego nie idzie na wykłady, dlaczego to, dlaczego tamto. Och, Boże, jakie to wszystko beznadziejne. Czyż ludzie zawsze tak się muszą wzajemnie zdręzczać? Od szeregu dni żyła w oczekiwaniu na wiadomość od Krzysztofa. Nie mogła uwierzyć w to, żeby uciekł przed nią, przed jej miłością. Przecież i on ją kochał... Więc dlaczego?

Nie miał w stosunku do niej żadnych zobowiązań. W każdej chwili mógł powiedzieć, że nie chce, że ma dosyć, że odchodzi. Czyżby brakło mu odwagi, takjakiej brakło odwagi powiedzieć Maurycemu. Maurycy. Dobry, kochany chłopak. Skrzywdziła go. Powinna była już dawno zerwać, powiedzieć prawdę, skończyć z tą komedią. Odkładała decydującą rozmowę z dnia na dzień, aż wreszcie... Ale co się stało z Krzysztofem? Wtedy bawili się w „Krokodylu” do późnej nocy. Ona, Krzysztof, ten pederasta Bobuś, Podjemski i Magda. Potem przysiadł się do nich Wiktor. Ponura twarz Radonia często stawała jej przed oczami. Chude, zapadnięte policzki, czarne, gorejące oczy, głęboka blizna biegnąca od prawego ucha aż do wielkich, zaciśniętych ust. I te ręce, ogromne, wstrętne, ze ściętymi łopatkowato palcami, ręce mordercy. Wzdrygnęła się. Przez cały czas nie dopuszczała do siebie tej myśli, która wracała uparcie.

Nie, nie, to niemożliwe, to nieprawda. Radoń nienawidził Krzysztofa. Ona jedna wiedziała, jak bardzo go nienawidził. Wypiła wtedy trochę za dużo. Nie chciała pijana wracać do domu. Pojechała spać do Magdy. Tamci trzej zostali w taksówce. Wtedy po raz ostatni widziała Krzysztofa. Umówiła się z nim na drugi dzień „Pod Kurantem”.

Nie przyszedł. Czekala przeszło godzinę. I potem już nie dał znaku życia. Pamięta wściekle spojrzenia Wiktora, kiedy tańczyła z Krzysztofem. Czula instynktownie, że ten człowiek jest zdolny do wszystkiego. Nigdy nie mogła zrozumieć tego, że jej matka... Dlaczego wybrała sobie akurat takiego człowieka?

-Joanno. Jeszcze nie wstajesz?

-Już wstaję, mammo.

- Późno. Śniadanie na stole.

Narzuciła szlafrok i przegarnęła palcami włosy.

- Zaraz będę gotowa,

- Potem się umyjesz. Chodź jeść. Kawa gorąca.

Kiedy usiadły do śniadania, pani Skulska niespokojnie spojrziała na córkę.

- Źle wyglądasz, moje dziecko, bardzo źle. Powiedz wreszcie, co ci jest. Musisz być chyba chora.

Joanna skrzywiła się niechętnie. Wiedziała, że nie sposób uniknąć tego gadania.

- Ależ zapewniam cię, mammo, że nic mi nie jest.

- Masz jakieś przykrości?

- Któż ich nie ma.

Ale o co właściwie chodzi? Coś na uczelni? Czy może sprawy sercowe? Nie wierzę w to, żebyś się tak przejmowała tym twoim Maurycem. Przecież to straszna oferma. W ogóle zdaje mi się, że to wasze narzeczeństwo się rozleci.

- Mnie też się tak zdaje - mruknęła Joanna. Pani Skulska przysunęła się do córki.

- Posłuchaj mnie, Joanno. Dotychczas uważałam, że masz do mnie zaufanie.

Byłyśmy ze sobą zawszejak dwie przyjaciółki.

O wszystkim mi mówiłaś, zwierzałaś mi się. Więc dlaczego nagle... - Pochyliła się i zajrzała jej w oczy. - Mam nadzieję, że to nie ma jakiegoś związku z Wiktorem? -powiedziała ciszej.

- Dlaczego Wiktor przyszedł ci na myśl?

- No bo... bo od jakiegoś czasu zauważyłam, że...

- Co zauważyłaś?

- Że patrzy na ciebie w taki swój specjalny sposób. Joanna wzruszyła ramionami.

- Więc co z tego? Niech sobie patrzy. Mało mnie to obchodzi.

Pani Skulska uśmiechnęła się i pogładziła córkę po włosach.

- Widzisz, kochanie, ty jeszcze nie masz doświadczenia, nie znasz życia i ludzi, tak jak ja znam. Wiktor to wykolejony, nieszczęśliwy człowiek, ale i bardzo niebezpieczny. Wojna

zmienia ludzi w dzikie zwierzęta. Jedni potrafią się otrząsnąć z tego i wracają do ludzkich form egzystencji, a drudzy...

-Więc dlaczego... dlaczego go sobie wybrałaś? Dlaczego właśnie on został twoim kochankiem? - wybuchnęła Joanna, uwalniając się z objęć matki.

Pani Skulska wstała i wolno podeszła do okna.

- Trudno by mi było wytłumaczyć ci to wszystko w tej chwili. To nie takie proste. Nie wiem nawet, czybyś zrozumiała. Może kiedyś zrozumiesz. Chciałam cię tylko bardzo prosić, żebyś uważała na Wiktora. On zaczyna za bardzo wodzić za tobą oczami. Nie myśl, że jestem zazdrosna - dodała pośpiesznie. - Mogłabyś odnieść takie wrażenie. Ale daję ci słowo, że chodzi mi tylko o ciebie. Wiem, kto to jest Wiktor, i nigdy nie dopuszczę do tego, żeby zmarnował życie mojej córki, tak jak zmarnował moje życie. Błagam cię, Joanno, trzymaj się od niego z daleka.

- Ależ ja się trzymam z daleka. Nie znoszę go. Wiesz przecież o tym.

-Wiktor bardzo silnie oddziałuje na kobiety i jeżeli tylko chce...

Joanna gwałtownie potrząsnęła głową.

- Może chceć, ile tylko mu się podoba. Bądź spokojna, na mnie on zupełnie nie „oddziałuje”.

Pani Skulska spojrzała na zegarek.

- Muszę już lecieć. Do widzenia, córeczko.

Joanna została sama nad szklanką zimnej kawy. Słowa matki pogłębiły jeszcze jej niepokój. „Wiktor to wykolejony, nieszczęśliwy człowiek, ale i bardzo niebezpieczny. Wojna zamienia ludzi w dzikie zwierzęta.” Ona sama to powiedziała, ona sama tak uważa. Więc to możliwe... Boże.

Wiktor nie daje jej spokoju. Wtedy w „Krokodylu” patrzył na Krzysztofa wzrokiem dzikiego zwierzęcia, wściekłego zwierzęcia. Wiedział, że onajestwnim zakochana.

Nie może dłużej żyć w niepewności. Musi poznać prawdę. Musi wreszcie wiedzieć, co się stało z Krzysztofem. Odzyskała nagle dawną energię. Rozmówi się z Wiktorem. Teraz, zaraz, nie zwlekając. To wszystko i tak już za długo trwa. Przecież o

Krzysztofa nikt teraz nie dba, nikt się nawet nie zainteresuje jego zniknięciem. Ojciec nie chce go znać. Maurycy wyprowadził się z kanarkami do Kuźmy. Koledzy z Akademii myślą zapewne, że zawieruszył się z jakąś dziewczynką.

Podeszła do telefonu i nakręciła numer. Po chwili usłyszała głos Wiktora.

- Tu Joanna. Słuchaj, muszę się natychmiast z tobą zobaczyć.

- Dobrze. Przyjedź do mnie.

Zawahała się. Wiedziała, że to było bardzo ryzykowne. Nie chciała jednak przyznać się, że się boi.

- Halo. Joanna. Czy mnie słyszysz?

- Tak, słyszę cię.

- No więc jak? Przyjedziesz?

- Przyjadę - powiedziała zdecydowanie.

Radoń mieszkał na Żoliborzu, na Krasińskiego. Odnajmował pokój przy rodzinie. Joanna wolno szła po schodach. Najchętniej zawróciłaby i uciekła. Teraz dopiero poczęła zdawać sobie sprawę z tego, na co się odważyła. „O tej porze sam jest w mieszkaniu” - myślała.

Stanęła przed drzwiami oznaczonymi numerem pięć. Zawahała się. Jeszcze mogła się cofnąć, jeszcze nie było za późno. Będzie wiedział, że się go boi i będzie z tego dumny.

Podniosła rękę i zastukała energicznie.

Otworzył natychmiast. Wciągnął ją do przedpokoju.

- Nareszcie się zdecydowałaś. Wyrwała mu się gwałtownie.

- Puszczaj. Nie po to do ciebie przyszłam. Udał zdziwionego.

- Sądziłem, że przyszłaś, bo mnie kochasz.

Patrzała mu prosto w twarz, usiłując opanować wewnętrzne drżenie.

- Muszę z tobą poważnie porozmawiać. Dlatego przyszłam.

- Lubię poważne rozmowy. Proszę cię, wejdź. Zaprowadził ją do swego pokoju i wskazał ręką tapczan.

- Siadaj.

Usiadła na krześle. Nie zdejmowała rękawiczek ani beretu. Chciała wyglądać jak najbardziej oficjalnie.

- Co się stało z Krzysztofem?

- Z kim?

- Nie udawaj, że nie wiesz, o kogo chodzi. Chcę wiedzieć, co się stało z Krzysztofem Wajchertem.

Wzruszył ramionami.

- Dlaczego właśnie mnie o to pytasz? Cóż ja mam wspólnego z tym pacykarzem?

- Byliśmy wtedy razem w „Krokodylu”. Ja, Krzysztof, Podjemski, Magda i ty. Pamiętasz?

- Pamiętam. No i co z tego?

- Od tego wieczora nie widziałam Krzysztofa.

- Widocznie znalazł sobie inną. Joanna poruszyła się niecierpliwie.

- Słuchaj, ja mówię poważnie.

-Ja także.

- Krzysztof zniknął. Rozumiesz? Nie ma go ani w domu, ani na uczelni, ani w ogóle nigdzie. Muszę wiedzieć, co się z nim stało.

Radoń wyjął papierośnicę.

- Więc uważasz, że ja się powinienem opiekować twoimi amantami? Przyznaję, że to dosyć oryginalny pomysł. A może mi tak łaskawie wytłumaczysz, dlaczego właśnie ja mam wiedzieć, gdzie się podział pan Wajchert.

- Ty go nienawidzisz - powiedziała Joanna.

Radoń zaśmiał się krótkim, pozbawionym wesołości śmiechem.

- Kapitalna jesteś, moja mała. Więc ty myślisz, że ja zaciukałem tego gówniarza? I co ty sobie wyobrażasz, hę? No co ty sobie wyobrażasz? Gadaj. Że ja bym ci się tak zaraz do wszystkiego przyznał? Że bym ci się wypowiedział i prosił o rozgrzeszenie? Stuknij się no w głowę, siostró.

Joanna zerwała się z miejsca, podbiegła do Radonia i chwyciła go za kłapy marynarki.

- Coś ty zrobił z Krzysztofem? Coś ty zrobił z Krzysztofem? Wstał bez pośpiechu. Ujął ją za przeguby rąk i ścisnął z taką siłą, że krzyknęła z bólu.

- Puszczaj.

Rzucił ją na tapczan.

- Ty dziwko - warknął.

Patrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Ogarnął ją strach.

Stał nad nią wysoki, barczysty, pochylony jak do skoku. Długie ręce, zakończone szerokimi, żyłastymi dłońmi, chwiały się wolnym, wahadłowym ruchem. ("wałtownie podkurczyła nogi i usiadła.

- Nie dotykaj mnie. Nie dotykaj mnie. Językiem zwilżyła wargi.

Postanowiła się bronić. Zerwała się.

Silnym pchnięciem cisnął ją z powrotem na tapczan.

- Leż.

Skoczył, chcąc ją obezwładnić ciężarem swego ciała.

Skurczyła się i z całej siły trzasnęła go obydwoma nogami w brzuch. Upadł na podłogę. Rzuciła się ku drzwiom. Zerwał się i klnąc, pochwycił ją za ramiona.

- Ty cholerna...

Z całej siły walił ją po twarzy. Czuła smak krwi i zamęt w głowie. Myślała o tym, że lada chwila straci przytomność i wtedy...

- Panie Radoń, panie Radoń, co się tam u pana wyprawia?

- Nie pani interes - odrzyknął zadyszany. Joanna szarpnęła się.

- Puść, bo będę krzyczeć, będę wołać o pomoc. Rozluźnił chwyt. Wargi drżały. Otworzyła drzwi. W przedpokoju zobaczyła tęgą kobietę, która przyglądała jej się ciekawie. Wbiegła na schody. Radoń nie gonił jej.

Dopiero na ulicy włożyła palto. Trzęsa się cała z podniecenia. Nie mogła się opanować. Wiedziała, że to nie koniec, że Wiktor nie zrezygnuje tak łatwo. Przerazała ją myśl, że ten człowiek dopiero teraz zacznie ją prześladować. Co robić? Powiedzieć matce? Byłajuz przecież dorosła. Powinna umieć sobie sama radzić.

Nie miała się do kogo zwrócić o pomoc. Gdyby był przy niej Krzysztof... Ale Krzysztofa już może nigdy nie zobaczy. Maurycy. Biedny, nieśmiały Maurycy. Czyż mogłby przeciwstawić się takiemu człowiekowi jak Wiktor? Nie, to

śmieszne, niedorzeczne. Potrzebowała pomocy. Czuła się zupełnie sama, opuszczona, bezradna. Wsiadła w tramwaj i pojechała na Politechnikę. Trafiła akurat na przerwę między wykładami. Bez trudu odnalazła Maurycego.

Spojrzał na nią niepewny, zażenowany.

- Słuchaj, Maurycy, muszę z tobą porozmawiać. Czy mógłbyś zrezygnować z następnego wykładu?

- No cóż... Może mógłbym - powiedział niezdecydowanie.

- To dla mnie bardzo ważna sprawa. Proszę cię.

- Dobrze. Jak ważna sprawa, to dobrze. Gdzie pójdziemy?

- Najbliżej chyba mamy do „Stylowej”. Chodź.

Na ulicy nie rozmawiali. Dopiero gdy usiedli przy stoliku i zamówili kawę, Joanna powiedziała:

- Pewnie wydaje ci się to dziwne, że... że przyszedłam do ciebie i że chcę z tobą pomówić...

Maurycy zmieszał się.

- Nie... No cóż... Właściwie dlaczego?

- Musisz mieć żal do mnie?

- Miałem, ale już teraz nie mam - powiedział szczerze.

- Postąpiłam w stosunku do ciebie po świńsku. Ale zrozum, że nie mogłam się zdobyć na szczerą rozmowę. Tak mi było trudno, tak strasznie trudno zrobić ci przykrość. Odkładałam z dnia na dzień.

- Rozumiem. Niepotrzebnie robisz sobie wyrzuty.

- Maurycy.

- Słucham.

- Wiesz. Znalazłam się w bardzo trudnej sytuacji. Nie mam się kogo poradzić. Dlatego... dlatego chciałam pomówić z tobą. Ja wiem, że to głupie, że to bezsensowne. Ale mam do ciebie zaufanie. Wiem, że mi dobrze poradzisz.

Patrzył na nią zaskoczony.

- Co się stało?

- Prześladowuje mnie jeden typ. Boję się. Maurycy wypił łyk kawy i pomyślał chwilę.

-No słuchaj... Jeżeli cię to urządza, to ja mogę w dalszym ciągu grać rolę twojego narzeczonego.

- Nie, nie. Dziękuję ci, ale to niemożliwe, nie mogę tego od

ciebie wymagać.

- Nie rozumiem. Niby dlaczego? Jeżeli moja osoba może odstraszyć tego drania i jeżeli masz mieć spokój, to... Przecież mnie to nie szkodzi. Nie widzę w tym zupełnie nic złego ani niemożliwego.

Podniosła na niego oczy pełne łez.

-Jesteś bardzo dobry, Maurycy, bardzo. Peszyła go ta rozmowa.

- Słuchaj, Joanno, może poszlibyśmy dziś do kina? Ostatecznie jajuż mogę nie wracać na Politechnikę. Chcesz? Rozerwiesz się trochę.

W zamyśleniu patrzała przed siebie. Nie dosłyszała jego słów.

- Czy wiesz, że Krzysztof gdzieś zniknął - powiedziała cicho.

- Krzysztof wyjechał do Paryża. Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

- Dokąd wyjechał?

- Do Paryża. Czytałem jego list.

- I ty w to wierzysz?

- No... no... wierzę - powiedział niepewnie. Chwyliła go mocno za rękę.

- Och, Maurycy, Maurycy. To nieprawda. Nieprawda. Boję się, okropnie się boję. Czy wiesz...? Czy ty wiesz...?

-Joanno, co się z tobą dzieje? O czym ty mówisz?

- Boję się, okropnie się boję, że Krzysztof... że Krzysztof nie żyje... że został zamordowany.

Maurycy poczuł, że blednie.

ROZDZIAŁ VII

Maurycy odłożył na parę dni powrót do swego dawnego mieszkania. Perspektywa samotnego życia na poddaszu nie zachwycała go zbyt. Towarzystwo Kuźmy, tego zdrowego, trzeźwo myślącego chłopaka bardzo mu obecnie odpowiadało. Nie przyznawał się do tego przed samym sobą, ale bał się samotności, bał się tych upartych, natrętnych myśli, od których w żaden sposób nie mógł się uwolnić.

Ostatnia rozmowa z Joanną wywarła na nim silne wrażenie. Więc i Joanna przypuszcza, że Krzysztof... Ta sprawa ciągle do niego wracała, z różnych stron, od różnych ludzi. Zaledwie wydało mu się, że powoli zaczyna zapominać, że może o tym nie myśleć, kiedy znowu... znowu... Ten list znaleziony u Podjemskiego, a teraz znowu rozmowa z Joanną. Jakżeż żałował, że od razu nie poszedł do komisariatu i że nie zawiadomił milicji. Byliby wszystko zbadali, wyjaśnili. W tej chwili za późno już było o tym myśleć. Stał się nerwowy, roztargniony. Nie mógł na niczym skupić uwagi. Często zapadał w głęboką zadumę i wtedy nic nie widział i nie słyszał. Koledzy podkpiwali sobie z niego, snując różne przypuszczenia na temat nowej, romantycznej miłości Borsuka. Sprawa z Joanną była już wszystkim dobrze znana i przestała być sensacją dnia.

W poniedziałek, bezpośrednio po rozmowie z Joanną, Maurycy spotkał w stołówce Teresę. Wiedział, że jadła obiady w domu, więc trochę się zdziwił.

- Czołem. A ty co tu robisz?

- Przyszłam zobaczyć się z tobą. Zdziwił się jeszcze bardziej.

- Tak. Z tobą. Czy wydaje ci się to aż tak nieprawdopodobne?

- Nie... no nie... ale... Bardzo się cieszę - dodał pośpiesznie.

Uśmiechnęła się. - Jadłeś już obiad, Moryś?

- Właśnie skończyłem.

- No to chodź.

Wzięła go pod rękę i pociągnęła do szatni.

- Ubieraj się, idziemy.

Włożył palto i popatrywał na nią niepewnie.

- Dokąd chcesz, żebym szedł?

- Postanowiłam cię zarekwirować na dzisiejsze popołudnie. Najprzód zapraszam cię na ciastka, a następnie idziemy do kina. Kupiłam na szóstą bilety do „Śląska”.

-Ale właściwie dlaczego...? - próbował się bronić Maurycy.

- Dlatego, że mam ochotę. Czy to nie wystarczający powód?

- No... raczej tak. To znaczy jak dla kogo.

Nie jesteś uprzejmy. Czyżby moje towarzystwo było dla

ciebie przykre?

- Ależ Tereniu, jak możesz przypuszczać coś takiego? Wiesz przecież, że cię bardzo lubię.

W kinie, kiedy światło zgasło, wzięła go za rękę.

- Maurycy...

- Słucham?

- Nie masz do mnie żalu?

-Ja? Do ciebie? Co za pomysł? Za cóż mógłbym mieć żal?

- No, że... że wtedy nie stanęłam w obronie twoich kanarków, że dopuściłam do tego, żeby ojciec wyrzucił cię. Powinnam była jednak jakoś zareagować.

- Nie myśl o tym, Tereniu. Przecież to nie ma sensu. Nie mogłaś się inaczej zachować. Ostatecznie to jest dom twojego ojca. No i... trzeba przyznać, że miał prawo się zdenerwować. Zresztą w tej chwili to naprawdę nie warto o tym myśleć. Zapewniam cię, że nie mam do ciebie najmniejszego żalu.

- To dobrze - szepnęła Teresa.

Zaczął się film. Przez dwie godziny śledzili z napięciem losy bohaterów, zagubionych w piaskach pustyni. Kiedy wyszli z kina, Maurycy powiedział:

- To było rzeczywiście „gorzkie zwycięstwo”.

- Tak. Są na świecie tacy ludzie. Cieszą się uznaniem i szacunkiem swego otoczenia, są uważani za dzielnych, szlachetnych, a w rzeczywistości to mordercy, dobrze zamaskowani mordercy.

- O kim mówisz? - spytał gwałtownie Maurycy. Spojrzała na niego zdziwiona.

- No jak to o kim? O tym majorze, który dowodził oddziałem w pustyni.

- Zdawało mi się, że... miałaś na myśli kogoś, kogo znasz.

- Nie. Co ci do głowy przychodzi? A zresztą skądżeż ja mogę wiedzieć, czy znam takiego człowieka, takiego potencjalnego mordercę. Przecież to są bardzo osobiste sprawy. Każdyje starannie ukrywa. O takiej rzeczy można się dopiero wtedy przekonać, kiedy zaistnieją odpowiednie okoliczności.

Maurycy milczał. Począł iść tak szybko, że Teresa z trudem mogła nadążyć.

- Nie pędź tak. Gdzie się tak śpieszysz?
- Przepraszam cię. Zamyśliłem się. Doszli do Alej i wsiedli w dwadzieścia pięć.
- Chcesz mnie odwieźć na Saską Kępe?
- Oczywiście. Jakże mogłoby być inaczej.
- Masz przestarzałe poglądy. W dzisiejszych czasach kobiety są samodzielne, nie potrzebują męskiej opieki. Moi koledzy nigdy się o to nie troszczą, żeby mnie odwozić do domu. Żegnamy się na ulicy i cześć. Każdy idzie w swoją stronę.
- Cóż robić - uśmiechnął się Maurycy. - Widocznie to ja mam takie przestarzałe zwyczaje. Wszyscy mi ciągle mówią, że jestem jakiś inny, dziwny. Ja sam to czuję, że nie bardzo może pasuję do otaczającego mnie świata. Ale nic nie mogę na to poradzić. Taki już jestem. Nie mówię oczywiście w tej chwili o tym, że odwożę cię do domu. Mówię tak ogólnie.

Teresa dotknęła jego ramienia.

-Ja cię bardzo lubię właśnie takim, jakim jesteś - szepnęła.

Wracając, Maurycy myślał o tym, że Teresa jest, jak to się mówi, „babka w dechę”. Kuźma leżał w łóżku. Łykał aspirynę i popijał gorącą herbatą. Był monstrialnie zakatarzony.

- No jak tam, Staszek? Lepiej ci?
 - Lepiej nie mówić. W kichaniu osiągnąłem już szybkość rakiety międzyplanetarnej. A ty gdzie się tak wypuszczasz? Randka, co?
 - Coś w tym rodzaju.
 - Brawo, Borsuk. Widzę, że się powoli zaczynasz wyrabiać. Widać mój zbawienny wpływ. Zawsze ci powtarzam, że nie ma sensu robić tragedii ze spraw miłosnych.
- Nie będzie ta, to będzie inna. Bierz ze mnie przykład.
- Nie każdy potrafi tak lekko brać te rzeczy. A zresztą, nie wiadomo, może i na ciebie przyjdzie czas, może i ty się zakochasz.

Kuźma ryknął śmiechem i byłby się niewątpliwie przez czas dłuższy poddawał atakowi wesołości, gdyby mu w tym nie przeszkodziło potężne kichanie, które siłą swą przywodziło na pamięć tradycje staropolskich tabakier. Wreszcie jednak paroksyzm minął i chory wykrztusił z trudem:

- No widzisz, co ty wyprawiasz, Borsuk. Byłby mnie szlag trafił. Nie zapominaj, że nie wolno tak rozśmieszać człowieka zakatarzonego. To jest niebezpieczne.

Nazajutrz Kuźma wstał krzepki i zupełnie zdrów. Katar przeszedł bez śladu. Najwidoczniej aspiryna naprawdę pomogła.

- Słuchaj, Borsuk, ja cię nie wyganiam, ale dostałem wiadomość, że Heniek w tych dniach wraca ze szpitala, więc...

- Nie ma o czym mówić - zapewnił go Maurycy. - Przecież ci powiedziałem, że się wyprowadzam. Chciałem cię tylko prosić, żebyś mi pomógł... no bo wiesz... walizy, kanarki...

- No dobra. To kiedy posuwamy na to twoje Powiśle?

- Kiedy chcesz.

- Może dzisiaj wieczorem?

Maurycy przypomniał sobie, że na wieczór umówił się z Koszyckim. Potrząsnął głową.

- Dzisiaj nie mogę. Jestem zajęty. Może jutro.

- Wolę we czwartek.

- Dobra.

- Wychodzisz już?

- Tak. Muszę zajrzeć do kanarków. Spotkamy się na wykładach. Cześć.

Od czasu tragicznej śmierci Carusa na czoło wychowanków Maurycego wysunął się Kuba. Miał jasnożółte jednolite upierzenie i czarne błyszczące energią oczy. Pochodził również ze szlacheckiego rodu wysokogatunkowych turkotów, ale w sztuce śpiewania nie doszedł do takiej perfekcji jak Caruso. Owszem, głos miał miły, czysto brzmiący, mocny, nigdy jednak nie zdołał osiągnąć tej mistrzowskiej subtelności tonu, jaką potrafią wydobyć z siebie tylko artyści największej klasy. Oczywiście nie mógł się z nim równać trajkot Wituś, ani ciapak Dyzio, ale to już nie był Caruso.

Pan Michał powitał Maurycego z kordialną wylewnością.

- Moje uszanowanie panu inżynierowi, moje uszanowanie. Kanareczki, chwalić

Boga, chowają się zdrowo. Nie chcą tylko coś cholery śpiewać, ale może to dlatego, że im trochę u mnie za duszno.

Uwaga ta nie była pozbawiona słuszności, albowiem izba dozorczy, wypełniona dymem tytoniowym i wzyewami alkoholowymi, nieomal zupełnie została pozbawiona tlenu, który, jak wiadomo, jest niezbędnym warunkiem egzystencji żywych organizmów.

—Już w czwartek uwolnię pana od moich ptaszków - powiedział Maurycy.

Pan Michał pokiwał głową z aprobatą.

- Może to i lepiej, panie szanowny, może to i lepiej. Brakuje im tu u mnie powietrza. A prócz tego ostatnio coś takiego za mną chodzi, że rady sobie dać nie mogę. Ciągłe mnie to męczy. Jak tylko się popatrzę na te klatki, to zaraz zaczynam kombinować, czy też z takich kanareczków dobra byłaby zagrycha po wódce. Jakby tak na przykład pasztet... albo na rożnie...

Maurycy pomyślał, że alkohol powoduje nieraz u ludzi identyczne skojarzenia. Przecież Krzysztof chciał po pijanemu piec jego kanarki.

- Zapewniam pana, panie Michale - powiedział z przekonaniem — że kanarki są bardzo niesmaczne, a niektórzy nawet twierdzą, że ich mięso jest dla człowieka trujące.

- Co też pan mówi? Trujące? No, no... kto by to pomyślał? Trujące. Takie śliczne ptaszki. A niechże je cholera. To ja bym tego świństwa i dwa dni u siebie nie trzymał.

- Pojutrze je zabieram. Zapewniam pana. Bardzo proszę, niech im pan jakiejś krzywdy nie wyrządzi.

- Eee, o krzywdzie nie ma mowy. Przecież mi pan Kuźma obiecał pół litra za składowanie tych ptaków.

Maurycy wyczyścił klatki, zmienił wodę w miseczkach i dał jeść swoim pupilom. Uporawszy się z tym wszystkim, pożegnał zamyślonego dozorcę i wybiegł na ulicę. Pogawędka z panem Michałem zabrała mu trochę za dużo czasu.

Spóźnił się na wykład. Profesor Kozieski spojrzął na niego zza okularów z widoczną dezaprobatą.

W czasie przerwy Kuźma powiedział:

-Joanny znowu nie ma dzisiaj na wykładach. Co się dzieje z tą dziewczyną?

- Bo ja wiem - mruknął niechętnie Maurycy. - Ma zdaje się jakieś kłopoty rodzinne.

- Skrobanka?

- Nie wiem. Daj mi spokój. Kuźma uśmiechnął się.

- Bywszą narzeczoną mógłbyś się trochę zaopiekować.

Wypada.

- Odczep się ode mnie.

- Coś ty, Borsuk, dzisiaj taki bojowy? Pozartować nie można?

- Wiesz, że nie lubię takich żartów.

- No, no, nie denerwuj się. Nie ma czego.

Razem zjedli obiad w stołówce na Koszykowej i wrócili na Politechnikę na ćwiczenia, Maurycy myślał o wieczorowym spotkaniu z Koszyckim. Imponowała mu znajomość ze znanym dziennikarzem i literatem.

Za dziesięć ósma siedział już w „Niespodziance” i przyglądał się zmęczonym, śniętym twarzom, przesłoniętym smogami szarego dymu.

Koszycki przyszedł punktualnie. Miał na sobie znakomicie skrojony brązowy garnitur w delikatne, ledwie dostrzegalne prążki. Najwidoczniej niedawno wyszedł od fryzjera, gdyż mocno pachniał wegetalem i wodą kolońską. Przywitał się z Maurycym serdecznie i nie siadając przy stoliku, powiedział:

- Wie pan co? Nie ma sensu siedzieć tu w tej zadymionej dziurze. A poza tym mam wrażenie, że obaj chętnie zjedlibyśmy coś konkretniejszego. Proponuję, żebyśmy zmienili lokal.

Po stołowym obiedzie perspektywa dobrej kolacji nie była dla Maurycyego przykra. Nie miał jednak ochoty, żeby Koszycki płacił za niego. Uważał, że za mało się znali.

- Umówiliśmy się przecież tylko na kawę - powiedział bez przekonania.

Koszycki uśmiechnął się. Miał niezwykle miły uśmiech, którym zdobywał sobie serca zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

- To tak się tylko mówi. Façon de parler. U nas w Warszawie ludzie umawiają się na kawę, a potem wypijają parę litrów wódki. Nie namawiam pana, broń Boże, na pijaństwo, bo wiem, że nie jest zwolennikiem alkoholu, ale kieliszczyk wina

do jakiegoś bryzolu możemy się napić. Proponuję „Bristol”. Co pan na to?

Maurycy nie wiedział, co powiedzieć.

- No cóż... właściwie... to ja tak rzadko chodzę do restauracji.

-Jedziemy do „Bristolu” - zdecydował Koszycki. Był bez wozu. Pojechali taksówką. W „Bristolu” znaleźli wygodny stolik. Kelner obsłużył ich bardzo uprzejmie. Znał „pana redaktora”.

Koszycki czekał cierpliwie, aż Maurycy uspokoi głód. Taktownie nie przeszkadzał mu rozmową wjedzeniu. Dopiero przy deserze powiedział:

- Chciałbym, żeby mi pan opowiedział coś o sobie. Maurycy przelknął duży kawałek tortu.

- Nie wiem, co by pana mogło zainteresować. Cóż... moje życie jest niezbyt ciekawe. Nie sądzę, żeby...

- Myli się pan. Mnie przecież nie chodzi o jakieś nadzwyczajności. Interesuje mnie pańskie codzienne studenckie życie, pańskie przeżycia, wrażenia. Ja wiem, że nie mogę od pana od razu wymagać jakichś szczerych zwierzeń. Musimy się bliżej poznać, zaprzyjaźnić, nabrać wzajemnie do siebie zaufania. Widzi pan, mnie najbardziej interesuje psychika współczesnej młodzieży. Rozmowy z panem i z pańskimi kolegami pozwolą mi poznać wasze środowisko, waszą dzisiejszą mentalność.

-Ale przecież sam pan powiedział, że ja jestem jakiś inny, jakiś niedzisiejszy, nietypowy.

- Oczywiście. Właśnie dlatego mnie pan zainteresował. A przede wszystkim dlatego, że jest pan inteligentny.

Maurycy uśmiechnął się zakłopotany.

- Dziękuję za komplement, ale znamy się tak mało, że chyba sąd pański jest w tej sprawie przedwczesny.

Koszycki potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Widzi pan, panie Maurycy, ja zdobyłem duże doświadczenie i, pochlebiam sobie, znam się na ludziach. Mam dość dużą intuicję, a poza tym jestem psychologiem z wykształcenia i z zamiłowania. Moje studia zacząłem od

psychologii. Swego czasu specjalizowałem się w teoriach Freuda i Adlera. Miałem zamiar poświęcić się psychiatrii.

- Psychiatrii?

- Tak. Byłem już nawet dość zaawansowany w studiach. Niestety, przyszła wojna i wszystko się skończyło, wszystkie plany wzięły w łeb. W trzydziestym dziewiątym roku odbywałem właśnie praktykę w Londynie. No cóż... Uhomme propose et Dieu dispose. Nie zawsze możemy robić to, na co mamy ochotę. Byłem w wojsku, walczyłem, włóczyłem się po świecie. A kiedy po wielu latach wróciłem do kraju, już mi się nie chciało zaczynać od nowa. Miałem za sobą dużo przeżyć, dużo wrażeń, bogate doświadczenia... Zacząłem pisać. Podobają się moje artykuły, opowiadania. Teraz chcę napisać książkę o młodziży, o młodziży powojennej, dzisiejszej. Mam nadzieję, że pan mi ułatwi to zadanie.

- Zrobię, co będę mógł - powiedział Maurycy, który uważnie słuchał słów Koszyckiego. Ten szpakowaty, wytworny pan coraz bardziej mu się podobał. Nigdyjeszcze nie miał okazji rozmawiać z człowiekiem tego pokroju. Ciągle nie mógł zrozumieć tego, że Koszycki w ogóle chce przebywać w jego towarzystwie, że poświęca mu tyle czasu.

Rozmawiali jeszcze długo na różne tematy. Maurycy ośmielał się coraz bardziej, zabierał głos, precyzował swoje poglądy, próbował nawet niekiedy przeciwstawiać się, mieć własne zdanie. Mówiąc o rzeczach, które go pasjonowały, zapominał o tym, że jest tylko skromnym studentem Politechniki i że przecież nie może się równać z tym wszechstronnie wykształconym, znającym cały świat człowiekiem.

Przesiedzieli w „Bristolu” do północy. Kiedy wychodzili, byli już ze sobą tak zaprzyjaźnieni, jakby się znali od lat. Ustalili, że spotkają się pod koniec tygodnia. Maurycy wrócił do domu około pierwszej. Kuźma już spał snem głębokim. Na odgłos przewracanego krzesła, otworzył jednak lewe oko i spojrzał z obrzydzeniem na przyjaciela.

- Gdzież ty, Borsuk, tak szlajasz po nocy? - mrugnął.
- Demoralizacja młodziży. — Przewrócił się na drugi bok i nie

wdając się w dalsze dyskusje, zasnął natychmiast. Następnego dnia upłynął na pracy naukowej. Kuźma miał coś tam zdawać i doszedł wreszcie do przekonania, że najwyższy czas zabrać się do roboty. Maurycy przepytawał go z materiału. Przy tej okazji doszli do smutnego wniosku, że obaj niewiele umieją i że egzamin u profesora Kozieskiego przedstawia się bardzo problematycznie.

Wieczorem Kuźma zapatrzył się osowiałym wzrokiem w brudną ścianę i powiedział: -Wiesz co, Borsuk? Zdaje mi się, że będziemy się musieli trochę pouczyć. Jak tak dalej pójdzie, to zupełny klops, leżem i kwiczem. Trzeba najakis czas odstawić na bok dziewczynki, dancingi, kanarki i brać się za knipy. Inaczej nie da rady.

Maurycy pokiwał głową.

- I mnie też się tak zdaje.

We czwartek, jak to zostało ustalone, Maurycy wraz z kanarkami wrócił do swego mieszkania. Pan Michał dostał obiecane pół litra. Kuźma sprowadził taksówkę, do której załadowali walizę i kanarki. Biedne ptaki. Łyknąwszy trochę świeżego powietrza, od razu nabrały innego humoru. Kuba nawet zaczął się popisywać w taksówce swym śpiewem. Najwidoczniej był rad, iż opuścił już mieszkanie dozorczy. Szofer, młody, sympatyczny chłopak, pogwizdywał wesoło.

- Ładny kanarek. Kupiłbym go. Może pan sprzeda? Dam dwieście złotych.

Maurycy potrząsnął głową.

- O nie. Kuba nie jest na sprzedaż. To rasowy samczyk, wart co najmniej czterysta złotych, ale i za pięćset nie sprzedałbym go.

- Taki pan w nim zakochany?

- Kolega bardziej kocha swoje kanarki aniżeli dziewczynki — zaśmiał się Kuźma.

- Ma rację. To taniej kosztuje. Co tam taki kanarek zje? Trochę okruszków. A jak pan zaprowadzi do knajpy babkę z dobrym apetytem, to pan sobie wyobraża...

Zaśmiali się.

Kuba speszony tym głośnym wybuchem wesołości przestał

śpiewać i nastroszył pióra. Czarnymi, błyszczącymi jak paciorki, oczkami zdawał się pytać patrząc na Maurycego.

Dozorczyni ucieszyła się.

- O, pan Maurycy. Chwała Bogu, że pan już wrócił z tej rajzy. Dobrze pan wygląda.

- Dzień dobry, pani Bolesiowa. Co tam słyhać?

- Ano co ma być słyhać? Wszystko po staremu. Chałupy, dziękować Panu Bogu, jeszcze nam nie będą zaraz rozbierać. Mówili, że może dopiero na jesieni przyszłego roku. A pan Maurycy, jak zwykle, ze swoimi kanareczkami. Miłe ptaszyny. Dają się lubić.

- Nikt tu się przez ten czas o mnie nie pytał?

- E, kto by się tam o pana miał pytać? Nikogo nie było. Pana Krzysztofa też nie było.

- Pan Krzysztof jest za granicą w Paryżu.

- Co pan mówi? W Paryżu? Gdzie go tam znowu poniosło? Co mu to źle było w Warszawie? Lubią się ludzie kręcić po świecie, lubią, a szczególnie młodzi.

Wnieśli na górę walizę i klatki z kanarkami. Maurycy zaraz zabrał się do palenia w piecu. Kuźma zatarł ręce i powiedział:

- No, Borsuk, cześć. Ja spływam. Pomógłbym ci trochę, ale mam randkę z Wandą.

- Przecież mówiłeś, że zabierasz się do nauki...

- No tak... owszem, mówiłem. Ale widzisz, przemyślałem to wszystko i doszedłem do wniosku, że uczyć mogę się do późnej starości, a na dziewczynki nie polecę, jak będę miał siedemdziesiąt lat. Logiczne, nie?

- Oj, Staszek, Staszek. Zaczynasz się źle prowadzić.

- Kto się źle prowadzi? Kto? Czy to może ja chłam wódę w „Bristolu” do pierwszej w nocy? Przyganiał kocioł garnkowi...

Zostawszy sam, Maurycy rozejrzał się bezradnie po swoich apartamentach. Bałagan nie do opisania. Nic się tu nie zmieniło od ostatniej jego bytności. Trzeba było jednak trochę posprzątać, spakować rzeczy Krzysztofa.

Na stoliku stały te dwa kieliszki z niedopitym winem, obok napoczęta butelka. Maurycy schował butelkę do szafy, wylał wino z kieliszków i ustawił je na parapecie okna. Następnie

energicznie zabrał się do robienia porządku. Co jakiś czas przerywał swą pracę, aby dołożyć węgla do pieca.

Po upływie godziny mieszkanie było porządnie wysprzątane, kurze pościerane, meble poustawiane na swoich miejscach, klatki z kanarkami wyczyszczone i pozawieszane na gwoździach. Maurycy odetchnął z ulgą i rękawem koszuli otarł spocone czoło.

Był zadowolony z efektu swej działalności.

Kanarki, poczuwszy się u siebie w domu, zaczęły podskakiwać wesoło, trzepać skrzydełkami i ćwierkać. Najwyraźniej cieszyły się z powrotu na stare śmieci. Kuba zaś, chcąc uczcić tę uroczystą chwilę, rozśpiewał się na dobre.

- Biedaki - powiedział Maurycy. - Tak dawno nie byliście na spacerze. - Zbliżył się do klatki i wypuścił Kubę. - Pofruwaj sobie trochę, rozprostuj skrzydła.

Gwiżdżąc Most na rzece Kwai, wyszedł do kuchni. Musiał się umyć. W aluminiowym garnku zagrzał sobie trochę wody i wyciągnął z walizy kawałek mydła. Był w dobrym nastroju. Odwiezie jutro rzeczy Krzysztofa i już naprawdę nie będzie myślał o tym wszystkim. Niedługo święta. Pojedzie do ojca. Inne wrażenia, inne otoczenie. Zapomni.... musi zapomnieć jak najprędzej.

Umył się i wrócił do pokoju. Wzrokiem po poszukał Kuby. Kanarek jednak zniknął.

- Kuba! - zawołał Maurycy. - Kuba, gdzie jesteś? Tknięty złym przecuciem, zaczął nerwowo szukać. Nie szukał długo.

Na oknie, koło kieliszków leżał Kuba z podkurczonymi nóżkami. Był martwy.

Maurycy szeroko rozwartymi oczami patrzył przez chwilę na nieruchomego kanarka. Następnie poszedł i pochylił się. Poczul ledwie uchwytny zapach gorzkich migdałów.

ROZDZIAŁ VIII

Musiał komuś powiedzieć o tym, co się stało. Nie mógł być sam. Zeszedł na dół i powłókł się w kierunku mostu Poniatowskiego. Caruso, a teraz znowu Kuba... Nie mógł się

wydobyć z kręgu tajemniczych wydarzeń, które prześladowały go od szeregu tygodni. Cyjanek potasu w klatce Carusa... Cyjanek potasu w kieliszku z winem... Ktoś kogoś otruł albo chciał otruć. Ale kto?... Na miłość boską, kto?! Krzysztof? Kogóż Krzysztof chciałby otruć? Stały dwa kieliszki z winem. Widocznie kogoś do siebie zaprosił. Może dlatego uciekł... wyjechał do Paryża? Czy naprawdę wyjechał? Czy można w to uwierzyć? A dom na Kaniowskiej?... A obawy Joanny?... Czuł, że sam nie da sobie rady, że musi zwrócić się do kolegi o pomoc. Ale do kogo mógł pójść, z kim rozmawiać? Milicja?

i co im powie?... Że zdechł kanarek? Przecież go wyśmieją. A o domu na Kaniowskiej i o tamtej nocy nie mógł i nie chciał mówić. Bał się. Dlaczego nie umył tych przeklętych kieliszków? Kuba żyłby do tej pory.

Po schodach wbiegł na wiadukt i wsiadł do tramwaju. Nie zważając na spóźnioną porę, postanowił jechać do Staszka.

Kiedy znalazł się w domu akademickim, dochodziła dziesiąta. U Kuźmy jeszcze się świeciło. Zastukał i nie czekając na zaproszenie, nacisnął kłamkę.

Przy stole siedziała Joanna. Maurycy tak był zaskoczony, że przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa. Miał ochotę cofnąć się i uciec. Joanna teraz ze Staszkiem?... Kuźma, widząc zmieszanie przyjaciela, pospieszył wyjaśnić sytuację:

- Cześć Borsuk. Cóżś tak wybałuszył gały? Może byś się przywitał? Niech ci się nie zdaje, że Joanna przyszła do mnie w jakichś erotycznych zamiarach. A w ogóle od tego trzeba zacząć, że wcale nie przyszła do mnie. Szukała ciebie. Nie wiedziała, że się już wyprowadziła.

- Dobry wieczór, Joanno - powiedział niepewnie Maurycy.

- Czy naprawdę masz jakiś interes do mnie? Skinęła głową. Dopiero zauważył, że jest bardzo blada.

- Czy stało się coś złego?

Kuźma niecierpliwie strzepnął palcami.

- Ten bandzior ją prześladowuje. Cholery na niego nie ma. Maurycy nie zrozumiał.

- Bandzior? Jaki bandzior?

- Wiktor. Mówiłam ci przecież o nim.

- Tak, tak, wiem. Jak to cię prześladowuje?

- No, nie bądźże dziecko, Borsuk. Chce ją zgwałcić. Rozumiesz teraz?

Joanna zapaliła papierosa i zaciągnawszy się nerwowo, powiedziała:

- Matka wyjechała na kilka dni do Krakowa. On chce to wykorzystać. Gonił mnie dzisiaj po całym mieście. Już nie mam sił. Wreszcie zdecydowałam się przyjść do ciebie, do was.

Maurycy był zakłopotany.

- No cóż... Chyba odprowadzimy cię do domu.

- Boję się - szepnęła Joanna. - Bardzo się boję. Może on czeka na mnie na ulicy. To niebezpieczny człowiek.

Kuźma bohatercko wypiął pierś.

- Spokojna głowa. Nie denerwuj się. Wprawdzie Borsuk nie jest chłopak bardzo bojowy, ale we dwóch damy sobie radę...

Kiedy dojechali do Chałubińskiego, Joanna powiedziała: -Jestem straszliwie głodna. Cały dzień prawie nic nie jadłam z tego zdenerwowania, a co gorsza w domu też nic nie mam. Zapomniałam kupić.

- Wiecie co? - zawołał Kuźma. - Chodźmy do jakiejś knajpy. Wpadło mi wczoraj parę złotych. Mogę wam postawić. Ja też coś bym przekąsił.

- Dobrze - zgodziła się Joanna. - Ale pod warunkiem że każdy płaci za siebie. Ja mam forszę.

- Nie będziemy się o to kłócić, kto płaci - zaśmiał się Kuźma.

- Dokąd idziemy? Do „Europy” już za późno. A może by tak na Złotą do „Kaskady”? Wysiedli przy Alejach. Kuźma wpadł w doskonały humor. Śmiał się, dowcipkował i mówił za wszystkich.

W „Kaskadzie” o tej porze było jeszcze pustawo. Usadowili się przy stoliku pod filarem i zamówili rumsztyki.

- Może weźmiemy ćwiartulę - zaproponował Kuźma, Joanna energicznie potrząsnęła głową.

- Nie, nie, nie chcę pić. Znadto jestem zdenerwowana. Kelner obrzucił ich krótkim, taksującym spojrzeniem, z pogardliwym wyrazem twarzy przyjął skromne zamówienie i wolno pozęgłował w kierunku kuchni. Goście niepijący wódki

to nie byli goście. Dla takich szkoda stolika. Maurycy ciekawie rozglądał się po sali. Nigdy tu nie był.

Kuźma trącił go w ramię:

- Co tak popatrujesz, Borsuk? Nielicha speluna, no nie? Teraz puchy, ale żebyś zobaczył w sobotę albo w niedzielę o pierwszej, drugiej w nocy. Jest się na co popatrzeć, a i po mordzie można czasem oberwać.

- Tak, zbyt miło to tu nie jest - przytaknęła Joanna. - Zauważyliście tego bandziora tam koło orkiestry?

- Kto by go nie zauważył? Tylko milicja go nie zauważa. To kawał łobuza. Sutener, nożowiec, niebezpieczny typ. Znam go z widzenia.

Joanna uśmiechnęła się.

- To ty się w ładnym towarzystwie obracasz.

- No cóż... Rozmaicie bywa.

Kuźmie najwyraźniej imponowało to, że może się pochwalić znajomością podziemnego świata Warszawy.

Pojawiły się rumsztyki. Zjedli i zamówili steki cielęce. Kelner począł im się przyglądać z zainteresowaniem:

- Czy może coś jeszcze zamówić dla państwa? - spytał.

- Poprosimy na deser omlety z konfiturami - odparł spokojnie Kuźma.

Omletów jednak nie zdążyli zjeść.

W pewnym momencie Joanna podniosła głowę znad talerza i szepnęła przerażona: -Jest... Jest...

- Kto? Gdzie?

- Wiktor. Usiadł koło tego bandziora. Rozmawiają. Kuźma wzruszył ramionami.

- To niech rozmawiają. Guzik mnie to obchodzi. Nie odważy się nas zaczepić.

Zaledwie jednak to powiedział, gdy Radoń podniósł się od stolika i wolnym, kołyszącym się krokiem podszedł do nich.

Przez chwilę stał i patrzył na Joannę. Oczy mu błyszczały, chude policzki okryłajeszcze większa bladeść. Drżące z podniecenia wargi odsłaniały rzadkie, nierówne zęby.

- Chodź do domu - warknął.

Kuźma podniósł się. Kątem oka zauważył, że towarzysz

Radonia zbliża się do ich stolika. Zanosilo się na poważną awanturę.

- Czego pan chce od tej pani? Proszę nas zostawić w spokoju.

Radon przeniósł spojrzenie z Joanny na Kuźmę.

- A ty, gówniarzu, co?... Kuźma poczerwieniał.

- Proszę się liczyć ze słowami! - krzyknął. - I proszę nas nie zaczepiać, bo zawołam milicję.

Radon przysunął się do niego i patrząc mu z bliska w oczy, syknął:

- Ty gnoju. — Uderzył. Kuźma zatoczył się i upadł. Wtedy stało się coś, czego się nikt nie spodziewał. Maurycy, widząc padającego przyjaciela, zerwał się błyskawicznie i z całej siły trzasnął napastnika w szczękę. Cios okazał się tak celny, że Radon zwał się pod stół jak rażony piorunem. Maurycy zaś natarł na stojącego obok oprycha, waląc go krzesłem przez łeb. Rzucili się na niego kelnerzy, ale w tej chwili dźwignął się już z ziemi Kuźma i chwyciwszy butelkę piwa, skoczył w wir walki. Rozległy się krzyki, przekleństwa, trzask łamanych stolików i krzesel. Walczącym przyjaciółom przyszedli na pomoc trzej studenci, którzy właśnie weszli do restauracji w celach rozrywkowych. Bójka zataczała coraz szersze kręgi. Wreszcie zabrzmiały milicyjne gwizdki. Kuźma chwycił Maurycego za resztki marynarki:

- Milicja! Pryskamy! Gdzie Joanna?

Poczęli się pospiesznie wycofywać w kierunku kuchni, ale było już za późno. Otoczył ich patrol milicyjny.

- Dokumenty!

Ciężko dysząc, wyjęli legitymacje.

- Studenci, co? Ładnie się bawicie. Inteligencja, psiakrew!

- Ten facet nas napadł, panie władzo - próbował się tłumaczyć Kuźma.

- Który to?

- No ten, co tam leży pod stolikiem. Milicjant zaśmiał się złowrogo.

- Leży pod stolikiem. Napadł was, co?

- Słowo honoru.

- A któż, go tak urządził?
- Kolega go dmuchnął.
- Bokser?
- Jaki tam bokser, panie władzo? Borsuk nie bokser.
- Co?
- Mówię, że Borsuk, a nie bokser. Milicjant zniecierpliwiał się...

- Co wy mi tu będziecie głowę zawracać borsukami. Jazda. Wszyscy do komisariatu. A tego trzeba ocucić i także przywieziecie go na komisariat - zwrócił się do swego towarzysza.

- Tak jest. Zaraz go zleję wodą.

Przed „Kaskadą” stała już karetka milicyjna.

- Cholera, nie zdążyliśmy zjeść tych omletów - mruknął Kuźma. - A w ogóle coś mi się zdaje, że lepiej było na głodno pójść spać. Ale wiesz, Borsuk - dodał, trącając łokciem Maurycego. - Nigdy nie przypuszczałem, że z ciebie taki kozak. Żeby takiego bandziora w ten deseń zaprawić... no, no... Kto by się spodziewał. - Potarł w zamyśleniu obolały policzek, który nabrał czerwono-fioletowej barwy. - No, nie płacz, Joanno. Ostatecznie nic się takiego nie stało. Przecie nas za to nie powieszają.

- Taki wstyd, taki wstyd - jęknęła Joanna. - Co ja powiem mamie? Na pewno zamkną nas do więzienia.

- Dojakiego więzienia? Nie bądź dziecko. Trochę mordobicia i zaraz do więzienia. To przecież pół Polski musiałyby bez przerwy siedzieć w więzieniu. Nie martw się.

Wszystko będzie na medal.

W komisariacie porucznik spojrział na nich z wyraźnym obrzydzeniem.

- A to ci z „Kaskady”? Podejdźcie bliżej. Nie wstyd wam? Młodzież akademicka. Zamiast dawać dobry przykład, to zachowujecie się jak ostatni chuligani. Wstyd. Pobiliście ludzi, zdemolowaliście lokal. Czy to wypada, żeby studenci tak się zachowywali? Chłuba i przyszłość narodu. Państwo łoży na wasze utrzymanie, na wasze wykształcenie, a wy co?

- Panie poruczniku - przerwał mu Kuźma. - Przestań pan tę

państwowotwórczą mowę zasuwać i daj nam pan dojść do słowa. Chcemy się wytłumaczyć.

- Co tu jest do tłumaczenia?

- A jest. Bo myśmy spokojnie sobie siedzieli, jedliśmy i nawet kieliszka wódki nie wypiliśmy.

- Nie piliście? - zdumiał się milicjant.

- Jak Boga kocham, ani kropli.

- No i co? Tak na trzeźwo zaczęliście walić?

- Chwileczkę, panie poruczniku. Niechże pan pozwoli. Ten facet nas zaczął. Wyrzwał mnie w gębę. No to mój kolega zdenerwował się i dmuchnął go w ucho. A pan by się nie zdenerwował, jakby pańskiego przyjaciela ktoś walił po pysku?

- O kim mówicie?

- O tym czarnym, który leżał pod stolikiem.

W tej chwili wprowadzono trupia bladego Radonia.

- O to właśnie ten, panie poruczniku. To on mnie uderzył. Wszyscy widzieli. Mam świadków.

- Zbliżcie się, obywatelu - powiedział porucznik. - Wasze nazwisko?

- Radoń. Wiktor Radoń.

- Czy to prawda, że to wyście wywołali awanturę? Radoń z nienawiścią spojrział na młodych ludzi.

- Spotkałem znajomą dziewczynę w towarzystwie tych chuliganów i chciałem ją odprowadzić do domu. Uważałem to za swój obowiązek. Znam dobrze jej matkę. Chciałem ją ratować przed... no, pan rozumie...

- To nieprawda! - zawołała Joanna. - To nieprawda! On kłamie. To właśnie on mnie prześladował, on na mnie nastawał. To łotr, bandyta, morderca!

- Milcz, ty... - wrzasnął Radoń. Porucznik spojrział na niego groźnie.

- Proszę się uspokoić. W komisariacie nie wolno się tak zachowywać. Wszyscy zostaną zatrzymani do rana. Potem zobaczymy.

- Ależ panie poruczniku! Za co?

- Spokój. Żadnych rozmów. Sierżancie, proszę odprowadzić zatrzymanych.

- Panie poruczniku - próbował ratować sytuację Kuźma.
-Panie poruczniku. Po cóż ma nas pan zatrzymywać. Przecież my mieszkamy w domu akademickim. Nigdzie nie uciekniemy. W każdej chwili może nas pan wezwać. Stawimy się na sprawę. Niechże pan zrozumie... Jesteśmy studentami. Mamy rano wykłady. Nie możemy...

- Studenci nie powinni włączyć się po knajpach i do tego w nocy. A poza tym studenci nie powinni rozrabiać i demolować lokali w mieście. Zostaniecie zatrzymani do rana i na to nie ma żadnej rady.

Maurycy przez cały czas tej rozmowy siedział na ławce. Był tak oszołomiony tym, co się stało, że nie odezwał się ani słowem. Od czasu do czasu podnosił tylko ręce i przyglądał się z pewnym zdziwieniem swej pięści, którą powalił Radonia. Sam dobrze tego nie rozumiał, jak to się stało, ale jednak to fakt. Uderzył, a tamten runął pod stolik. Więc jednak nie był taki słaby, więc w razie czego mógł... stanąć w czyjejs obronie. Widział podziw i uznanie w oczach Kuźmy. Milicjanci przypuszczali, że jest bokserem. Ten groźny, straszny człowiek, który prześladował Joannę, padł od jednego jego ciosu. To było coś takiego, co mu się nie mieściło w głowie. Tak był zaabsorbowany tym wydarzeniem, że nie bardzo słyszał i rozumiał, co mówiono. W pewnej chwili zauważył, że jakiś krępy mężczyzna z szeroką czerwoną twarzą przygląda mu się uważnie. Siedział obok na ławce w towarzystwie milicjanta i widocznie czekał na swoją kolejkę. To natarczywe, uparte spojrzenie ciemnych przekrwionych oczu poczęło drażnić Maurycego. Wydawało mu się, że zna tę twarz, że gdzieś już ją widział, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, gdzie to było. Tamten przyglądał mu się nieustannie. Robiło to takie wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł się zdecydować. Maurycy już chciał się do niego odezwać, ale w tej chwili milicjant trącił go i doprowadził do barierki. Musiał podać do protokołu swoje nazwisko, datę urodzenia i adres. Zaraz potem wyprowadzono go wraz z innymi.

ROZDZIAŁ IX

Na usilne prośby Maurycego Kuźma dokonał „sekcji zwłok” Kuby. Stwierdziwszy obecność cyjanku potasu we wnętrzościach kanarka, popatrzał podejrzliwie na przyjaciela i powiedział:

- Słuchaj no, Borsuk, czy ty mnie w ten sposób chcesz przeegzaminować z ptasiej anatomii?

- Ale skądże znowu?

- No to po jasną cholere trujesz te kanarki, a potem każesz mi je kroić?

Maurycy stał przygnębiony, ze wzrokiem utkwionym w doczesnych szczątkach rasowego turkota.

- Przecież ja ich nie truję. Kuźma wzruszył ramionami.

- Nie wmówisz we mnie, że kanarki same latają do laboratorium w poszukiwaniu cyjanku potasu. Chyba nie sądzisz także, że obydwaj te twoje kanarki padły ofiarą zbrodni, że na przykład otruli je podstępnie spadkobiercy, którzy pragnęli zawładnąć ich majątkiem?

- Daj spokój, Staszek - zachnął się Maurycy. - Nie mam ochoty do żartów.

- No więc może mi łaskawie wytłumaczysz, co to wszystko znaczy? Co pewien czas przynosisz mi zdechłego kanarka i każesz mi robić próbę na cyjanek potasu. Chciałbym wreszcie wiedzieć, do cholery, co się dzieje!

Maurycy opowiedział historię o kieliszkach i o zatrutym winie. Kuźma słuchał z zainteresowaniem. W zamyśleniu potarł sobie czubek nosa i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- No wiesz, że to paskudna sprawa. Właściwie należałoby zawiadomić milicję.

- Och, nie, nie - zaprotestował żywo Maurycy.

-Ja bym jednak dał znać na milicję - upierał się Kuźma. - To jest bardzo podejrzana historia. Jeżeli ktoś dosypał do wina cyjanku potasu, to znaczy, że albo kogoś otruto, albo chciano otruć. To w jakiś sposób niewątpliwie łączy się z Krzysztofem Wajchertem. Być może nawet, że ten nagły wyjazd za granicę ma z tym coś wspólnego. Uważam, że nie wolno ci tego tak

zostawić.

Maurycy potrząsnął głową.

- Nie, nie. Nie mam zamiaru rozrabiać tej sprawy. Ostatecznie nikt nie został otruty. Wiesz przecież, że z porcją cyjanku potasu w żołądku nikt daleko by nie zaszedł. Musiałby skończyć albo w mieszkaniu, albo na schodach. Być może, że ktoś miał jakieś zbrodnicze zamiary, które nie doszły do skutku. Nie, nie pójde z tym na milicję. Masz pojęcie, co by się to zaczęło dziać? Śledztwo, dochodzenie. Nie miałbym chwili spokoju. Komu to potrzebne? Kuźma machnął ręką.

— A zresztą rób, jak uważasz. Guzik mnie to w końcu obchodzi. Radzę ci tylko, przeszukaj dobrze mieszkanie, bo jak tak dalej pójdzie, to wytrujesz do reszty te swoje kanarki. A i to ci powiem, że nie mam najmniejszego zamiaru robić sekcji twoich zwłok. Nie dlatego, żebym nie chciał, tylko po prostu nie potrafię. No, czołem. Trzymaj się i uważaj. Żarty żartami, a na twoim pogrzebie wolałbym być w późniejszym terminie.

Pożegnawszy się ze Staszkiem, Maurycy spojrział na zegar. Dochodziła trzecia. Do spotkania z Koszyckim miał przeszło trzy godziny czasu. Należało pomyśleć o obiedzie. Nie miał jednak ochoty iść do stołówki. Rozróbka w „Kaskadzie” uczyniła z niego nieomal legendarnego bohatera. Ciągłe ktoś do niego podchodził, dopytując się, jak to było. Początkowo nie chciano wierzyć. Jak to? Ten Borsuk? Ta ciamajda? Ten niedołęga? Znokautował byłego komandosa, takiego draba, a drugiego oprycha ogłuszył, waląc go krzesłem w łeb. To niesłychane. Kto by się spodziewał? Cicha woda brzegi rwie. Nawet jeden z kolegów zajmujący się sportem, zaproponował mu rozpoczęcie regularnych treningów bokserskich, twierdząc, że ma przed sobą piękną karierę jako pięściarz. Takiego ciosu nie powstydziliby się nawet Drogosz czy Pietrzykowski. Gdy wchodził do audytorium czy do stołówki, zaraz rozlegały się szepty: - O, patrz, patrz, to ten z „Kaskady”. A Maurycy czuł się zmęczony. Dopiero teraz doceniał, jaki był szczęśliwy, dopiero teraz zrozumiał, ile dla człowieka znaczy spokój codziennego, zwyczajnego dnia. Był nieustannie zdenerwowany, podniecony. Ciągłe czekał na dalszy rozwój wypadków, ciągle czekał, że coś

się stanie. Dręczyły go te samotne rozmyślania. O ileż łatwiej znośiłby to wszystko, gdyby mógł z kimś pomówić, zwierzyć się, poradzić. Krążył po ulicach, nie słysząc i nie widząc, co się wokół niego dzieje.

Nie poznawał znajomych, nie zwracał uwagi na samochody i na gniewne gwizdki milicjantów. I nagle przyszło mu na myśl, że dla niego jedynym wyjściem z tej sytuacji byłoby pojechać do Paryża i zobaczyć się z Krzysztofem. Wtedy uwierzyłby wreszcie, wtedy nie miałby już wątpliwości. Ale czyż mógł myśleć o podróży do Paryża?

Czas płynął. O wpół do siódmej umówił się w „Stodole” z Koszyckim.

Spotkali się punktualnie w hallu. Koszycki miał na sobie ciemny, wieczorowy garnitur. Wyglądał bardzo elegancko.

Maurycy, dumny ze swego gościa, wprowadził go na salę. Usiedli przy stoliku.

- Podoba mi się tu - powiedział Koszycki. - Dobrze się bawią pańscy koledzy. Maurycy uśmiechnął się niewyraźnie. Nie był pewien, czy dziennikarz mówi poważnie, czy też podkpiwa sobie z ich „Stodoły”.

- Przepraszam pana na chwileczkę. Zaraz przyniosę kawy. To jest samoobsługowy lokal.

Koszycki przytrzymał go za rękę.

- Niech pan da spokój. Posiedzimy trochę, a na kawę pójdziemy gdzie indziej. Nie mam zaufania do waszej mokki. Ale, ale, zupełnie zapomniałem. Co to była za awantura przedwczoraj w „Kaskadzie”? Słyszałem, że pan brał udział.

Maurycy zaczerwienił się. „I on także” - pomyślał ze złością.

- Tak, no... rzeczywiście. Było takie niemiłe zajście. Doprawdy nie ma o czym mówić.

- Ależ mnie to bardzo interesuje. Proszę, niech pan opowie, jak to było.

Maurycy, rad nierad, znowu musiał opowiadać przebieg wypadków w „Kaskadzie”. Taką miał już w tym wprawę, że umiał na pamięć całe partie recytowanego przez siebie tekstu.

Koszycki słuchał z zainteresowaniem.

- Nie przypuszczałem, że pan taki bojowy. Maurycy

uśmiechnął się.

-Właściwie to był jakiś odruch. Sam nie bardzo wiem, jak to się stało. Trudno mi to panu wytłumaczyć, ale to było coś takiego jakby poza moją świadomością, jakby niezależnie od mojej woli. Nagle poczułem jakiś nakaz wewnętrzny, czułem, że muszę to zrobić.

Orkiestra przestała grać. Tańczące pary rozproszyły się po sali w poszukiwaniu swych stolików. Ogromne klepisko opustoszało i wyglądało jak arena cyrkowa, na której za chwilę rozpocznie się nowy numer programu.

Koszycki ziewnął dyskretnie. Zapalił papierosa.

- Wie pan co, panie Maurycy? Coś panu zaproponuję. Chodźmy stąd. Obejrzałem sobie tę waszą „Stodołę” i na razie chyba mi to wystarczy. Najwyższy czas pomyśleć o kolacji.

- Miałem pana zapoznać z kolegami - przypomniał Maurycy.

- Odłóżmy to na inny dzień. Dzisiaj jakoś nie jestem w nastroju do zawierania nowych znajomości. Wolę porozmawiać z panem. Co pan na to?

Maurycy zgodził się. Żegnani jęśliwym głosem saksofonu, opuścili przybytek tańca i niebawem znaleźli się przed Pałacem Kultury. Na kolację poszli do „Europy”, ale i tutaj saksofony przeszkadzały im w spokojnej rozmowie.

-Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, to może pójdziemy na kawę do mnie -zaproponował Koszycki.

Mieszkał w nowym bloku na Świętokrzyskiej. Miał dwa pokoje urządzone nowocześnie i bardzo elegancko. Niski tapczan przykryty kolorową samodziałową narzutą, półki z książkami z jasnego drzewa, okrągły stolik, stylowe zydel-ki, bar, radio z adapterem, telewizor. Na podłodze barwny dywan, a na ścianach meksykańska grafika. Mieszkanie było jasne, wesołe, kolorowe. W każdym szczególe, w każdym najmniejszym drobiazgu widać było troskę o plastyczne wartości wnętrza. Nawet książki były tak ułożone, żeby ich kolorowe grzbiety harmonizowały się z całą płaszczyzną ściany.

Maurycy nie potrafił ukryć swego zachwyty.

-Jakżeż tu u pana pięknie. Czuję się tak, jakbym był na

wystawie nowoczesnych wnętrz.

Koszycki uśmiechnął się z zadowoleniem.

- No, nie przesadzajmy. Ale przyznaję, że lubię nowoczesnie urządzone mieszkanie. Dużo światła, dużo powietrza, jasne meble, kolorowe plamy. Niechże pan siada, panie Maurycy, proszę bardzo. Zaraz zaparzę dobrej kawy. Mam także butelkę niezłego koniaku. Chyba mi pan nie odmówi? Nawet ciężko chorym dają koniak. Na pewno panu nie zaszkodzi. Niech pan tymczasem nastawi radio. Zaraz wracam. Maurycy pokręcił gałkami, złapał taneczną muzykę i przyglądał się książkom. Zauważył, że w księgozbiornie Koszyckiego dużo było dzieł w różnych językach z zakresu psychologii i psychoanalizy.

Wszedł Koszycki.

- Ogląda pan moje książki?

- Tak. Ma pan wspaniałą bibliotekę. Zazdroszczę panu.

- Staram się kompletować nowości. Niestety, nie jest to łatwe. Jak tylko wyjdzie coś ciekawego, to błyskawicznie się rozchodzi. Nakłady ciągle są za małe. Nieraz dosłownie trzeba polować na jakąś książkę.

Koszycki otworzył bar, wyjął butelkę koniaku, dwa kieliszki i filiżanki do kawy. Ustawił to wszystko na niskim stoliczku, stojącym między fotelami.

Nie wiadomo dlaczego Maurycemu nagle przypomniała się niedopita butelka wina, kieliszek z cyjankiem potasu i nieżywy kanarek. Wzdrygnął się. „Co za idiotyczne skojarzenia” - pomyślał.

Koszycki spojrzał na niego pytająco.

- Co się stało?

- Nie, nie, nic... absolutnie nic.

- Przecież widzę, że pomyślał pan o czymś przykrym.

- Nie, nie... naprawdę, to nic takiego.

- Nie mam zamiaru nakłaniać pana do zwierzeń - uśmiechnął się Koszycki.

Nalał koniaku i wyjął papierośnicę.

- Zapali pan?

- Nie, dziękuję.

- A prawda, przecież pan nie pali.

Wyszedł do kuchni i po chwili wrócił, niosąc dużą maszynkę kawy.

- Mam nadzieję, że będzie panu smakować moja kawa. Robię taką mieszankę własnego pomysłu i mam też specjalny sposób zaparzania. Niech pan spróbuje.

- Znakomita kawa - pochwalił Maurycy.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, popijając kawę i koniak. Maurycy myślał o tym, z jaką rozkoszą zwierzyłby się Koszyckiemu ze swych niepokojów. Komuż mógłby opowiedzieć o tym wszystkim, jeżeli nie jemu? Człowiek wybitnie inteligentny, wykształcony, psycholog, studiował nawet kiedyś psychiatrię. On by go zrozumiał, on by mógł mu pomóc, tylko on.

- O czym tak się pan zadumał, panie Maurycy? Drgnął i wypił koniak. Niezdecydowanie spojrzął na Koszyckiego.

- Czasem człowiekowi bardzo trudno żyć z własnymi myślami.

Koszycki zgasił papierosa i bardzo uważnie obserwował Maurycego. Po chwili wstał z fotela, zapalił stojącą obok wysoką lampę i zgasił górny żyrandol. Ciepłe, pomarańczowe światło wypełniło pokój. Zaraz zrobiło się jakoś przytulniej, zaciszniej. Maurycy aż się zdumiał, kiedy sobie uświadomił, że nastrój tak bardzo zależy od oświetlenia pokoju. Przymknął oczy. Czuł ogromne odprężenie nerwowe. Było mu dobrze, przyjemnie. Tylko melodia wydobywająca się z głośnika dźwięczała trochę za ostro.

Jakby odgadując jego myśli, Koszycki ściszył radio. Wrócił na swój fotel i napełnił kieliszki. Na jego szczupłej, charakterystycznej twarzy malowała się teraz głęboka zaduma. Po chwili począł mówić równym, spokojnym głosem.

- Panie Maurycy. Od pierwszej chwili, kiedy pana poznałem, zauważyłem, że pana coś gnębi. Nie tak trudno zresztą to zauważyć. Nagle zamyśla się pan, nie wiedząc, co się dzieje wokół pana. Nieraz ogarnia pana niczym niewytłumaczony smutek. Wystarczy spojrzeć na pana oczy, żeby się o tym przekonać. Nie mam zamiaru wdzierać się do pańskiej duszy, nalegać, żeby pan mi zdradził swe tajemnice, ale... ale jeśli

mógłbym być w czymś panu pomocny, jeśli rozmowa z kimś naprawdę życzliwym mogłaby panu przynieść ulgę, to proszę pamiętać, że jestem do pańskiej dyspozycji. Mam na pewno większe doświadczenie niż pan i przypuszczam, że mógłbym panu coś doradzić, dopomóc, wspólnie jakoś spróbować wydobyć pana z tego impasu, w którym się pan chwilowo znalazł. Pan jest typem człowieka skrytego, nieufnego i nie tak łatwo jest panu znaleźć przyjaciela, któremu mógłby się pan zwierzyć ze swych trosk. Wyciągam do pana rękę. Chciałbym być właśnie takim przyjacielem.

Pod wpływem tych słów Maurycy począł tak drzeć, że musiał odstawić na stolik filiżankę z kawą. Ten człowiek był chyba jasnowidzem, czytał w jego myślach, znał jego pragnienia, niepokoje, chciał mu dopomóc, podawał mu przyjacielską dłoń. Czy mógł odmówić? Czy w sytuacji, w jakiej się znajdował, mógł zrezygnować z jedynej szansy ratunku? Potrzebował czyjejś pomocy. Ta pomoc teraz przychodziła. Musiał z niej skorzystać. Wypił koniak dla dodania sobie animuszu i począł mówić niepewnym, cichym głosem. Gdy skończył, zapanowało milczenie. Koszycki nie odzywał się. Twarz miał poważną, skupioną. Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

- Tak. To dziwna historia, bardzo dziwna. Więc pan sobie dokładnie przypomina, że tam, na Kaniowskiej widział pan trupa swego przyjaciela? Jak to on się nazywa?

- Wajchert, Krzysztof Wajchert.

- Wajchert? Słyszałem gdzieś to nazwisko. Nie przypominam sobie w tej chwili.

- Ojciec Krzysztofa jest znanym architektem.

- Ach, tak, tak, oczywiście. Teraz już wiem. Mam wrażenie, że przeprowadzałem nawet kiedyś z nim wywiad dla prasy. Wajchert... architekt... tak, pamiętam. Więc to jego syn?

-Tak.

- I wydaje się panu, że widział pan wtedy jego trupa na Kaniowskiej?

Maurycy skinął głową.

- Tak. Nie mogę tego zrozumieć. Widziałem zupełnie wyraźnie. Byłbym przysięgł, że tak było w istocie. Ale jeżeli

Krzysztof potem do mnie zatelefonował, a następnie wyjechał do Paryża, to znaczy... Nie wiem, nie wiem... nie rozumiem, nie mogę o tym myśleć. Głowa mi pęka. Żyję jak w gorączce. To jest koszmar.

- Nie dziwię się, że pan to ciężko przeżywa - powiedział Koszycki. - Takie stany obsesyjne są niezmiernie trudne do zwalczenia.

Maurycy spojrział na niego niespokojnie.

- Czy pan sądzi....? Czy pan sądzi, że ja... że ja zwariowałem?

Koszycki uśmiechnął się i mocno uściśnął dłoń Maurycego.

- Nie, mój drogi, tego nie sądzę, sądzę natomiast, że jest pan skrajnie wyczerpany nerwowo i że powinien pan przeprowadzić jakąś kurację. Radziłbym panu zwrócić się do lekarza neurologa. Mógłbym panu wskazać dobrego specjalistę. Moim zdaniem powinien pan na razie zrezygnować z nauki, wyjechać gdzieś na odpoczynek, najlepiej na wieś, pobrać trochę jakichś zastrzyków, rozerwać się, pojeździć na nartach, zapomnieć o Warszawie i o warszawskich kłopotach.

Maurycy uparcie patrzył w dywan, jakby chciał dokładnie pamiętać jego deseń. Miał zamęt w głowie. Chciało mu się płakać. Po chwili odezwał się słabym, nieśmiałym głosem:

- Czy... czy pan uważa, że normalny człowiek może ulec takiemu złudzeniu... takiej jakiejś niesamowitej halucynacji...?

Koszycki nalał koniaku, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko dymem. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- No cóż... To są sprawy dość skomplikowane. Boja wiem... Nie chciałbym panu w tej chwili nabijać głowy freudowskimi teoriami.

- Co mi pan radzi? - spytał cicho Maurycy.

- Radzę panu przede wszystkim starać się nie myśleć o tej całej historii. Czy ma pan możliwość wyjechać gdzieś poza Warszawę?

- Tak. Na świętajadę do ojca, który mieszka w lesie w okolicy Krynicy.

- To znakomicie. Oderwie się pan trochę od swoich codziennych zajęć, pobędzie pan na świeżym powietrzu. Jestem pewien, że po powrocie ze świąt spojrzy pan już

zupełnie inaczej na to wszystko. Z czasem nawiąże pan korespondencję z Krzysztofem i tamte wizje zupełnie znikną. Nie trzeba się poddawać. Co jakiś czas będziemy się spotykać, rozmawiać na ten temat. Będzie to dla pana wielką ulgą. Najgorzej jak człowiek w samotności wszystko musi przetrawiać.

Maurycy patrzył na Koszyckiego niezdecydowanie. Widać było, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale się waha. Koszycki zauważył to.

- No, śmiało, panie Maurycy. Co pana jeszcze gnębi?

- Powiedzmy, że tak jest, jak pan mówi, że działała u mnie t jakaś podświadomość... Ale jak w takim razie wytłumaczyć tę całą historię z profesorem Kozieskim. Przecież rozmawiałem z nim w nocy, dał mi list, kazał jechać na Kaniowską. Tego nie rozumiem... tego absolutnie nie rozumiem.

Koszycki nieznacznie wzruszył ramionami.

- Przyznaję, że ja tego też nie potrafię panu wyjaśnić. Musimy chyba przyjąć, że to się panu śniło. Nie wiem. Ale, a propos. Czy w dzieciństwie nie cierpiał pan na somnambulizm, to znaczy czy pan nie był lunatykiem?

- Nie... przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

- To by dużo spraw mogło wyjaśnić - powiedział w zamyśleniu Koszycki. - Bo w końcu nie widzę żadnego powodu, dla którego profesor Kozieski miałby pana budzić w nocy, posyłać na Żoliborz z listem, który w rezultacie zniknął w tajemniczy sposób z pańskiej kieszeni. Przyznać trzeba, że to wszystko jest zupełnie niewiarygodne.

- Czy nie uważa pan, że jednak powinienem zawiadomić milicję? - spytał Maurycy.

- Myślę, że w tej sytuacji chyba nie. No bo właściwie co im pan powie? Że zdawało się panu, że pan widział zamordowanego Krzysztofa Wajcherta, który obecnie siedzi sobie najspokojniej w Paryżu? Obawiam się, że albo pana wyśmieją, albo wezmą pana za trochę pomyłonego. Ostatecznie Krzysztof żyje i nie ma żadnych śladów jakiegoś przestępstwa.

- A ten cyjanek potasu w winie?

- Hm. To jest rzeczywiście tajemnicza sprawa. Ale ponieważ

nikt nie został otruty, poza biednym kanarkiem, to nie radziłbym panu ruszać tego. Coś na ten temat mógłby niewątpliwie powiedzieć pański przyjaciel. Ponieważ jednak przebywa obecnie w Paryżu i nie sądzę, żeby miał zamiar wracać do kraju, przeto nie wydaje mi się celowe rozrabianie tej historii. Narazi się pan tylko na uciążliwe wizyty milicji i nic z tego wszystkiego nie wyniknie. Zresztą jak pan uważa.

- Myślę, że ma pan rację - powiedział Maurycy. - Moje rozumowanie w tej sprawie było bardzo podobne.

- Bo to chyba jest logiczne. Po co sobie komplikować życie, które i tak nie jest proste. Ja osobiście radzę panu jak najszybciej o tym wszystkim zapomnieć. Ale wie pan, coś chciałem panu zaproponować. Ponieważ doszło między nami do takiej konfidencji, mówmy sobie po imieniu. Nie znoszę tego polskiego „panowania”. Wypijmy bruderszaft. Co pan na to, drogi panie Maurycy?

Maurycego zaskoczyła ta propozycja. Zmieształ się i zaczerwienił.

- Ależ... oczywiście. Ja... bardzo chętnie. Nie wiem tylko, czy to będzie właściwe, żebym ja...

- Będzie, będzie... - zapewnił go z uśmiechem Koszycki. - Zaraz wybierzemy na tę uroczystość jakiś odpowiedni trunek. Koniak nie pasuje. Potrzebne są większe kielichy. - Wstał, podszedł do baru i wyjął butelkę francuskiego białego wina. - „Haut Sautene”. Tym możemy wypić bruderschaft.

Napełnił kieliszki i jeden z nich podał Maurycemu.

- Proszę, panie Morysiu.

Z powagą dokonali tradycyjnego rytuału. Wycelowali się z dubeltówki. Koszycki poklepał Maurycego po plecach.

- O, widzisz. Teraz to zupełnie co innego. Drobną formalność, a od razu inny nastrój, bardziej rodzinny. Anglicy mają te sprawy o wiele bardziej uproszczone. Wszyscy mówią sobie you i w porządku. Nie potrzebują żadnych bruderschaftów. Chociaż taki bruderschaft ma też i swoje dobre strony. Jest okazja napić się czegoś smacznego, a jeżeli wchodzi w grę piękna kobieta, to można ją oficjalnie wycelować. No... siadaj, Moryś. Należę ci jeszcze kawy.

Dopiero około dwunastej Maurycy wyszedł od Koszyckiego. Był oszołomiony tą rozmową i bruderschaftem. Zachwycił go Koszycki, a to, że pozwolił mu mówić sobie po imieniu, uważał za wielki zaszczyt. O takim przyjacielu marzył, taki właśnie przyjaciel był mu potrzebny. Staszek Kuźma... koledzy to zupełnie co innego. Nie ma porównania. Koszycki to człowiek dużej klasy, nieprzeciętna inteligencja, ogromna wiedza, talent. Czyż on, Maurycy, mógł marzyć kiedykolwiek, żeby z takim człowiekiem wypić bruderschaft, być na ty?

Ze Świętokrzyskiej na Powiśle było niedaleko. Zbiegł Tamką w dół i niebawem wchodził do bramy swej rudery. Zrobiło mu się przykro. Koszycki chce go odwiedzić i wtedy zobaczy, jak on mieszka. No cóż... trudno wymagać, żeby ubogi student miał luksusowy apartament. Zresztą to jego poddasze ma swój urok. Coś z cyganerii. Właściwie powinien tam mieszkać malarz. Znowu przypomniał mu się Krzysztof. Nie, nie... dosyć, już dosyć, nie będzie o tym myślał.

Szybko wdrapał się na górę, przeskakując po parę stopni naraz. Kiedy znalazł się już na najwyższym piętrze, posłyszał westchnienie. Ktoś siedział pod jego drzwiami. Drżącą ręką wyjął z kieszeni zapalki. Słaby płomyk oświetlił twarz skurczonej dziewczyny.

-Joanna! Co ty tu robisz?

- Czekam na ciebie - odpowiedziała apatycznie. Podniósł ją i nerwowo poszukał klucza. -Zmarzaś. Chodź, chodź. Zaraz... Zaczekaj... Psiakrew, coś się zacięło. Będę musiał naoliwić ten zamek...

Uporał się wreszcie z drzwiami i wprowadził ją do przedpokoju.

- Chodź, chodź. Zaraz napalimy. Mam trochę lofiksu. To nie potrwa długo. Zagotuję wodę na herbatę. Musisz się rozgrzać. Dlaczego... Dlaczego czekałaś na mnie? Czy stało się coś złego?

Joanna poprawiła włosy i podeszła do pieca.

- Pozwól. Pomogę ci.

- Czy stało się coś złego? - powtórzył Maurycy. Niespokojnie patrzył na dziewczynę.

- Znowu. Znowu mnie prześladuje. Nie miałam odwagi

wrócić do domu. Nie wiedziałam już co ze sobą zrobić i dlatego przyszłam. Nie gniewasz się?

- Ale skądże znowu? Dobrze zrobiłaś. A co twoja matka? -Jeszcze nie wróciła z Krakowa. Boję się, boję się tego człowieka. Ty nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo się go boję.

- Nic się nie bój. Ze mną jesteś bezpieczna. Niechby spróbował tu przyjść.

Wypiął bohaterską pierś i błysnął groźnie oczami. Na wszelki wypadek jednak wyszedł do przedpokoju i sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte.

„Nie trzeba się dać zaskoczyć” - myślał.

Wspólnymi siłami rozpalili ogień. Rozbudzone kanarki zaczęły skakać niespokojnie i ćwierkać.

Maurycy ponakrywał klatki i zwrócił się do Joanny.

- Siadaj. Zaraz będzie herbata. Jesteś głodna?

- Trochę.

- Dobra. Zrobimy sobie kolacyjkę pierwsza klasa. Wprawdzie ja już jadłem kolację, ale to było bardzo dawno.

- Wczoraj? - uśmiechnęła się Joanna, której zaczynał wracać dobry humor.

- Nie, nie, dzisiaj, i to nawet w „Europie”, ale już ze cztery godziny temu, a wiesz, że ja dość szybko trawię. Zaczekaj, mam tu kawałek boczku, kilka jaj, chleb. Z głodu nie zginiemy. Co wolisz, jajecznicę czy sadzone?

- A te jajka to z jakiej daty?

- Mam nadzieję, że jeszcze świeże. Wczoraj kupowałem.

Maurycy zważowo zakrzętnął się koło posiłku. Jajka wyjątkowo okazały się zupełnie świeże.

Zjedli z apetytem, napili się mocnej herbaty i prawie wesoło spojrzeli na siebie. Piec zdążył się już porządnie rozgrzać. Miłe ciepło wypełniało pokój.

- No... chyba teraz odprowadzę cię do domu - powiedział Maurycy.

Joanna spojrzała na zegarek.

- Wpół do drugiej. Późno. Myślę, że nie warto się stąd ruszać. Wiesz co? Prześpię się u ciebie. Co ty na to?

Maurycy bardzo się zmieszał. Nie wypadło powiedzieć, że nie, ale...

Joanna, widząc jego wahanie, uśmiechnęła się.

- Nie bój się, Moryś. Twoja cnota nie zostanie narażona na szwank. Prześpię się na posłaniu Krzysztofa.

- Źle mnie zrozumiałaś - zapewnił ją Maurycy. - Nie o to przecież chodzi. Zaniepokoiłem się tylko, czy... czy ci będzie u mnie wygodnie.

- Na pewno. Bądź spokojny.

Energicznie zabrała się do siania łóżka. Przez chwilę patrzył na nią z niewyraźną miną, następnie zaś wyniósł do kuchni brudne naczynie. Nalał gorącej wody na miednicę, posłyszał głos Joanny:

- Zostaw. Rano pozmywamy. Usłuchał.

Położyli się i zgasił światło. Czerwony blask, idący od pieca, stwarzał trochę tajemniczy nastrój. Tak jakby za chwilę stara niania miała zacząć opowiadać baśń o straszliwym smoku i pięknej królownie. Ponakrywane klatki wyglądały jak dziwne kule zawieszane w powietrzu.

- Maurycy?

- Słucham?

- Nie śpisz? -Jeszcze nie.

- Tak mi czegoś straszno. Nie mogę sobie dać rady.

- Czegóż się boisz? Przecież nic ci nie grozi. Drzwi zamknięte. Nikt tu nie wejdzie. A poza tym... ja jestem przy tobie. Nie dam cię skrzywdzić.

- Wiem, wiem. Ale... ale tak jesteś daleko ode mnie. Gdzieś tam w drugim końcu tego ogromnego pokoju. To bardzo daleko. Ja tak nie chcę. Ja się boję.

Milczał. Czuł, że się czerwieni. Był szczęśliwy, że jest ciemno i że tego nie widać. Po chwili zobaczył, że Joanna wstaje ze swego posłania.

Usiadła na brzegu jego łóżka. Drżała.

- Zimno mi. Puść mnie trochę pod swoją kołdrę. Nie bój się.

Zrobił jej miejsce. Położyła się koło niego i naciągnęła kołdrę pod szyję.

- Lubię twoje kanarki – powiedziała.

ROZDZIAŁ X

W bok od szosy biegła szeroka topolowa aleja, którą dojeżdżało się przed pałac. Wspaniała magnacka rezydencja została po wojnie zamieniona na tak zwany dom pracy twórczej, który raczej powinien nosić miano domu pracy brydżowej, albowiem ogromna większość pensjonariuszy spędza tu dnie i noce na dogrywaniu robra lub licytowaniu szlemika. Zjeżdżali tu literaci, dziennikarze, historycy sztuki, plastycy, a nawet reprezentanci nowoczesnej muzyki, znęcający się w sposób bezprzykładny nad miejscowym „Bechsteinem”. Wszyscy ci ludzie uciekali od gwarnej, hałaśliwej Warszawy, aby w ciszy odwiecznych borów, w historycznej atmosferze zabytkowego pałacu grać w karty. Z rzadka tylko pojawiał się ktoś, kto decydował się na odbywanie spacerów po lesie, aby zaczerpnąć w płuca odżywczego, żywicznego powietrza. Osobnik bowiem taki był traktowany przez resztę towarzystwa jako dziwak i obrzucany pełnymi wzgardy, lekceważącymi spojrzeniami. W ogóle jeśli ktoś nie grał wysoko w brydża i nie posiadał własnego samochodu, choćby tylko wartburga, to się nie liczył, po prostu był nikim, towarzysko nie przedstawiał sobą żadnej wartości. Dlatego też przypadkowo zabłąkany tu człowiek nieposiadający tych walorów bardzo prędko pojmował swój nietakt i zniknął z terenu.

Gospodarzem Koronowa był od wielu lat profesor Jakub Zelman, znany historyk sztuki, wybitny znawca malarstwa renesansowego. Niewielkiego wzrostu, szczupły, miał twarz pociągłą, bladą. Wąskie, czarne oczy zdradzały energię i przedsiębiorczość. Profesor Zelman oprócz swych walorów naukowych posiadał wiele talentów towarzyskich, a przede wszystkim znakomicie grał w brydża. Biada początkującemu amatorowi, który nieopatrznie zasiadł do zielonego stolika z groźnym kustoszem Koronowa.

Pokoje gościnne znajdowały się w oficynie. Sam zaś pałac udekorowany dwiema siedemnastowiecznymi basztami przeznaczony był na muzeum, w którym miały znaleźć

schronienie arcydzieła sztuki renesansowej i barokowej. Prawe skrzydło było już wypełnione rzeźbami i obrazami, lewe zaś skrzydło od dłuższego czasu znajdowało się w remoncie, na ukończenie którego oczekiwały niecierpliwie bezcenne obrazy przybyłe po zawierusze wojennej z Anglii, Francji i Ameryki. Na razie te wspaniałe muzealne zabytki spoczywały w skrzyniach, umieszczonych w nie zawsze suchych piwnicach. Pracami remontowymi lewego skrzydła kierował znany architekt Henryk Wajchert, który bolał nad tym, że cała ta robota tak bardzo się przeciąga. Wobec jednak rozmaitych „harmonogramów” związanych z dostawą materiałów budowlanych był całkowicie bezsilny.

Pewnego grudniowego popołudnia w topolowej alei, pamiętającej czasy króla Sobieskiego, rozległ się przytłumiony warkot motoru. Jasnokawowa limuzyna zatoczyła zgrabny łuk wokół okazałego klombu i zatrzymała się posłusznie przed pałacowymi drzwiami. Wajchert zgasił silnik, zręcznie wyskoczył z wozu i podał rękę żonie. W obszernej sieni, przyozdobionej łbami jeleni, kozłów i dzików oraz zbrojami dawnych rycerzy, powitała ich pani Pieliszkiewiczowa, schludna, dystyngowana staruszka, szczycająca się tym, że podobno sam Henryk Wieniawski flirtował z jej babką. Pani Pieliszkiewiczowa miała pieczę nad kobiecym gospodarstwem i dbała o to, aby dostarczyć zasłużonym brydżystom smacznego i zdrowego pożywienia. Śniadania służba roznosiła do pokojów, natomiast na obiad i wieczerzę zbierano się w ogromnej sali jadalnej wokół rzeźbionego stołu, mogącego bez trudu pomieścić około setki biesiadników.

Wajchert z należytym szacunkiem ucałował dłoń matrony i wywołując na twarz uprzejmy uśmiech, powiedział:

- Bardzo przepraszamy za ten niezapowiedziany najazd, ale w żaden sposób nie mogłem dostać połączenia z Koronowem. Mam nadzieję, że nie zrobimy pani zbyt dużego kłopotu.

Dystyngowana pani odpowiedziała na uśmiech pełnym życzliwości skinieniem głowy.

- Ale skądże znowu, panie inżynierze. Żaden kłopot. Ogromnie jestem rada, że państwo przyjechali. Zapowiada się

parę interesujących stolików. Profesor Koziński także przyjechał z żoną i z córką.

- Wiem, wiem - zapewnił pospiesznie Wajchert, jakby się obawiał, że można go posądzić o taką ignorancję.

- Czy państwo na długo? Czy i na święta mają państwo zamiar zostać?

- Myślę, że tak. Staramy się zawsze uciec na święta z Warszawy.

Pani Pieliszkiewiczowa ściągnęła brwi, zastanawiając się nad czymś intensywnie.

- Chyba... chyba dam państwu siódemkę. Pokój duży, widny, z widokiem na świerki.

- Może być siódemka - zgodził się bez wahania Wajchert.

- To może państwo pozwolą tymczasem do salonu, a ja każę przygotować pokój. Pietrek! Pietrek! - krzyknęła gromkim głosem, którego nie powstydzilby się ekonom za pańszczyźnianych czasów. - A odnieś no walizki pana inżyniera pod siódemkę i powiedz Wikcie, żeby sprzątnęła pokój.

Wajchert wraz z panią Leną weszli do salonu, przypominającego czasy Stanisława Augusta. Jedynie duży aparat radiowy psuł harmonię tej historycznej komnaty.

W rogu, niedaleko stylowego kominka, siedziały przy stoliku cztery osoby, które na powitanie Wajchertów odpowiedziały głuchym pomrukiem. Nie można się było zresztą temu dziwić, bo właśnie w tej chwili profesor Zelman rozgrywał szlema w piki. Wajchert i pani Lena usiedli więc na kanapie koło radia i w milczeniu czekali na wynik partii.

Pani Lena pogardliwie wydeła swe piękne usteczka. Była w fatalnym humorze. Absolutnie nie miała ochotyjechać do tej „zapadłej dziury”, jak nazywała Koronowo. Czyż Henryk nie mógł sam pojechać, a ją zostawić w Warszawie? Zawsze ją musi ze sobą wszędzie taszczyć. Stary bałwan. Nigdy nie może mieć trochę swobody Na myśl, że ten wyjazd do Koronowa oznacza parotygodniowe rozstanie z Wiesławem, ogarniała ją rozpacz, łzy napływały jej do oczu. Aż nazbyt dobrze знаła Wiesia, żeby wątpić w to, że zaraz tam zaczną się flirty, kolacyjki, zabawy. To nie był typ człowieka, który by potrafił tęsknić i czekać

cierpliwie. Wprawdzie zapewnił ją przed odjazdem, o swej „wielkiej”, nigdy nieprzemijającej miłości, ale pani Lena doskonale wiedziała co o tym sądzić. Pic na wodę. „Myśli, że mnie weźmie na jakiś bajer” - powtarzała w duchu i było jej bardzo źle i czuła się nieszczęśliwa. Żeby tutaj można się było trochę rozerwać, poflirtować. Ale gdzie tam. Kto tu przyjeżdża? Same ramole, stare pryki. Rzną w karty od rana do wieczora i nic ich nie obchodzi. Kto tu spojrzy na kobietę? Chyba ten lokaj, który podaje do stołu. Jedyne młody chłopak na całym terenie. Co za ironia losu. On tam w Warszawie będzie się podbawiał z szalowymi babkami, a ona?!... Pociągnęła nosem tak głośno, że aż Wajchert spojrział na nią niespokojnie.

- Co ci jest, kochanie? - spytał cicho.

- Nic, nic. Zbiera mi się na katar. Widocznie zawiało mnie w samochodzie.

- Wziąłem na szczęście ze sobą aspirynę. Dam ci na noc.

„On tylko mi może aspirynę dać na noc - pomyślała ze złością pani Lena. -I cóż ja najlepszego zrobiłam, wychodząc za mąż za takiego pryka.” Teraz dopiero zrozumiała, że pieniądze, samochód, stanowisko, luksusowe mieszkanie, dostatnie życie to nie jest szczęście, że to jest złota klatka, w której Henryk ją trzyma jak kanarka. „Przecież możesz to wszystko rzucić i rozejść się z nim - podszeptął jej jakiś głos. - Nikt cię siłą nie zatrzyma. Niejesteś niewolnicą.” Ale łatwiej było taką rzecz pomyśleć, aniżeli wykonać. Jednak była niewolnicą, uczynił ją niewolnicą tego zbytku, dostatniego, beztroskiego, łatwego życia. Nie mogła już sobie teraz wyobrazić siebie w charakterze jakiejś skromnej urzędniczki, siedzącej od rana do czwartej po południu przy zachlapanym atramentem biurku. Ile mogłaby zarobić? Osiemset złotych... Tysiąc złotych... Ależ to śmieszne! Przecież ona więcej wydawała miesięcznie na fryzjera i kosmetyczkę. Łatwo się przyzwycząić do wydawania pieniędzy, ale odzwycząić się... I znowu porwała ją złość na męża. Zawsze, zawsze on był winien, z jakiej strony nie spojrzalaby na swoją sytuację, to zawsze winien był Henryk. Bo po co ją przyzwycząić do tego luksusu? Po co... po co? Ale to wszystko niedługo się skończy, to tak nie może trwać. Jeszcze trochę pokombinują z

Wiesławem i prysną gdzieś razem za granicę. Wiesio ma łeb na karku, wszędzie da sobie radę. Nie ma obawy. Tylko... tylko, żeby przed czasem bomba nie pękła. Ale jeżeli do tej pory nikt się nie spostrzegł... jeżeli wszystko jest w porządku... Jeden Krzysztof mógł im zaszkodzić. Ale teraz Krzysztof jest za granicą. Trudno przypuścić, żeby siedząc w Paryżu, myślał o tych sprawach. Nie, nie, wykluczone, nie warto sobie tym głowy zaprzętać. Ale jak wyjadą z Wiesławem? Najlepiej z jakąś wycieczką „Orbisu”. To najprostsze. A ten stary cymbał zostanie tutaj. Ale będzie miał minę, jak się wszystko wyda.

- O czym tak dumasz, kochanie?

Ocknęła się. Głos Henryka był tak słodki, jakby go kto posmarował miodem pomieszanym z truskawkowym dżemem.

- Myślałam o tym, jaki ty jesteś miły.

Wajchert spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Dlaczegoż cię to tak dziwi? Dotknął jej ręki.

- Kochanie moje. - Był rozczulony i uszczęśliwiony. Ostatnio miał wrażenie, że ich małżeństwu coś zagraża.

Przy stoliku brydżowym powstało nagle jakieś poruszenie. To profesor Kozieski, nie wiadomo dlaczego, zrzucił króla, nie czekając na odpowiedni moment.

- Panie profesorze - powiedział z wyrzutem Sławiński. - Co pan zrobił? Przecież leżeli bez dwóch, a tak mają szlema i skończyli robra.

Kozieski był blady i zdenerwowany.

- Przepraszam, bardzo przepraszam, ale jakoś dzisiaj nie mogę się skupić. Państwo wybaczą, że już nie będę grał.

- Czy źle się czujesz? - spytała troskliwie pani Kozieska. - Może pójdziesz się położyć? Każę ci przysłać kolację do pokoju.

- Nie, nie, dziękuję. Właściwie nic mi nie jest. To pewnie przemęczenie. Ostatnio miałem dużo pracy.

- Przyda się panu wypoczynek na świeżym powietrzu - powiedział Sławiński. Wajchertowie przywitani się z brydżystami. Przyjazdem swym wzbudzili powszechny entuzjazm. Oboje byli partnerami na wysokim poziomie i oboje lubili drogo grać. Profesor Zelman uważał za stosowne

wystąpić w roli gospodarza.

- Witam drogich państwa w Koronowie. Ogromnie się cieszę, że państwo zdecydowali się przyjechać. Mam nadzieję, że pani Pieliszkiewiczowa wyznaczyła już państwu wygodną kwatere. Zaraz będzie kolacja. Sądzę, że państwo przyjechali na dłużej. W okresie świątecznym przewidujemy kilka bardzo interesujących partii. -Ja przyjechałem częściowo służbowo - wtrącił Wajchert.

- Służbowo?

- Tak. Trzeba wreszcie skończyć z tym remontem. Na styczeń obiecano mi dostarczyć resztę materiału. Muszę dokładnie obejrzeć stan robót, zorientować się... Zelman przytaknęła skwapliwie.

- Oczywiście, oczywiście. Wszystkim nam to leży na sercu, a mnie przede wszystkim. Przyznaję, że trochę się obawiam, iż te piwnice, w których złożyliśmy skrzynie z obrazami, są jednak zbyt wilgotne. Ale zupełnie nie mam miejsca. Czekam na to skrzydło jak na zbawienie.

Do pokoju weszła nowa osobistość. Najpierw pojawiła się czarna, zmierzwiona broda, a następnie wtoczył się kulistych kształtów mężczyzna, którego wieku z powodu gęstego zarostu nie sposób było określić. Ogromny nos kartoflowatego kształtu czerwienił się pomiędzy jasnoniebieskimi dużymi oczami jak dorodny tulipan wśród niezapominajek. Był to profesor Misiukiewicz, historyk sztuki, wybitny znawca i konserwator dzieł sztuki.

Profesor Misiukiewicz z niespodziewaną przy jego tuszy zręcznością podbiegł do rozmawiających i z galanterią ucałował rączkę pani Leny.

- Najniższy sługa ślicznej pani. Przecucie mnie nie omyliło. Dziś już od wczesnego ranka jakiś głos mi mówił, że ujrzę niewiastę, przy której gaśnie uroda wszystkich bogiń Olimpu.

- Pan profesor zawsze niepoprawny donżuan - zaśmiała się pani Lena.

- Jeśli słyszała pani o donżuanie z taką brodą i o takiej aparycji, to jestem nim niewątpliwie. Ale, ale... mam wrażenie, że gdy tu wchodziłem, była mowa o jakichś wilgotnych

piwnicach.

- Ma pan znakomity słuch, profesorze - uśmiechnął się Zelman. - Rzeczywiście mówiliśmy z inżynierem Wajchertem na ten temat, że już najwyższy czas oddać do użytku lewe skrzydło pałacu. Ciągłe dręczy mnie obawa, żeby obrazom nie zaszkodziło to leżenie w piwnicy. Wprawdzie są dobrze opakowane, ale...

Profesor Misiukiewicz pokiwał głową, przy czym lewą ręką próbował rozczesać splątaną brodę.

- Otóż to... otóż to. Bardzo słusznie, bardzo słusznie. Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego te roboty remontowe tak długo trwają. Przecież to skandal.

- Nie warto się tym wszystkim tak przejmować, panie profesorze - powiedziała pani Lena, widząc, że trzeba jakoś ratować sytuację. - I tak nic pan na to nie poradzi. Szkoda pańskiego cennego zdrowia.

Historyk sztuki entuzjastycznie przywarł wargami do jej dłoni.

-Jaka pani dobra, jaka pani niesłychanie dobra. Dziękuję, że tak pani dba o moje zdrówko. To jest po prostu wzruszające. A właściwie muszę pani powiedzieć, że pani ma rację, świętą rację. Bo widzi pani, ja jestem z usposobienia cho-leryk, a przy mojej apoplektycznej kompleksji łatwo mnie może kiedy szlag trafić, jak się zdenerwuję. Ale jak tu się w dzisiejszych czasach nie denerwować? Sami powiedzcie... Jak tu się nie denerwować?

- To prawda. Dużo jest powodów do zdenerwowania. Prezes Sławiński zdenerwował się na przykład przed chwilą, ponieważ przegrał robra - powiedział Wajchert, który za wszelką cenę chciał pchnąć rozmowę na inne tory.

Misiukiewicz zarżał wesoło:

- Przegrał robra, co? Ja zawsze mówię, że pan prezes za ryzykownie gra. Po co tak ciągnąć do góry licytację. Ja jestem zdania, że należy grać ostrożnie i licytować tylko to, co się ma w karcie.

Posłyszawszy swoje nazwisko, Sławiński zbliżył się do nich.

- O ile sobie przypominam, to ostatnio kochany profesor

licytował cztery bez atutu, nie mając nic w karcie - powiedział z uśmiechem.

Misiukiewicz nastroszył się i szarpnął brodę.

- Czasami i w brydżu trzeba blefować. Sławiński zniżył głos:

-Ale wiecie, że nie mam pojęcia, co się stało Kozieskiemu. Zrzucił króla. Chyba chory.

-Ja w ogóle zauważyłem, że Kozieski coś nie w sosie ostatnio - szepnął Misiukiewicz. - Może ma jakieś kłopoty. Ale i ta jego córeczka też wesoło nie wygląda.

Teresa od dłuższego czasu siedziała pod ścianą na empirowej kanapie i bawiła się z czarnym kotem, który mruczał z zadowoleniem pod dotknięciem jej palców. Była smutna. Sama właściwie nie wiedziała dlaczego, ale czuła się jakaś bardzo samotna, bezbronna. Nigdy dotąd nie przeżywała takich stanów duchowych. Z natury była energiczna, przedsiębiorcza, trzeźwo myśląca. Nie poddawała się przemijającym nastrojom, nie znosiła sentymentalnych westchnień i marzeń o królewiczach z bajki. Realnie patrzyła na świat i życie. Miała zawsze zdrowy sąd o każdej sprawie i potrafiła trafnie oceniać ludzi, których napotykała. Zauważyła, że od pewnego czasu ojca coś gnębi, coś zżera i wyczerpuje nerwowo. Raz i drugi ujrzała w jego oczach rozpacz czy przerażenie. Ogarnął ją niepokój. Zaczęła ojca obserwować. Niby był taki jak zawsze, a jednak... Zbyt często wracał do domu zdenerwowany, rozdrażniony. Zamykał się wtedy w swym gabinecie i nie chciał nikogo widzieć. Czasem uciekał na długie godziny i wracał późnym wieczorem. Kiedyś po takiej wyprawie Teresa poczuła zapach wódki. To ją zaskoczyło.

Przecież ojciec nigdy nie pił. Nie mogła zrozumieć, jak to się dzieje, że matka tego wszystkiego nie spostrzeża. Chciała z nią nawet parokrotnie pomówić na ten temat, ale zawsze w ostatniej chwili wycofywała się z rozmowy. „Ostatecznie może nie powinnam się wtrącać do spraw tatusia” - myślała. I milczała, a pani Kozieska była, jak zawsze, beztraska, wesoła, pełna radości życia. Urządzała brydżyki, przyjęcia, herbatki, chodziła do teatru, kina i na koncerty.

A Teresę stan ojca niepokoił coraz bardziej. Poza czysto

zewnątrznymi objawami czuła instynktownie, że coś się dzieje, coś niedobrego, coś co zagraża ojcu, a może nawet im wszystkim. Chciała zapytać, dowiedzieć się, ale kiedy spojrzała na tę groźną, skupioną twarz, traciła odwagę. Z kim mogła porozmawiać? Komu zwierzyć się ze swych obaw? Nie miała przyjaciółek, a właściwie miała ich dużo, tylko że wszystkie one zawsze u niej szukały pomocy i rady, były od niej słabsze, o wiele bardziej potrzebujące oparcia. Maurycy? Miły, kochany chłopak, ale przecież to jeszcze dziecko, nie może mówić z nim o takich sprawach. Zresztą, może jej się to wszystko zdaje, może to tylko u ojca zwykle przemęczenie pracą. Powinien wyjechać na dłuższy wypoczynek, a może nawet na kurację. Takie kilkudniowe wypadki do Koronowa nic nie dają. Jeszcze tylko zdenerwowanie przy tym cholernym brydzu. Jak na przykład dzisiaj.

- O czym pani tak rozmyśla, panno Tereso? Drgnęła i podniosła głowę. Tuż przy niej stał Ryszard Wąsowicz i uśmiechał się.

Teresa dosyć lubiła młodego poetę. Był trochę zbyt zmanierowany jak na jej gust i trochę zbyt wymizerowany, ale mimo to patrzyła na niego bez specjalnej przykrości. Na jego korzyść przemawiał niewątpliwie fakt, że w całym Koronowie, nie licząc pracowników miejscowego PGR, trudno było znaleźć mężczyznę poniżej lat sześćdziesięciu. W tych warunkach akcje niedożywionego młodzieńca musiały automatycznie pójść w górę.

- O czym pani tak rozmyśla? - powtórzył swe pytanie Wąsowicz.

- O znikomości świata i życia.

- Och, cóż za filozoficzna tematyka. I do jakich wniosków doszła pani w swych rozważaniach?

- Że właściwie warto by się przejść przed kolacją. Czy nie miałby pan ochoty na maleńki spacer po parku?

- Z prawdziwą przyjemnością. Narzucili płaszcze i wyszli przed dom.

- O! - powiedziała zdziwiona Teresa. - Śnieg.

- Po południu trochę prószyło. Nie zauważyła pani?

- Przyznaję, że nie.

- Musiała pani rzeczywiście głęboko rozmyślać nad znikomością świata.

Szli aleją bielejącą świeżym śniegiem.

- Kiedyż nareszcie zdejmą te rusztowania? - powiedział Ryszard. - Przecież to szpeci cały pałac.

- Inżynier Wajchert obiecał przyspieszyć roboty. Myślę, że na wiosnę już wszystko będzie gotowe.

- I nareszcie urządzią tam to muzeum.

- Tak. Mają umieścić w lewym skrzydle obrazy i rzeźby, które udało nam się odzyskać po wojnie. Podobno są tu w skrzyniach bezcenne płótna: Leonardo, Rafael, Rubens, van Dyck i dużo, dużo innych.

- Jednym słowem wspaniałości - uśmiechnął się Wąsowicz. - Chciałbym zobaczyć coś z tych rzeczy. Wie pani, panno Tereniu? Mam myśl. Zaimprovizujemy choćby dzisiaj po kolacji małą wystawę. Poprosimy profesora Zelmana, żeby kazał odbić którąś ze skrzyń i żeby nam pokazał te cuda. Przecież można to zrobić. Nie muszą te stare ramole rżnąć w brydża bez przerwy. Och, najmocniej przepraszam, nie miałem oczywiście na myśli szanownego ojczulka, profesora Kozińskiego.

Teresa roześmiała się głośno.

- Jest pan wspaniały, panie Ryszardzie. Ale wie pan, że to niezła myśl. Sądzę, że i tym obrazom dobrze zrobi, jak się trochę przewietrzą. Będziemy mieli rozrywkę, a i stolik brydżowy odpocznie. Bardzo jestem ciekawa tych obrazów. Podobno jest jakiś zupełnie nieznan obraz Rubensa. Myślę, że się profesor Zelman zgodzi.

- Chyba tak. Przecież to nic złego. Nie zniszczymy dzieł sztuki. Prędzej się zniszczą, leżąc w tych piwnicach.

W oddali rozległ się gong. Teresa wzięła swego towarzysza pod rękę.

- Wracajmy. Wzywają nas na wieczorowy posiłek. Przyznaję, że bardzo w porę.

Jestem głodna.

Całe towarzystwo już się sadowiło przy ogromnym stole.

- Gdzież to młodszy ludzie spacerowali? - spytała pani

Kozieska.

- Powinnaś, mamusiu, lepiej pilnować swej córki - uśmiechnęła się Teresa - która po ciemnym pałacu spaceruje wieczorową porą z młodym człowiekiem.

Pani Kozieska sceptycznie pokiwała głową.

- Mam wrażenie, że trochę trudno byłoby pilnować dzisiejsze córki. Jeżeli się same nie upilnujecie, to nikt was nie upilnuje.

- Mama się powtarza - szepnęła Teresa, pochylając się ku Ryszardowi.

-Jedzcie, jedzcie. Kolacja stygnie.

Służący w białym kelnerskim kitlu obnosił okazałych rozmiarów półmisek. Na kolację były bitki wołowe z makaronem i omlet z dżemem. Potem, oczywiście, herbata i jeżeli ktoś odczuwał jeszcze jakieś niepokojące luki w żołądku, mógł je zapełnić słonymi paluszkami, podanymi na srebrnych paterach. W ogóle bez trudu można było zauważyć, że zastawa stołowa (sztućce, półmiski, talerze, patery, kryształowe kubki do wody mineralnej) przedstawiała się o wiele okazalej aniżeli potrawy, których prostota wyraźnie kontrastowała z arystokratyczną atmosferą sali jadalnej. Ten bowiem historyczny entourage przywodził na myśl pieczenie sarnie, tłuste kapłony, indyki, udźce baranie, bażanty, sztrasburskie pasztety, dzbany napelnione najprzedniejszym węgryzmem i staropolskim miodem.

A tymczasem, zamiast tego wszystkiego, wołowe bitki z makaronem i omlecek z dżemem truskawkowym.

Profesor Misiukiewicz najprędzej uporał się ze swą porcją i rzucając melancholijne spojrzenie w kierunku pustego półmiska, powiedział:

- Doskonale były te biteczki, doskonale. - Ponieważ jednak pani Pieliszkiwiczowa nie podjęła tego tematu, westchnął, zjadł omlecek na słodko i sięgnął po papierośnicę. Wszyscy mieli apetyt. Jedli żwawo i w milczeniu, nie przeszkadzając sobie zbędną rozmową. Jedynie profesor Kozieski zjadł tylko trochę makaronu, mięsa zaś nie tknął, a omlet odsunął z widoczną niechęcią. Pani Kozieska spojrzała niespokojnie na

męża.

- Nie jesz? Co ci jest? Może źle się czujesz?

- Nie, nie, nic mi nie jest. Po prostu nie mam jakoś apetytu.

- Za mało przebywasz na świeżym powietrzu.

- Być może.

- Od jutra zaaplikujemy panu profesorowi przymusowe spaceru - powiedział doktor Pielecki. - Może rzeczywiście pan trochę za dużo przesiaduje przy brydzyku.

- Ależ nic mi nie jest - mruknął niecierpliwie Kozieski. Teresa, chcąc przerwać tę niemiłą dla ojca rozmowę, zwróciła się do siedzącego obok profesora Zelman:

- Wie pan, panie profesorze, że wpadliśmy z panem Ryszardem na znakomity pomysł.

- Cóż to za pomysł?

- Ale powodzenie tego pomysłu zależy oczywiście od pana.

- Ode mnie? Nic nie rozumiem...

- Chcieliśmy zaproponować, żeby pan korzystając z tego, że jesteśmy dzisiaj w Koronowie w takim ścisłym kółku, zorganizował nam wystawę dzieł sztuki.

Zelman spojrzał ze zdziwieniem na dziewczynę.

- Wystawę? W dalszym ciągu nie bardzo rozumiem, o czym pani mówi.

- Chodzi o to - wtrącił się do rozmowy Wąsowicz - żeby pan nam po kolacji pokazał trochę wspaniałości, które leżą w skrzyniach w piwnicach i nie mogą się doczekać wykończenia tych sal.

Profesor Zelman zdawał się być trochę zaskoczony tą propozycją.

- Doprawdy, nie wiem, czy to byłoby możliwe. Obrazy są starannie zapakowane w skrzyniach. Obawiam się, że to byłoby nieco kłopotliwe...

- Ależ panie profesorze - zapalił się Wąsowicz. - Przecież nie będziemy odpakowywać wszystkich skrzyń. Przyniesiemy na górę jedną, tę, którą nam pan profesor wskaże jako zawierającą najciekawsze obrazy. Pomożemy odpakować, a potem wszystko elegancko zapakujemy. Na pewno nic złego się nie stanie.

- To dobra myśl - poparł młodego poetę profesor Misiukie-

wicz. - Zajrzyjmy do naszych skarbów narodowych i trochę je przewietrzmy. Niech się pan da namówić, panie profesorze. Taka kulturalna rozrywka po wieczery to będzie wspaniała uczta duchowa. Prawda, pani inżynierowo? - uśmiechnął się do pani Leny.

- Wydaje mi się, że to byłoby bardzo ciekawe. Nie wiem tylko, czy nie za wiele kłopotu.

- Żaden kłopot, żaden kłopot - śmiał się Misiukiewicz, usuwając przy tym z wąsów resztki wołowiny - nasz kochany gospodarz, pan profesor Zelman, ma tu do swojej dyspozycji rosłych hajduków, którzy bez trudu wniosą tu arcydzieła minionych stuleci.

Profesor Zelman rozłożył ręce, dając do zrozumienia, że się poddaje.

- Skoro państwo wszyscy tak nalegają, to muszę ustąpić. Vox populi. - Skinął na lokaja i powiedział: - Macie tu, Stanisławie, klucze od piwnic. Weźcie sobie do pomocy Pietrka i przynieście skrzynię oznaczoną literą 4B. Tylko ostrożnie. Idźcie pomału.

Stanisław zniknął. Przy stole znowu zapanowało milczenie. Tylko od czasu do czasu słychać było chrupanie słonych paluszków.

- Czy pan profesor w gotowych już pomieszczeniach nie mógłby powiesić chociaż części tych obrazów? - spytał Misiukiewicz.

Zelman potrząsnął głową.

- Myślałem już o tym, ale zupełnie nie mam miejsca.

- Zapewniam panów - powiedział Wajchert, że najdalej w połowie marca oddaję do użytku całe lewe skrzydło. Tam się chyba wszystko zmieści.

Misiukiewicz w zamyśleniu wykruszał sobie resztki makaronu z brody.

- No tak, tak, tylko że przez dłuższy czas może być jeszcze wilgoć. Nie ma nic gorszego dla obrazu jak wilgotna ściana.

Stanisław wraz z Pietrkiem wnieśli potężnych rozmiarów skrzynię okutą żelaznymi taśmami.

- Powiedziałem przecież, żeby przynieść skrzynię oznaczoną

literą 4B – warknął gniewnie profesor Zelman. - Nie widzicie, że tu jest napisane 3A?

- Kiedy, panie profesorze, tamta skrzynia bardzo daleko stała, w samym kącie. Trzeba by było wszystko odwalić. Baliśmy się, żeby czego nie uszkodzić.

- No dobrze, dobrze. Postawcie tu pod ścianą i przynieście jakieś narzędzia, dłuto, obcęgi...

W tej chwili rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Wszyscy spojrzeli zdziwieni.

- O tej porze? Kto to może być?

- Wyjrzyjcie no, Stanisławie - powiedział Zelman. Służący wrócił po chwili.

- Panie profesorze, przyjechali z milicji. Wiadomość ta wywołała konsternację. Na całym bowiem świecie, niezależnie od ustroju i szerokości geograficznej, słowo „milicja” czy „policja” oddziałuje w sposób deprymujący na ludzi choćby nawet najuczciwszych. Kiedy minął pierwszy moment zaskoczenia, profesor Zelman wyszedł do hallu, aby wywiązać się należycie z roli gospodarza. Niebawem wrócił w towarzystwie dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu.

- Państwo pozwolą, że przedstawię nowych gości: kapitan Walczak i kapitan Downar. Popsuł im się wóz i proszą o gościnę.

- Bardzo nam miło - ozwało się kilka niewyraźnych głosów. Oficerowie skłonili się uprzejmie i Walczak powiedział:

- Przykro nam, że przeszkadziliśmy państwu, ale mamy niespodziewany defekt w motorze i nie sądzę, żebyśmy mogli wyruszyć do Warszawy wcześniej aniżeli jutro rano. Proszę się nami zupełnie nie krępować.

- Jesteśmy panom bardzo radzi - uśmiechnęła się pani Lena, obrzucając zgrabną sylwetkę Downara przychylnym spojrzeniem. Profesor Misiukiewicz wskazał skrzynię:

- Mieliśmy właśnie zamiar obejrzeć sobie arcydzieła dawnych mistrzów. Więc jeżeli to panów nie znudzi...

- Ależ bardzo chętnie weźmiemy udział w tej artystycznej imprezie – zapewnił Walczak.

- Ale może by panowie najprzód coś przekazali? -

zapropował profesor Zelman.

- Serdecznie dziękujemy, ale jesteśmy już po kolacji. Jedliśmy po drodze.

Stanisław i Pietrek, na rozkaz profesora, zabrali się żwawo do pracy i po chwili wieko skrzyni zostało odbite. Poczęto wydobywać obrazy i ustawiać je pod ścianą. Pani Pieliszkiewiczowa przyniosła ściereczkę, aby wytrzeć z kurzu ramy.

Przed oczami zgromadzonych ukazały się dzieła dawnych mistrzów: van Dyck, Rubens, Rembrandt, Murillo, Velazquez, Rafael, Boticelli.

Profesor Misiukiewicz począł szarpać brodę z podniecenia. Wyjął z kieszeni duże okulary i założył je na nos. Wyglądał teraz jak ogromny nadęty puchacz.

- To, to jest ten nieznany Rubens? - powiedział. Profesor Zelman skinął głową.

- Tak. To właśnie Dzieci z Bachusem. Jedno z mało znanych dzieł artysty wczesnego okresu.

Misiukiewicz podszedł blisko do obrazu i począł mu się badawczo przyglądać.

- Dziwne, trochę dziwne - pomrukiwał. - Wie pan co, panie profesorze, że gdybym nie miał pewności, to...

- To co? - spytał Zelman.

Misiukiewicz nie zaraz odpowiedział. Pomrukiwał coś, oglądał uważnie płótno i coraz mocniej szarpał brodę.

- Musiałbym to dokładnie sprawdzić, wziąć do siebie do pracowni. Ale wie pan, panie profesorze, że gotów jestem się założyć. To nie jest Rubens.

Zelman nieznacznie wzruszył ramionami.

- Chyba się pan myli. To na pewno Rubens.

- Zostawcie, panowie, te fachowe spory - zaśmiał się Wajchert. - Oglądajmy obrazy. To są naprawdę ciekawe rzeczy. Nie przypuszczałem nawet, że udało nam się rewindykować takie skarby.

Weszła pani Kozieska. Nikt nie zauważył, kiedy wychodziła.

- Panie inżynierze, panie inżynierze!

- Słucham panią?

-Jestem bardzo niespokojna o mojego męża.

- A co się stało?

- Poszedł do pokoju, żeby się położyć. Trochę źle się czuł. Teraz chciałam do niego zajrzeć. Drzwi zamknięte i nikt się nie odzywa. Jestem bardzo niespokojna.

- Może śpi?

- Nie, chyba nie. Sen ma zazwyczaj bardzo lekki. Waliłam w drzwi z całej siły.

- Boże! - krzyknęła Teresa i wybiegła z pokoju. Wszyscy patrzyli niezdecydowanie na panią Kozieską.

Wreszcie profesor Pielecki powiedział:

- No to chodźmy zobaczyć.

Drzwi od pokoju Kozieskich były zamknięte na klucz. Nie pomogło stukanie. Wewnątrz panowała cisza.

- Pietrek, przynieść no łom! - krzyknął Zelman.

Pod naporem żelaza drzwi ustąpiły. Profesor Kozieski leżał na łóżku. Nie poruszył się, gdy wpadli do pokoju. Doktor Pielecki zbadał pospiesznie serce i zbladł.

- Nie żyje - szepnął.

W tej chwili Walczak wskazał na biały proszek rozsypany na nocnym stoliku.

- Czy pan to zauważył, panie profesorze? - spytał.

ROZDZIAŁ XI

Dyrektor Laskowski skończył mówić, nerwowym ruchem poprawił sobie okulary na nosie i spojrzał wyczekująco. Ponieważ jednak nie mógł się doczekać jakiejś reakcji ze strony swego rozmówcy, spytał:

- I co pan o tym sądzi, panie kapitanie?

Walczak bez pośpiechu wyjął z kieszeni duże szkło powiększające i przez chwilę przyglądał się uważnie czekowi i wzorom podpisów. Był w fatalnym humorze. Nie znosił tego rodzaju spraw. Fałszerstwa, podrabianie czeków, kwitów kasowych, asygnat, kradzieże, manka, to wszystko nie interesowało go, zbyt było schematyczne, jednakowe. Przeważnie z góry mógł przewidzieć, jak się potoczy śledztwo.

Pasjonowały go zagadki kryminalne skomplikowane, nietypowe, wymagające intensywnej, wytężonej pracy mózgu. Teraz więc, siedząc w dyrektorskim gabinecie, przeklinał grypę i Downara. „Psiakrew, że też Stefan musiał się akurat dzisiaj rozchorować.” Schował lupe, położył czek na biurku i powiedział:

- No cóż... Podpis wygląda na autentyczny. Jeżeli nawet jest podrobiony, to świetnie. W każdym razie musimy to dać do ekspertyzy fachowej. A ten inżynier jest zupełnie pewien, że nie wystawiał czeku na taką sumę?

Laskowski poruszył się niecierpliwie.

- Mówiłem przecież panu...

- Dobrze, dobrze - przerwał mu Walczak. - Ludzie są omylni. Zdarzają się różne przeoczenia...

- Ale nie jeśli chodzi o sto dwadzieścia tysięcy złotych.

- Oczywiście. To spora suma. Czy wy wypłacacie każdą sumę na okaziciela?

- Każdą. Jeśli tylko jest pokrycie...

- Zrozumiałe. Niech mi pan łaskawie powie, dyrektorze, czy pan się nie orientuje, jakie inżynier Wajchert prowadził ostatnio roboty budowlane?

Laskowski zrobił zdziwioną minę. Wysunął dolną wargę ku przodowi i znowu poprawił sobie okulary, które uparcie zsuwały się po równym, cienkim nosie.

- Doprawdy nie potrafię panu na to odpowiedzieć. O ile wiem, to między innymi inżynier prowadzi remontowe roboty pałacu w Koronowie.

W oczach Walczaka zabłysło nagle zainteresowanie.

- Pałacu w Koronowie?

- Tak. Zdaje się, że roboty te są już na ukończeniu. Ale doprawdy bliższych informacji nie jestem w stanie panu udzielić.

Walczak szybkim ruchem zmierzwił sobie ciemną czuprynę, wstał i zaczął chodzić po pokoju. Widać było, że myśli nad czymś intensywnie. Zatrzymał się przed dyrektorem.

- Czy pan sobie przypomina nazwisko jakichś osób, na które inżynier Wajchert wystawiał dość często czeki?

- Dawniej... - odpowiedział z wahaniem Laskowski.
-Dawniej pan Wajchert wystawiał czeki na swego syna, ale... -
Urwał, jakby nie był pewien, czy powinien mówić dalej.

- Ale co?... - przynaglił go Walczak.

- Ale to się już dość dawno skończyło.

- Od kiedy to się skończyło?

- Myślę, że od czasu, kiedy się pan Wajchert ożenił. Później wystawiał czeki na żonę.

- Widzę, że pan jest doskonale zorientowany, panie dyrektorze. Czy pan osobiście zna inżyniera Wajcherta? To znaczy, czy pana łączą z nim jakieś prywatne stosunki? Laskowski był wyraźnie zakłopotany.

- Tak, owszem, znam Wajcherta, znam nawet dość dawno, jeszcze sprzed wojny. Walczak postanowił w tej chwili nie podtrzymywać tego tematu.

- Ten, kto podrobił czek, musiał znać doskonale podpis Wajcherta - mruknął, pocierając sobie pięścią czubek nosa.

Laskowski spojrzał na niego zdumiony.

- No oczywiście. Jakżeżby mogło być inaczej.

- Czy pan ostatnio nie miewał jakichś kłopotów z fałszywymi czekami?

-Nie.

- Pan Wajchert ożenił się po raz drugi, tak?

- Tak.

- Dawno?

- Dokładnie panu nie powiem. Chyba ze dwa lata temu.

- A czy pan zna obecną żonę pana Wajcherta?

- Znam - odparł niechętnie Laskowski.

Walczak rzucił mu szybkie spojrzenie. Przyszło mu w tej chwili na myśl, że Laskowski powinien nosić inną oprawę i inne zauszniki. To ciągle poprawianie okularów na nosie było denerwujące.

- Czy sądzi pan, że syn Wajcherta może ewentualnie wchodzić w rachubę w sprawie tego czeku?

- Nie mogę rzucać takich podejrzeń, panie kapitanie, ale...

- Proszę, niech pan mówi śmiało. Nikt nas nie słyszy.

- Widzi pan, panie kapitanie. Krzysztof Wajchert to jest

zdemoralizowany chłopak. Ojciec nauczył go wydawać dużo pieniędzy, a potem odebrał mu te możliwości, więc...

- Kim ten młody Wajchert jest z zawodu? - spytał Walczak.
- Artystą malarzem. Kończy Akademię.

Walczak usiadł, wyjął papierośnicę i poczęstował dyrektora.

- Malarz, grafik... Hm... no cóż... to by mogło pasować. Zdolności do rysunków można wykorzystać, podpisując czek. Co pan o tym sądzi?

Laskowski z zakłopotaniem potrząsnął głową i znowu pchnął do góry spadające okulary.

- Nie wiem... Doprawdy... Nie mogę podejrzewać.

- Syn Wajcherta mieszka stale w Warszawie?

- Podobno niedawno wyjechał do Paryża.

- Kiedy?

- Dokładnie nie wiem, ale z tego, co słyszałem, wynika, że jakieś kilka tygodni temu. Walczak wypuścił dym nozdrzami i wydał wargi tak, jakby miał zamiar zagwizdać.

- Czek jest z października. To mogłoby pasować. Bardzo prawdopodobne. Młody chłopak rozpuszczony przez ojca, lubiący się bawić i wydawać dużo forsy, zostaje nagle pozbawiony tych możliwości przez młodą macochę. Czyż nie tak, panie dyrektorze?

- Jest pan bliski prawdy - uśmiechnął się z przymusem Laskowski. Widać było, że cała ta rozmowa sprawia mu dużą przykrość.

Walczak wstał.

- Dziękuję panu, panie dyrektorze. Na razie to chyba byłoby wszystko. Poproszę pana o adres i numer telefonu inżyniera Wajcherta. A ten czek i wzory podpisów zabieram ze sobą. Muszę dać do ekspertyzy. Za parę dni zadzwonię do pana. Być może, że będę potrzebował jeszcze jakichś dodatkowych wyjaśnień.

- Zawsze jestem do pańskiej dyspozycji - uśmiechnął się ze sztuczną uprzejmością Laskowski.

Wyszedłszy z PKO, Walczak pojechał na Koszykową. Spodziewał się, że zastanie przyjaciela w łóżku, obstawionego lekarami. Tymczasem Downar, ubrany i ogolony, siedział

przy biurku i pisał listy.

- Cóż to, nie leżysz? Podobno jesteś ciężko chory.

- Nie mogę leżeć - mruknął Downar. - Cholera, już mnie boki bolą od tego leżenia. A zresztą trochę mi lepiej. Wczoraj wieczór odwiedził mnie Kobiela. Przyniósł piwa, parę jaj i ćwiartkę wódki. Zrobił mi grzanioczę. Spałem wyśmienicie, a dzisiaj już nie mam temperatury. Chyba pójdę się przejść. Grypę trzeba wietrzyć.

Walczak popatrzał na niego z widoczną niechęcią.

- To ja cię zastępuję w robocie, żebyś mógł się wyleżeć, a ty wybierasz się na spacerek?

- Nie gniewaj się, Karolku, ale jak Boga kocham, nie mogę leżeć. Przecież nie chcesz, żebym się naprawdę rozchorował. Byłeś w PKO?

- Właśnie od nich jadę.

- No i co z tymi czekami?

Walczak pokrótce streścił rozmowę z dyrektorem Laskowskim.

Downar pokiwał głową i bez większego zainteresowania spytał:

- Co o tym sądzisz?

- No cóż... Nie jest wykluczone, że rzeczywiście ktoś podrobił ten czek. Trzeba dać podpisy do ekspertyzy. Ale wiesz, co myślę? Że należałoby zdobyć jakiś rękopis młodego Wajcherta.

- Podejrzewasz go?

- W każdym razie trzeba go wziąć poważnie pod uwagę. Z najbliższego otoczenia Wajcherta kto to mógł zrobić? Syn albo żona. Oczywiście trzeba się przyjrzeć urzędnikom firmy Wajcherta. Ale to mniej prawdopodobne. Podobno młody Wajchert wyjechał za granicę. To daje do myślenia.

- Sądzę, że chyba nie będzie trudno zdobyć jakiś list czy notatki tego chłopaka. Walczak usiadł, zapalił papierosa i podrapał się w głowę.

-Jeżeli tak się znakomicie czujesz, to proponuję, żebyś odwiedził inżyniera Wajcherta. Ja mam na razie dosyć roboty z tymi bandziorami z Pruszkowa.

- No cóż... trudno. Widzę, że się nie wykręcę od tej czekowej afery. Pójdę do tego Wejcherta. Jeżeli zarazi się ode mnie grypą, to ty za to będziesz odpowiedzialny. I trzeba mi było wstawać z łóżka?

Walczak poklepał go po plecach.

- Nie narzekaj. Poflirtujesz sobie za to z piękną panią inżynierową.

- Leśniewski zabronił mi stanowczo wszelkich flirtów.

- To było dawno - zaśmiał się Walczak - sędzę, że od kiedy cię awansowali na kapitana, to ten zakaz jest nieaktualny. Zresztą flirt dla dobra sprawy jest czasem nawet niezbędny.

-Ja zawsze flirtuję wyłącznie dla dobra sprawy.

Po wyjściu Walczaka Downar nalał sobie kieliszek wódki i przyrządził kanapkę ze śledziem. Wierzył w to, że wódka zabija zarazki.

Było jeszcze za wcześnie, żebyjechać do Wajchertów. Usiadł więc przy biurku i zabrał się do przerwanej korespondencji. Panią inżynierową pamiętał doskonale. Podobała mu się. Wtedy w Koronowie obdarzyła go kilkoma obiecującymi spojrzeniami. Wyglądała na cwana. Lubił kobiety sprytnie i doświadczone.

Okolo czwartej połączył się z mieszkaniem Wajchertów. Posłyszał w słuchawce głos pani Leny.

- Mąż powinien lada chwila wrócić. Czekam na niego z obiadem. Jeśli przyjedzie pan za godzinę, na pewno go pan zastanie.

Podziękował i odłożył słuchawkę. Zamyślił się. Miał wrażenie, że panią Wajchertową zaniepokoił jego telefon. A może zasugerował się tylko słowami Walczaka?

Za piętnaście piąta włożył barwny krawat, skropił włosy wodą kolońską i przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze.

- Zmizerniałem - mruknął niezadowolony.

Wyszedł. Wieczór był pogodny, ale czuć było w powietrzu przejmującą wilgoć. Rano padał deszcz ze śniegiem. Mokra ulice nie zachęcały do spacerów. Na rogu alei I Armii wsiadł w setkę.

Drzwi otworzyła mu Klementyna. Poprosiła go do gabinetu i

zakomunikowała, że pana inżyniera jeszcze nie ma w domu, ale że telefonował i niedługo wraca. Prosił, żeby pan kapitan na niego zaczekał.

Downar zapalił papierosa i rozejrzał się. Pokój urządzony był typowo. Biurko, dwa klubowe fotele obite skórą, kanapa także obita skórą, owalny stolik, ciemna rzeźbiona szafa na książki, etażerka zawalona czasopismami, teczkami i papierami, na podłodze nieduży dywan krajowej produkcji, a na ścianach parę dobrych płócien. Nad biurkiem na widocznym miejscu wisiał obraz Juliusza Kossaka Spotkanie Chmielnickiego z Tuhaj-Bejem.

Downarowi nie smakował papieros. Zgasił go więc i usiadł. Zastanawiał się nad tym, czy dobrze zrobił, że zapowiedział swoją wizytę. Lepiej może było przyjść niespodziewanie albo spotkać się gdzieś „przypadkowo” z żoną Wajcherta.

Weszła pani Lena. Miała na sobie zgrabną wełnianą sukienkę koloru ciemnej rdzy.

- My się chyba z panem znamy - powiedziała, wyciągając rękę na powitanie.

Downar skłonił się.

- Oczywiście. Miałem przyjemność poznać panią w Koronowie. Wtedy kiedy profesor Kozieski...

- Straszne nieszczęście - westchnęła i lekkim ruchem ręki poprawiła sobie fryzurę. - Co za tragedia dla żony, córki...

Wskazała fotel.

- Proszę, niechże pan siada, panie kapitanie. Przykro mi, że nie zastał pan męża. Lada chwila powinien nadejść. Wyjątkowo jadł dzisiaj obiad na mieście i dlatego... Prosił, żeby pan był łaskaw na niego zaczekać. Przepraszam, że pana mimo woli wprowadziłam w błąd.

Downar uśmiechnął się uprzejmie.

- Och, nic się nie stało. Chętnie zaczekam. Mam dość czasu. Patrzała na niego pytająco, jakby oczekując, że wyjawi jej cel swej wizyty. Ponieważ jednak Downar nie zdradzał po temu najmniejszej ochoty, powiedziała:

- Pan zapewne do mego męża w sprawie tego jakiegoś czeku?

- Zgadła pani.

- Czy domyśla się pan, kto mógłby się dopuścić fałszerstwa? Pochwycił jej spojrzenie niespokojne, natarczywe. Wyczuł, że zależy jej bardzo na tym, żeby się czegoś dowiedzieć. „Oj, coś niedobrze, siostrzo” - pomyślał.

- Nie lubię snuć domysłów. Lubię mieć pewność.

- Czy pan miewa często do czynienia z tego rodzaju sprawami?

- Od czasu do czasu. Różnie bywa.

- A czy w takich wypadkach trudno jest wykryć sprawcę?

- To zależy od sprytu sprawcy i od sprytu prowadzącego śledztwo.

- Pańska praca musi być bardzo interesująca.

- Nie zawsze, ale czasami tak. Pani powinna stanowczo pracować w milicji.

Zdziwiła się. -Ja? Dlaczego?

- Bo pani ma wrodzone zdolności do prowadzenia śledztwa.

Znakomicie zadaje pani pytania.

Spojrzała na niego z niewyraźnym uśmiechem.

- Pan żartuje.

- Tak mi się zdaje.

Przechyliła leciutko na bok głowę i przyglądała mu się z zaciekawieniem. W jej szarzielonych oczach pojawiły się wesołe błyski.

- Pan jest inteligentny - powiedziała po chwili.

- Inteligencja to rzecz bardzo względna.

- Nie bardzo pana rozumiem.

- Po prostu. Najinteligentniejszy człowiek w końcu zawsze spotyka inteligentniejszego od siebie, o wiele inteligentniejszego. I wtedy dopiero rozumie, że całe życie był głupcem.

- Zaczyna pan filozofować.

-Wie pani, to dziwne, ale zawsze kiedy mam grypę, nawiedzają mnie takie filozoficzne refleksje.

- Ma pan grypę?

- Taką niewielką, powiedziałbym kameralną.

- To dlaczego nie leży pan w łóżku?

- Dlatego że wtedy ominęłaby mnie przyjemność rozmowy z panią.

- Mogłabym pana pielęgnować w chorobie.

- Nie sędzę, żeby pani miała pielęgniarskie uzdolnienia.

Roześmiała się.

- Wie pan, to prawda. Przekonałam się o tym, kiedy Krzysztof był chory.

- Pani małżonek?

- Nie. Mój pasierb. Syn męża z pierwszego małżeństwa.

- Ach tak...

- Miły chłopiec i bardzo utalentowany, ale niestety zepsuty przez ojca. Nauczył się szastać pieniędzmi, bawić się, hulać. Henryk za dużo mu pozwalał. Obawiam się, że Krzysztof wpadł w nieodpowiednie towarzystwo. To się może źle skończyć. Tyle się czyta o przestępczości wśród młodzieży...

- Sądzi pani, że?...

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Pani Lena wstała.

- To na pewno mój mąż. Przepraszam pana.

Wyszła. Downar odprowadził ją spojrzeniem. Podobała mu się.

Po chwili pojawił się Wajchert. Zaróżowiona nienaturalnie twarz i błyszczące oczy świadczyły o tym, że pan inżynier pił do obiadu nie tylko fructovit.

- A, pan kapitan! Witam, witam serdecznie. Widzę, że nasza kochana milicja działa w błyskawicznym tempie. To mnie cieszy, to mnie bardzo cieszy, to mnie nawet niezmiernie cieszy. Proszę, niech pan siada, panie kapitanie, proszę uprzejmie. Napije się pan czegoś mocnego?

- Dziękuję, już piłem.

-Już pan pił? Cha, cha, cha. To dobre, to wspaniałe. Ja, prawdę mówiąc, teżjuż piłem. Ale nie można inaczej. Trzeba dbać o zdrowie. Ta epidemia grypy...

- Właśnie - przytaknął Downar.

- No to może chociaż herbatki? Mocnej herbatki, co?

- Herbatki chętnie.

- Klementyno! Klementyno! - wrzasnął Wajchert w głąb korytarza. - Prosimy mocnej, gorącej herbaty.

Zatrzasnął drzwi i sapnąwszy, zagłębił się w fotelu. Przez chwilę szeroko otwartymi oczami przyglądał się Downarowi, jakby chciał sobie uświadomić, co to za człowiek przed nim siedzi i czego właściwie chce.

- Hm... Więc tego...

- Właśnie - powiedział Downar.

Wajchert już się otrząsnął z chwilowego osłupienia. Spojrzał przytomniej.

- Bardzo się cieszę, że mnie pan odwiedził, panie kapitanie. Mam nadzieję, że szybko wyjaśnicie sprawę tego czeku.

- Postaramy się.

- Czy mogę panu służyć jakimiś informacjami w tej sprawie? Downar skinął głową.

- Oczywiście. Dlatego pozwoliłem sobie pana niepokoić, przede wszystkim chciałbym jeszcze raz zapytać, czy pan na pewno nie wystawiał takiego czeku. Wajchert zachnął się.

-Ależ proszę pana, przecież nie jestem małym dzieckiem. Nie od dziś prowadzę interesy handlowe. Orientuję się w tym, co robię. A zresztą tu nie chodzi o paręset złotych. To jest sto dwadzieścia tysięcy, drogi panie, sto dwadzieścia tysięcy. A muszę jeszcze panu powiedzieć, że mam poważne wątpliwości co do drugiego czeku na pięćdziesiąt tysięcy.

- Jeszcze to dokładnie sprawdzę, bo tamten czek został zrealizowany w sierpniu zeszłego roku. Ale co do tego czeku na sto dwadzieścia tysięcy nie mam wątpliwości, jest sfałszowany!

- Doskonale sfałszowany - przyznał z uznaniem Downar.

- Oczywiście. Inaczej bank nie wypłaciłby gotówki. Kto fałszuje czek, ten musi umieć to robić.

- Czy pan sobie nie przypomina, panie inżynierze, żeby panu zginęła książeczka czekowa?

Wajchert pomyślał chwilę.

- Nie mogę panu na to pytanie dokładnie odpowiedzieć, ale to jest możliwe. Coś, jak przez mgłę, przypominam sobie, że w zeszłym roku... Dokładnie nie pamiętam. Być może. Być może...

- Czy pan inżynier kogoś podejrzewa?

-Absolutnie nikogo. Nie mam pojęcia, kto by to mógł zrobić.

- Pan prowadzi firmę budowlaną?

- Tak.

- Czy któryś z pańskich pracowników?...

- Nie, nie - przerwał Wajchert. - To zupełnie nieprawdopodobne. Przede wszystkim moi pracownicy nie orientują się w stanie konta bankowego. Nikt nie zaryzykuje podrobienia czeku, nie mając pewności, że jest pokrycie. Zresztą u mnie nie pracują tego pokroju ludzie. Oczywiście zdarzają się nieraz rzeczy zupełnie nieprawdopodobne, ale sądzę, że to nie jest właściwa linia poszukiwań.

Wajchert wzruszył ramionami.

- Boja wiem. To już jest sprawa milicji.

- Słusznie, ale bez pańskiej pomocy to nie będzie łatwe.

- Służę wam wszystkimi informacjami.

Klementyna przyniosła herbatę. Nakryła stolik kolorową serwetą i postawiła szklanki, cukierniczkę i paterę z drobnymi ciastkami. Przerwali rozmowę, w milczeniu obserwowali jej ruchy. Kiedy wyszła, Downar powiedział:

- O ile się orientuje, to ma pan dorosłego syna? -Tak.

- I gdzie on obecnie przebywa?

- W Paryżu.

- Od jak dawna?

- Otrzymałem od niego list z Paryża chyba gdzieś na początku grudnia.

- Czy mógłbym zobaczyć ten list?

Wajchert zawahał się. Sięgnął jednak do kieszeni i wyjął portfel.

-Jeśli to panu potrzebne. - Podał list.

Downar przeczytał bardzo uważnie, obejrzał papier pod światło i sprawdził datę na stemplu pocztowym. - Jeżeli pan inżynier pozwoli, to zatrzymam ten list.

Wajchert spojrzał na niego zdziwiony.

- Nie bardzo rozumiem...

- Oddam panu za dwa, trzy dni.

- Przyznaję, że trochę mnie to dziwi. Na co panu potrzebny list Krzysztofa?

- Czy nie ma pan jeszcze innych rękopisów pańskiego syna?

Może jakieś notatki?...

- Chyba nie. Krzysztof zabrał ze sobą wszystkie swoje notatki, kiedy się przeprowadzał.

- To syn pański nie mieszkał tutaj z państwem?

Na twarzy Wajcherta odmalowało się niezadowolenie. Rozmowa ta nie była dla niego przyjemna.

- Syn mój wolał mieszkać z przyjacielem. Czuł się tam swobodniejszy.

Downar ze zrozumieniem pokiwał głową.

- No tak, oczywiście. Jak się nazywa ten przyjaciel?

- Łosiński. Mieszka gdzieś na Powiślu. Mogę panu dać jego adres. Miał mi odwieźć rzeczy Krzysztofa, ale jeszcze tego nie zrobił.

Od pewnego czasu Downar przyglądał się obrazowi wiszącemu nad biurkiem. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

- Gdzie pan zdobył, panie inżynierze, takie piękne płótno Juliusza Kossaka?

Wajchert zaczął się śmiać serdecznie. Oczy mu się zwięzły, twarz jeszcze bardziej poczerwieniała.

- Cha, cha, cha. Nie pan pierwszy, nie pan pierwszy. Downar spojrział niespokojnie.

- Nie rozumiem pana, panie inżynierze.

- Przecież to nie jest Kossak. Cha, cha, cha. To nie Kossak - śmiał się Wajchert.

-Jak to nie Kossak? Juliusz Kossak, Spotkanie Chmielnickiego z Tuhaj-Bejem. Wajchert otarł zażawione oczy.

-I pan także dał się nabrać, panie kapitanie. To nie Kossak. To mój syn Krzysztof malował ten obraz. Kopia, panie, znakomita kopia. Krzysztof jest genialny, jeśli chodzi o te rzeczy. Już jako piętnastoletni chłopak robił takie kopie sławnych obrazów, że fachowcy z trudem mogli się zorientować, że to nie są oryginały. Fantastycznie zdolny chłopak, zupełnie fantastycznie.

Downar wstał i podszedł do obrazu.

- Rzeczywiście, znakomita kopia. Nawet i podpis Kossaka...

Doskonale podrobiony podpis.

Wajchert nagle spowaźniał.

- Co pan przez to chce powiedzieć? Downar odwrócił się i spojrzał mu w oczy.

- Że pański syn umie znakomicie kopiować obrazy i podpisy – powiedział wolno.

- Nie przypuszcza pan chyba, że?... - Wajchert zerwał się i zaczął nerwowo biegać po pokoju. - To byłoby straszne. Nie, nie, to byłoby... Nie chcę o tym myśleć. To niemożliwe, niemożliwe.

Downar wrócił na swoje miejsce. Wypił łyk herbaty.

- Dlaczego, panie inżynierze? Niech się pan chwilę zastanowi. To nie jest wcale takie nieprawdopodobne. Lekkomysłny, młody człowiek zostaje nagle pozbawiony środków materialnych. Przyzwyczajony do wydawania pieniędzy, do hulanek, do...

- Skąd pan wie to wszystko? - przerwał mu ostro Wajchert.

- Przecież prowadzę śledztwo, panie inżynierze.

- Nie mogę w to uwierzyć, nie mogę w to uwierzyć - powtarzał Wajchert, trąc czoło. -Mój syn, mój syn. Niemożliwe, niemożliwe!

- Nie ma na świecie rzeczy niemożliwych, panie inżynierze - powiedział Downar, który znowu poczuł skłonność do filozoficznych dywagacji. Widocznie nadchodził nowy atak grypy. - Nie ma rzeczy niemożliwych. Im dłużej żyjemy, tym... Wajchert niecierpliwie machnął ręką.

- Czy pan przypuszcza, że on dlatego wyjechał do Paryża?

- To jest zupełnie możliwe. Potrzebował przecież na tę podróż pieniędzy. To znaczy... ja bym to odwrócił: nie dlatego wyjechał do Paryża, tylko dlatego skopiował pański podpis, żeby móc wyjechać.

Wajchert chwycił się za głowę.

- Straszne! Straszne! Mój syn... mój jedyny syn. Downar nie znosił takich rodzinnych scen. Wstał.

- Pan pozwoli, panie inżynierze, że go pożegnám. Będę z panem w kontakcie. Jeśli mielibyśmy jakieś konkretne wiadomości w pańskiej sprawie, nie omieszkać panu dać znać.

Wajchert wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Dziękuję panu i przepraszam, ale pan rozumie.

- Doskonale rozumiem. Niech pan jednak będzie dobrej myśli. Przecież to nie jest powiedziane, że mam rację. Na razie to są tylko domysły, poszukiwania. Do widzenia.

Wyszedłszy od Wajchertów, Downar stanął na ulicy i zastanawiał się nad tym co robić. Czuł, że ma gorączkę. Najrozsądniej było pojechać do domu, położyć się do łóżka i zażyć aspiryny. Miał jednak ochotę pogadać z kimś o tym wszystkim. Postanowił pojechać do Walczaka.

Ujrzawszy go, Karol powiedział:

- Cóż ty się tak włóczysz po mieście? Myślałem, że już dawno leżysz pod pierzyną. No jak tam pani inżynierowa?

- Sam jesteś? - spytał Downar.

- Sam.

- A kochająca małżonka?

- Kochająca małżonka poszła do kina. Walczak przyjrzał się przyjacielowi.

- Nietęgo wyglądasz. Boję się, czy rzeczywiście nie masz grypy.

- Jak mi dasz kieliszek gorzały, to nic mi nie będzie. Może być bez zagrychy.

- Wiesz co? Mam myśl - powiedział Walczak. - Uchowała się u mnie jakimś cudem ćwiartka spirytusu. Helenie ze wsi przysłali trochę miodu. Zrobimy sobie krupniczek. Co ty na to? Downarowi rozjaśniła się twarz.

- Znakomity pomysł. Tylko że chyba potem u was zanocuję. Po krupniczku nie mam odwagi jechać do siebie na Koszykową.

- No to zanocujesz.

- Nie wiem, czy Helena będzie zachwycona.

- Spokojna głowa. Helenka cię kocha i gdyby nie to, że ma już jednego męża...

- Widzę, że jesteś dzisiaj w dobrym humorze.

- W niezłym. Jeszcze dzień, dwa, a całą bandę będę miał pod kluczem.

- Mówisz o tych z Pruszkowa?

- Tak. Dobrałem się już do ich pasera. Były taksówkarz.

- To ich prędko rozpracowałeś.

-Ano, powiodło mi się. Wszystko zagrało. Siadaj, Stefuś, a ja ci zaraz taki krupniczek podszykuję, że ci oko zbieleje i grype diabli wezmą.

Kiedy zasiedli przy dymiących szklankach, Walczak wniósł toast za zdrowie przyjaciela i powiedział:

- No i cóżeś tam wyniuchał u tych Wajchertów? Downar siorbnał duży łyk gorącego płynu.

- Świetny krupnik - pochwalił - ale cholerycznie mocny. Urźniemy się. Pytasz, co u Wajchertów? Ano cóż... na mój nos to synek podwalił tatusiowi forse i prysnął za granicę.

Walczak zapatrzył się w okno i chwilę milczał.

- Widzisz, ja też tak myślałem, ale nie wszystko mi tu klapuje.

- Co mianowicie?

- Przede wszystkim to, że młody Wajchert pokłócił się z ojcem i mieszkał oddzielnie. Nie mógł więc być zorientowany co do stanu konta bankowego. Bo mieszkając z ojcem, miał możliwość zerknąć do wyciągów z konta przesyłanych przez PKO, a tak...

- Masz rację - przyznał Downar. - Nie mógł ryzykować podrabiania czeku, nie mając pewności, że na koncie jest pokrycie. Musiał go ktoś o tym poinformować.

- Otóż to... otóż to. Trafiłeś w sedno. Musiał w tym maczać palce ktoś, kto jest blisko Wajcherta, kto ma dostęp do jego korespondencji i tak dalej. Z jakiej strony by do tej sprawy nie podejść, zawsze przychodzi na myśl piękna pani inżynierowa. Wajchert niedawno się ożenił. Zakochał się na stare lata w młodej dziewczynie. Ładna kobita.

- Babka prima - powiedział z przekonaniem Downar.

- Nie sądzisz chyba, że wyszła za Wajcherta powodowana czystym, romantycznym uczuciem?

- Nie, nie sądzę.

- Więc właśnie. Musisz się zorientować co to za typ, skąd ją Wajchert wytrzasnął. Warto by też dowiedzieć się, ilu ma kochanków i z jakiej branży to są goście. Oczywiście, że ten nagły wyjazd za granicę młodego Wajcherta jest bardzo

podejrzany. Trzeba by jednak zbadać, czy piękna macocha nie dopomaga utalentowanemu pasierbowi. Zaczekaj, postawię krupnik na gazie.

Walczak wstał i podszedł do kuchni. Po chwili wrócił i znowu nappełnił szklanki.

- Pij, póki gorące - powiedział. - To ci na pewno dobrze zrobi. Posłyszeli trzask otwieranych drzwi.

- Helenka wraca - powiedział Walczak.

- Uciekajmy - krzyknął Downar i schował krupnik pod stół. Weszła uśmiechnięta i wesoła. Nie wyglądała groźnie. - Jak się masz, Stefan. Widzę, żeście sobie nielecho podgazowali.

- Kuruję Stefanka - powiedział usprawiedliwiająco Walczak.
- Dostał azjatyckiej grypy.

Zdjęła kapelusz i usiadła.

- Jak się tak będziecie kurować, to każę was zabrać do izby wytrzeźwień. No, gdzież macie ten krupnik?

- Skąd wiesz, że to akurat krupnik?

- Dedukcja. A poza tym czuć grzany miód w całym mieszkaniu.

Downar sięgnął pod stół i wyciągnął garnuszek z krupnikiem.

- Zostawiliśmy jeszcze trochę dla ciebie.

Zadzwoił telefon. Walczak podszedł do aparatu. Przez chwilę słuchał w milczeniu. Powiedział:

- Dobrze, zaraz przyjeżdżam - i odłożył słuchawkę.

- Co się stało? - spytał Downar. - Z komendy?...

- Tak. Muszę zaraz jechać. Ten bandzior z Pruszkowa chce złożyć jakieś rewelacyjne zeznania.

ROZDZIAŁ XII

Zaraz po Nowym Roku Maurycy wrócił do Warszawy. Powiedział ojcu, że musi się przygotować do egzaminu i że niezbędna mu jest do tego biblioteka Politechniki. Po raz pierwszy w życiu z uczuciem ulgi wyjeżdżał z Leluchowa. Nie umiał kłamać, a prawdy nie mógł ojcu powiedzieć. Pan Losiński widząc posępną zadumę syna, pytał:

- Co ci jest? Co cię gnębi?

Odpowiadał, że nic mu nie jest, że jest po prostu trochę przemęczony, zdenerwowany. Nadrabiał miną, udawał wesołość, dobry humor. To go męczyło. Dotychczas w stosunku do ojca był zawsze zupełnie szczery, nigdy nic przed nim nie ukrywał. Pomimo wielokrotnych postanowień, nie mógł przestać myśleć o tej przekłętej sprawie. Co jakiś czas stawały mu przed oczami obrazy tamtej nocy i wszystko zaczynało się od początku. Coraz bardziej też utwierdzał się w przekonaniu, że z jego władzami umysłowymi coś nie jest w porządku. Przed samym wyjazdem na święta otrzymał z Paryża list od Krzysztofa. Krzysztof pisał, że urządził się zupełnie nieźle, że ma dużo nowych przyjaciół, że przyjemnie spędza czas i że robi ogromne postępy jako artysta. List był utrzymany w tonie pogodnym, beztroskim. Maurycy nie mógł więc już teraz wątpić w to, że Krzysztof żyje i że cała ta historia była tylko koszmarnym przywidzeniem, wytworem chorej wyobraźni. Może Koszycki miał rację. Może odegrały tu rolę jakieś stany podświadome. To wszystko nie było wesołe.

Ostatnie tygodnie przyniosły w życiu Maurycego duże zmiany. Przestał być dzieckiem, przestał być grzecznym, posłusznym chłopczykiem. Nagle poczuł się dorosłym mężczyzną. Dużą rolę odegrała tu awantura w „Kaskadzie” i noc spędzona z Joanną. To już nie był teraz ten sam Maurycy, który każdemu mężczyźnie uprzejmie schodził z drogi i który rumienił się, rozmawiając z ładną dziewczyną. Kiedy spotykał na ulicy jakąś bezczelną, arogancką twarz, myślał o tym, że przecież jednym uderzeniem w szczękę mógłby rozciągnąć tego faceta, a kiedy mijał młodą, przystojną kobietę, zaglądał jej w oczy i widział siebie w roli jej kochanka. Nawet koledzy zauważyli tę zmianę i mówili:

- Patrzcie, jaki z tego Borsuka zrobił się bojowy samiec. Sam Maurycy nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tych przemian, które w nim zaszły. Zbyt był zaabsorbowany innymi sprawami, żeby się nad tym zastanawiać. Postępowanie Joanny zaskoczyło go. Nie wiedział co o tym sądzić. Nie rozumiał, dlaczego to zrobiła. Bo nie było przecież wątpliwości, że to ona z własnej

inicjatywy doprowadziła do tego, że... Kiedy spotkał ją potem na wykładach, miał bardzo głupią minę i nie wiedział co powiedzieć.

Roześmiała się, widząc jego zmieszanie.

- Oj, Moryś, Moryś, nie bądźże taki przerażony. Nie można w życiu brać wszystkiego tak straszliwie poważnie. Przecież nic się takiego nie stało. Jesteś bardzo fajny chłopak, tylko przestań być taki nieśmiały.

Przyznał jej w duchu rację i roześmiał się.

- Jak tam z Wiktorem? - spytał.

- Mam spokój - powiedziała Joanna. - Mama wróciła, a Wiktor gdzieś zniknął. Może wyjechał. Nie wiem. W każdym razie nie pokazuje się.

Dopiero po powrocie ze świąt Maurycy dowiedział się o śmierci profesora Kozieskiego. Wiadomość ta zrobiła na nim wstrząsające wrażenie. Patrzył na Staszka szeroko otwartymi oczami, jakby nie rozumiejąc, co się właściwie stało.

- Profesor Kozieski nie żyje? Ale co się stało? Był przecież zupełnie zdrow. Serce? Kuźma wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Oficjalnie podano do wiadomości, że umarł nagle na serce w Koronowie, ale wszyscy mówią, że to było samobójstwo.

- Samobójstwo? Kozieski? Ale dlaczego? Kuźma poklepał go po plecach.

- Nie przejmuj się tak, Borsuk. Trudno, stało się. Zdasz egzamin u Szczygielskiego.

- Biedna Teresa - szepnął Maurycy. - Bardzo kochała ojca.

- Może dobrze by było, żebyś ją odwiedził?

- Oczywiście. Pójdę do niej.

Poszedł. Zastał Teresę samą w domu. Nie wiedział, co w takim wypadku powinno się powiedzieć. Zmieszany mruknął jakieś słowa współczucia. Zaprowadziła go do swego pokoju.

- Siadaj - powiedziała i wybuchnęła głośnym płaczem. Stał speszony, onieśmielony.

- Nie płacz, Tereniu - bąknął.

Nic innego nie przyszło mu do głowy. Z wahaniem wyciągnął rękę i pogładził ją po włosach.

- Nie płacz, Tereniu. Ja wiem... ja rozumiem... To bardzo... bardzo ciężkie... trudne... -Chciał ją pocieszyć, ale zupełnie nie wiedział, jak to się robi. Nigdy w życiu jeszcze nie znalazł się w podobnej sytuacji.

Otarła łzy i w milczeniu uściśnęła mocno jego dłoń. Dopiero po chwili powiedziała cicho:

- Dziękuję ci, Moryś. - Dopiero teraz zauważył, że jest mizerna i jakby chudsza. Zrobiło mu się jej żal.

- Może pójdziemy do kina? - zaproponował nagle i zaraz pożałował, że to powiedział. Bał się, żeby go źle nie zrozumiała. Spojrzała na niego z wahaniem.

- Do kina?

Poruszył się niespokojnie.

- Nie chciałbym, żebyś pomyślała...

- Nie, nie, nie obawiaj się. Wiesz, że ty jesteś naprawdę kochany chłopak. Dobrze, pójdę z tobą do kina. Na co?

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Na coś bardzo ciekawego, fascynującego. Objęła go za szyję i pocałowała w policzek.

- Dziękuję ci.

Był rad, że tak właśnie przyjęła jego propozycję. Popatrzał na nią prawie wesoło. Poszli na Intruza. Film był podły, mocno szmirowaty. Wyszli z kina zniechęceni.

- Przepraszam, że zaprowadziłem cię na taką chałę - powiedział zmartwiony Maurycy.

Uśmiechnęła się i wzięła go pod rękę.

- Przecież to nie twoja wina, Moryś. Nie wszystkie filmy amerykańskie są dobre. Maurycy odwiózł Teresę do domu. Na pożegnanie powiedziała:

- Bardzo ci jestem wdzięczna, Moryś, że wyciągnąłeś mnie trochę. Mniejsza o film. Lepszy, gorszy, ale trochę się rozerwałam. Zobaczymy się niedługo, prawda?

- Oczywiście. Zadzwoń do ciebie w tych dniach. Pojechał do siebie na Powiśle. Był zmęczony całonocną podróżą i postanowił wcześniej pójść spać. Musiał zająć jeszcze do dozorczyń, u której zostawił na okres świąteczny kanarki.

Zabrał klatki i poszedł na górę. Nie zwlekając, zapalił w

piecu.

Mieszkanie na poddaszu ogrzewało się szybko. Nie upłynęła godzina, a skulone kanarki z zadowoleniem rozprostowały skrzydła i otrząsnęły z siebie wspomnienie chłodu. Maurycy oczyścił klatki, nalał świeżej wody do miseczek, ponakrywał ptaki płachtami i zabrał się do przyrządzania sobie kolacji. Był zmęczony i śpiący. Marzył o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w łóżku.

Kiedy kończył pić herbatę, rozległo się stukanie do drzwi. Zdziwiony podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Kto to mógł być? Może Joanna? Serce zabiło mu mocniej. Od tamtej nocy nie była u niego ani razu.

Znowu ktoś zastukał. Tym razem energiczniej. Maurycy wstał i poszedł otworzyć.

W progu stał wysoki, barczysty mężczyzna w brązowej jesionce.

- Czy mam przyjemność z panem Łosińskim?

-Tak.

-Jestem wujem Krzysztofa Wajcherta i chciałbym z panem chwilę porozmawiać. Pan pozwoli, że się przedstawię.

Niespodziewany gość uściśnął energicznie dłoń Maurycyego, mruknął niewyraźnie swoje nazwisko, zdjął palto i powiesił je na gwoździu.

Maurycy przyglądał mu się z zainteresowaniem. Krzysztof nigdy nie wspominał mu o tym, że ma takiego wuja. Ale co prawda niewiele czasu poświęcali na rozmowy o rodzinie.

- Proszę, niech pan pozwoli do pokoju. Nie jest to zbyt wytworny apartament, ale jak dla studentów...

Rzekomy wuj Krzysztofa rozejrzał się ciekawie.

- Bardzo mi się tu u pana podoba. Przyjemnie, ciepło, artystyczny nastrój? O, widzę, że pan hoduje kanarki?

- Tak - powiedział Maurycy i podsunął krzesło. - Proszę. Może pan usiądzie. Czy napije się pan szklanek herbaty?

-Jeśli pan taki uprzejmy, to chętnie. Męczy mnie grypa.

Maurycy napełnił szklanekę i podsunął cukierniczkę. Usiadł, spoglądając wyczekująco. Nie miał pojęcia, czego ten człowiek chciał od niego.

Downar połknął pastylkę aspiryny i popił gorącą herbatą. Przez chwilę przyglądał się w milczeniu Maurycemu, jakby chciał się zorientować, z jakim człowiekiem ma do czynienia.

- Więc Krzysztof mieszkał tutaj z panem na tym poddaszu?

- Tak. Blisko rok.

- Przyjaźniliście się?

- Tak. To znaczy... - Maurycy urwał. Czuł, że się czerwieni. Był wściekły na siebie i na tego faceta.

Downar udał, że nie spostrzega jego zmieszania. Wyjął papierośnicę.

- Zapali pan?

- Dziękuję, nie palę.

- To pan musi się teraz czuć bardzo osamotniony.

- Przyzwyczaiłem się.

- Hm. Oczywiście. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Człowiek to dziwna istota. Łatwo się przyzwyczajają do pewnych rzeczy, a potem łatwo się odzwyczajają. Posiadamy ogromną zdolność przystosowywania się do warunków bytowania. Wydaje mi się, że ludzie o wiele łatwiej aklimatyzują się aniżeli zwierzęta. Jak pan sądzi?

Maurycy wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie znam się na tym.

Downar poczuł, że grypowe skłonności do filozoficznych rozważań wzmagają się w nim z każdą chwilą. Postanowił skonkretyzować cel swej wizyty.

- Krzysztof wyjechał do Paryża - powiedział.

- Tak. Krzysztof jest w Paryżu.

W głosie Maurycego wyczuwało się jakąś ponurą zawziętość. Downar spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Ja właściwie przyszedłem do pana w pewnej konkretnej sprawie. Rozmawiałem z ojcem Krzysztofa, inżynierem Wajchertem, który powiedział mi, że u pana są jakieś rzeczy Krzysztofa.

- Tak, to prawda. Miałem je już dawno odwieźć panu Wajchertowi, ale tak się jakoś złożyło...

- Och, to przecież nic pilnego. Zaręczam panu, że Wajchertowi nie jest potrzebna garderoba Krzysztofa. Mnie

chodzi o zupełnie coś innego. Zawsze bardzo się interesowałem działalnością artystyczną mego siostrzeńca. Gdyby więc znalazły się u pana jakieś jego szkice czy obrazy... Wiem, że Krzysztof robił wspaniałe kopie... Maurycy wstał.

- Tam za szafą złożyłem wszystkie rzeczy Krzysztofa. Są jakieś szkicowniki, ale obrazów żadnych nie ma. Może znalazłby

pan coś w Akademii. Bo u mnie... - Urwał, jakby się nad czymś zastanawiając. - Ja mam tylko mój portret malowany przez Krzysztofa.

- Czy Krzysztof chętnie malował portrety?

- O ile wiem, to lubił malować portrety swych przyjaciół. Robił z nich prezenty. Ten portret też od niego otrzymałem w prezencie.

- Można przejrzeć te jego szkicowniki?

- Oczywiście. Proszę bardzo.

Downar przykucnął za szafą i począł przerzucać pospiesznie rzeczy Krzysztofa, zatrzymując się dłużej nad rysunkami, szkicami, zaczętymi obrazami. Zajęcie to zajęło mu sporo czasu. Wreszcie wstał, rozprostował nogi i powiedział:

- Myślałem, że znajdę u pana coś bardziej interesującego. Ano trudno. Ciekaw jestem, jak tam się Krzysztofowi powodzi w tym Paryżu?

- Z tego, co pisze, raczej nieźle - powiedział Maurycy. Downar rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Czytał pan list pisany do starego Wajcherta?

- Krzysztof pisał do mnie.

- O... - zdziwił się Downar. - Do pana?

- Tak. Czy widzi pan w tym coś nieprawdopodobnego? - Ależ nie. Chciałbym przeczytać ten list, jeżeli oczywiście nie ma w nim jakichś tajemnic. Maurycy sięgnął do kieszeni.

- Proszę. - Podał list i usiadł. Był coraz bardziej zmęczony. Bolała go głowa. Nie mógł doczekać się końca tej wizyty.

Downar przeczytał list, położył go na stole i zamyślił się głęboko. Siedzieli naprzeciwko siebie zmęczeni i senni. Maurycemu dosłownie kleiły się oczy. Downar miał minę osowiałą.

- Czy ma pan zamiar odpisać na ten list Krzysztofa?
- Nie znam jego adresu. Widocznie zapomniał mi podać.
- To ciekawe. Pisząc do ojca, również nie podał swego adresu. Można by pomyśleć, że się ukrywa w tym Paryżu.

Maurycy wzruszył ramionami.

- Dlaczego miałby się ukrywać?
- Nie wiem. Tak sobie powiedziałem. Czy ten wyjazd Krzysztofa do Paryża nie wydał się panu trochę dziwny?

Maurycy drgnął. Już nie chciało mu się spać. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z tego, że wuj Krzysztofa bada go, wypytuje...

- Trochę się, oczywiście, zdziwiłem. Stało się to tak nagle, ale...

- Ale?... - podjął Downar.

- No cóż... Krzysztof zawsze był dosyć skryty. Nigdy mi się tak specjalnie nie zwierzał ze swoich planów. Zresztą ostatnio nawet nie mieszkaliśmy razem.

- Nie mieszkaliście razem? Wyprowadził się od pana?

- To ja się wyprowadziłem.

- Pan? Ależ dlaczego?

Maurycy poruszył się niecierpliwie. Miał dość już tej indagacji.

- Wolałbym nie mówić na ten temat. Zaszły między nami pewne nieporozumienia. Downar uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Pokłóciliście się? Tacy przyjaciele? Uważałem zawsze Krzysztofa za bardzo łatwego w pożyciu. Przykro mi, że wasza przyjaźń...

- Z przyjaźnią różnie bywa - mruknął Maurycy.

- Oczywiście. Miłość czy przyjaźń przeradza się nagle w nienawiść. A od nienawiści tylko krok do zbrodni. Ileż to razy zdarzało się, że ktoś zabił swego najlepszego przyjaciela. Całe lata przyjaźni, a potem jakieś głupstwo, na pozór drobne nieporozumienie, na przykład kłótnia o dziewczynę i...

Maurycy pobladł tak strasznie, że zdawało się, iż za chwilę zemdleje. Downar nie patrzył na niego, a przynajmniej udawał, że nie patrzy i nie widzi, co się z nim dzieje. Zwrócił twarz ku

klatkom z kanarkami i mówił dalej:

- Tak, dziwnymi ścieżkami kroczą losy człowieka. Jakżeż trudno jest poznać kogoś, wiedzieć, jakim on jest naprawdę. Nieraz wydaje nam się, że ktoś jest właśnie taki, a nie inny, utrwalamy sobie w świadomości jego wizerunek duchowy, jesteśmy przekonani o jego wartościach, o jego moralności, a tymczasem... A propos... czy pan może widział film Gorzkie zwycięstwo?

Maurycy bezgłośnie poruszył wargami. Minęła chwila, zanim zdołał powiedzieć:

- Widziałem.

Downar w dalszym ciągu nie patrzył na niego. Wiedział, że gdy odwróci głowę, będzie musiał jakoś zareagować. A chciał jeszcze coś wydobyć z tego chłopaka.

- To wszystko są trudne i skomplikowane sprawy. Człowiek powszechnie szanowany, uważany oficjalnie za bohatera, jest w gruncie rzeczy podłym tchórzem i mordercą.

Któż to wie, ilu codziennie spotykamy takich potencjalnych morderców, ile fałszu i kłamstwa kryje się w naszych kolegach, znajomych, przyjaciółach, w nas samych wreszcie. Bo przecież my nie chcemy sobie pewnych rzeczy uświadomić, nie mamy odwagi spojrzeć prawdzie w oczy, nie mamy odwagi ocenić siebie i swych czynów obiektywnie. Czy nie tak, panie Łosiński?

-Jestem zmęczony - powiedział Maurycy.

- Wcale się nie dziwię, że jest pan zmęczony. Są myśli, które człowieka męczą, które w końcu wykończą każdego. Bywają takie sytuacje, że nie możemy sami udźwignąć ciężaru myśli. Samotność to straszna rzecz. Trzeba w końcu komuś powiedzieć, trzeba wszystko powiedzieć. No, niechże pan mówi. Niech pan mówi.

-Jestem zmęczony - powtórzył Maurycy. Downar wstał.

- Niech i tak będzie. Zadam panu jeszcze jedno pytanie.

- Słucham?

- Dlaczego pan zamordował Krzysztofa Wajcherta?

ROZDZIAŁ XIII

Walczak przerwał pisanie i podniósł głowę znad papierów. Spojrzenie miał skupione i czujne. Nim przebyli przestrzeń dzielącą biurko od drzwi, zdążył już wiele zauważyć. Zapraszającym ruchem ręki wskazał krzesło.

- Siadajcie.

Maurycy był trupio blady. Ręce mu drżały. Raz i drugi poruszył wargami, ale nie zdołał wydobyć z siebie żadnego głosu. Wreszcie wykrztusił:

- Proszę pana... ja... ja nie zabiłem Krzysztofa... Ja... Walczak nie zwrócił uwagi na te słowa. Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Downara, który usiadł z boku i zabrał się z zapalem do pilowania paznokci. Następnie przeniósł wzrok na zapisaną kartkę papieru i powiedział:

- Nazywacie się Maurycy Łosiński? -Tak.

-Jesteście studentem Politechniki Warszawskiej? -Tak.

- Czy przyznajecie się, że w nocy z dnia piętnastego na szesnastego listopada ubiegłego roku zamordowaliście przy ulicy Kaniowskiej studenta Akademii Sztuk Pięknych, Krzysztofa Wajcherta?

Słowa te zostały wypowiedziane takim przeraźliwie spokojnym, beznamiętnym, urzędowym głosem, że Maurycy zwątpił nagle w realność tej całej sceny. Przemknęło mu przez myśl, że może to jest znowu jakiś koszmarny sen, halucynacja... Przez chwilę w milczeniu przyglądał się twarzom siedzących naprzeciwko ludzi.

- Czy słyszeliście pytanie? - przynaglił go Walczak.

- Słyszałem.

- Więc?... Czekam na odpowiedź.

-Ja nie zabiłem Krzysztofa... Nie zabiłem. Nie zabiłem... Przecież on jest w Paryżu. Mam tu przy sobie jego list. On jest w Paryżu.

Walczak skinął na stojącego w drzwiach podoficera.

- Sierżancie, wprowadźcie aresztowanego.

Był nieduży, barczysty. Miał wystający brzuch, krwią nabiegłe oczy i szeroką, czerwoną twarz. Wyglądał na nałogowego

alkoholika.

- Poznajecie tego obywatela?

Maurycy nie miał wątpliwości, że już gdzieś widział tego człowieka. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, gdzie i kiedy go spotkał, w jakich okolicznościach. Zmarszczył brwi i myślał intensywnie, patrząc na krostowatą twarz koloru wygotowanego buraka. Nagle doznał olśnienia. Ależ tak. To był ten sam facet, który mu się z taką uwagą przyglądał w komisariacie po tej nieszczęsnej awanturze w „Kaskadzie”. Oczywiście, że to on.

- Tak. Poznaje. Widziałem go w komisariacie. To było w grudniu, w zeszłym miesiącu.

- A przedtem? - spytał Walczak. - Przedtem nigdy nie spotkaliście go?

- Nie, nigdy.

Walczak kazał wyprowadzić człowieka o alkoholycznym wyglądzie, wziął z biurka arkusz zapisanego papieru i podał go Maurycemu.

- Niech pan sobie przeczyta ten protokół.

Ja niżej podpisany Zenon Mączka zamieszkały w Pruszkowie przy ulicy... i tak dalej, i tak dalej... niniejszym stwierdzam, co następuje: W nocy z dnia piętnastego na szesnastego listopada 1958 roku jeździłem w charakterze kierowcy na taksówce numer... będącej własnością moją oraz Franciszka Rokickiego zamieszkałego w Warszawie przy ulicy Radzymińskiej numer... Około godziny drugiej trzydzieści znajdowałem się na Saskiej Kępie w okolicach ronda Waszyngtona. Tamże zatrzymał mnie młody człowiek, który kazał się zawieźć na Żoliborz, na ulicę Kaniowską. Ponieważ jestem starym, doświadczonym szoferem, zapytałem, czy pasażer ma pieniądze na uregulowanie za taki daleki nocny kurs, i dopiero kiedy zobaczyłem dwieście złotych, zgodziłem się jechać. Pasażer robił wrażenie zdenerwowanego i nie miał chęci do rozmowy. Kiedy przyjechaliśmy na Kaniowską, zatrzymaliśmy się przed domem w ogrodzie. Pasażer kazał mi poczekać, aleja na wszelki wypadek poprosiłem, żeby mi zapłacił za kurs. Zapłacił i poszedł do mieszkania na parterze, a ja zostałem przy kierownicy. Nagle

poczułem boleści i wyszedłem z taksówki, żeby pójść za swoją potrzebą. Niedaleko były krzaki. Kiedy wróciłem do wozu, pasażer jeszcze nie wyszedł z tego mieszkania. W oknach świeciło się światło. Wtedy pomyślałem, że może kiedy ja byłem w krzakach, pasażer wyszedł i nie czekając na mnie, poszedł. Chciałem się o tym przekonać. Otworzyłem furtkę i wszedłem do ogrodu. Zbliżyłem się do okna. Zasłona nie była dokładnie zasunięta. Przez szparę zobaczyłem leżącego na podłodze młodego człowieka z nożem w sercu. Krew powalała mu białą koszulę. Ubrany był w ciemny garnitur. Był młody. Mógł mieć dwadzieścia kilka lat. Przestraszyłem się, wsiałem do wozu i uciekłem."

Maurycy skończył czytać i zerwał się z krzesła. Na jego twarzy malowały się tak zmienne uczucia, że oficerowie przyglądali mu się z niepokojem.

- Nareszcie. Nareszcie - wykrzyknął uszczęśliwiony. -Skończyło się. Nareszcie się skończyło. Jestem wolny. Jestem wolny. Czy pan to rozumie? Czy to rozumiecie? Nie jestem wariat. Nie jestem wariat. Co za szczęście. Nie jestem wariat.

Walczak, który był zgoła innego zdania, powiedział energicznie:

- Uspokójcie się, obywatelu, i siadajcie. Można by pomyśleć, że was cieszy to, że jesteście oskarżeni o zamordowanie swojego przyjaciela. Czy rozumiecie, co do was mówię? Jesteście oskarżeni o morderstwo, o zamordowanie Krzysztofa Wajcherta. Maurycy przez chwilę patrzył na niego i mrugał oczami, jakby rzeczywiście nie bardzo wiedział, o co chodzi.

- Proszę pana... Panie prokuratorze... ja... ja...

- Nie jestem prokuratorem - sprostował Walczak - jestem kapitanem milicji. Przypuszczam, że ma mi pan coś do powiedzenia w tej sprawie.

- To bardzo dziwna historia. Bardzo dziwna. Nie wiem, czy mi pan uwierzy. Doprawdy nie wiem...

- Niech pan spróbuje opowiedzieć tę bardzo dziwną historię, a ja postaram się w nią uwierzyć. Radziłbym tylko panu mówić prawdę. Nie muszę wyjaśniać, że sytuacja pańska nie jest najlepsza. Wszelkie kręctwa i ukrywania prawdy

pogorszą tylko sprawę.

- Ależ ja nie mam nic do ukrywania, absolutnie nic -zawołał Maurycy. I tyle było szczerości w tym wykrzykniku, że Walczak zamienił szybkie, porozumiewawcze spojrzenie z Downarem.

- Dobra, więc niech pan mówi.

- Ale to bardzo długa historia. Czy o kanarkach także?

- Absolutnie o wszystkim.

Maurycy zaczął opowiadać. W miarę, jak mówił, zainteresowanie oficerów wzrastało. Downar przysunął się do biurka i siedział zasłuchany. Walczak od czasu do czasu notował pospiesznie. Obaj wpatrywali się w Maurycego, jakby chcieli zapamiętać nawet ruch jego warg.

Skończył. Wszyscy trzej długą chwilę trwali w milczeniu.

Wreszcie odezwał się Walczak:

- Obydwa te pańskie kanarki zginęły od cyjanku potasu?

- Obydwa. Mój kolega robił sekcję.

Walczak nie mógł dłużej usiedzieć na miejscu. Wstał, zapalił papierosa i przeszedł się po pokoju. Widać było, że opowieść Maurycego bardzo go podnieciła. Chodził, drapał się po głowie, mruzczał coś do siebie. W końcu zatrzymał się przed Maurycem i spytał:

- To bardzo źle, że pan od razu nie zawiadomił o tym wszystkim milicji. Dlaczego, u diabła, nie zrobił pan tego?

Maurycy zmieszał się i spuścił wzrok. Uznał jednak, że nie zdoła ukryć niczego, bo powiedział:

- Bałem się, że zostanę posądzony o to morderstwo. Widzi pan, panie kapitanie... tak się złożyło, że akurat tego samego wieczoru zastałem Krzysztofa z moją narzeczoną i dlatego...

Walczak pokiwał głową.

- Tak, tak, rozumiem. Ale to bardzo źle się stało, bardzo źle. To ogromnie skomplikowało nam całą sprawę. No cóż... trudno. Teraz już za późno o tym myśleć. Czy pan potem był jeszcze raz w tym mieszkaniu na Kaniowskiej?

- Byłem. Chciałem się przekonać, zobaczyć. To mnie strasznie męczyło, strasznie.

Już właściwie uwierzyłem w to, że nie jestem człowiekiem normalnym.

- Czy za drugim razem widział pan kogoś w tym mieszkaniu?

- Tak. Rozmawiałem z bardzo przystojną panią. Brunetka, piękne, duże, ciemne oczy.

- Czy za tym drugim razem spostrzegł pan w tym mieszkaniu jakieś zmiany? Maurycy zamyślił się.

- Tak. Owszem. Spostrzegłem. Nie było rogów na ścianie w przedpokoju.

- A wtedy w nocy były?

- Były. Piękne rogi. Kozioł. Kapitałny.

- Jest pan niesłychanie spostrzegawczy - wtrącił Downar. - Żeby w takim momencie zwrócić uwagę na rogi?... Maurycy spojrział niespokojnie.

- Nie wierzy mi pan?

- Owszem, wierzę. Wydaje mi się to tylko trochę dziwne.

- No... tak, to prawda... Ale widzi pan, ja wychowałem się na wsi, w lesie. Mój ojciec jest myśliwym, więc może dlatego...

- Czy pan kogoś podejrzewa? - spytał Walczak. - To znaczy, czy pan wie o kimś takim, kto by mógł zamordować Krzysztofa Wajcherta, komu mogłoby zależeć najego śmierci?

Maurycy opowiedział o Wiktorze Radoniu, o obawach Joanny i o awanturze w „Kaskadzie”. Walczak notował pilnie.

- Czy według pana tylko ten Radoń może wchodzić w grę?

- Nie. Myślę, że jeszcze mógł to zrobić jeden aktor, który przyjaźnił się z Krzysztofem.

- Aktor? To ciekawe. Niech pan mówi. Wysłuchawszy historii o przyjęciu u Podjemskiego i liście Krzysztofa, Walczak zamyślił się. Odłożył pióro i znowu chodził po pokoju.

- Więc na razie mamy dwóch podejrzanych - mruknął Downar. - Nie licząc, oczywiście, pana Łosińskiego.

- Przecież ja tu nie wchodzę w rachubę - wykrzyknął Maurycy. - Nie sądzą chyba panowie, że to ja mogłem zrobić? - Powiedziane to było z taką szczerą naiwnością, że Walczak roześmiał się. Położył chłopakowi rękę na ramieniu.

- Zobaczmy, zobaczymy. Jestem pewien, że to się wszystko wyjaśni. W każdym razie niech pan będzie dobrej myśli. Na pewno nie zrobimy panu krzywdy.

-Ale, panie kapitanie... Ja nic nie rozumiem... Przecież Krzysztof pisał z Paryża do ojca, do mnie... Znam dobrze jego charakter pisma. Nie mam wątpliwości, że to on pisał. Więc w jaki sposób?

Walczak nie odpowiedział. Wrócił na swoje miejsce za biurkiem, znowu coś zanotował i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz Maurycego. Powiedział:

- Panie Łosiński. Właściwie powinienem pana natychmiast aresztować, porozumieć się z prokuratorem i zamknąć pana w więzieniu. Nie zrobię jednak tego.

- Dziękuję panu, panie kapitanie. Ale pan przecież nie wierzy w to, że ja... że to ja zamordowałem Krzysztofa? Pan w to nie wierzy.

Walczak niecierpliwie machnął ręką.

- W tej chwili to nie jest ważne, w co ja wierzę, a w co nie wierzę. Pan mi się może podobać mniej lub więcej, mogę czuć do pana sympatię, ale to wszystko nie ma znaczenia. Fakty mają znaczenie i tylko fakty. A fakty wyglądają następująco: o wpół do trzeciej w nocy wsiada pan na rondzie Waszyngtona w taksówkę, jedzie pan na ulicę Kaniowską, wchodzi pan do mieszkania znajdującego się na parterze i zaraz potem szofer, który pana przywiózł, widzi przez okno trupa młodego człowieka, leżącego na podłodze. Więc?...

Pragnę zwrócić pana uwagę na to, że sytuacja pańska nie jest najlepsza. Nawet, gdyby się okazało, że istotnie to nie pan jest mordercą, to pozostaje jeszcze sprawa ukrycia przez pana zbrodni. Pańskim obowiązkiem było donieść natychmiast o tym milicji. Zatajając to, stał się pan niejako współnikiem zbrodniarza. Czy pan to rozumie?

- Rozumiem - powiedział cicho Maurycy.

- To mnie cieszy. Teraz niech pan słucha uważnie. Nie każe pana aresztować, ale pod warunkiem że o tej sprawie nie piśnie pan nikomu ani słowa. Nikt nie może o tym wiedzieć. Absolutnie nikt. Ani o naszej rozmowie tutaj, ani o wizycie kapitana u pana, ani o zamordowaniu Krzysztofa Wajcherta. Wszystko musi pozostać tak, jak było. Krzysztof Wajchert przebywa w Paryżu nikt nie może mieć co do tego żadnych

wątpliwości.

- No dobrze, a ten kierowca?...

- O niego niech pana głowa nie boli. Mogę pana zapewnić, że nie będzie miał okazji z nikim rozmawiać na ten temat. Czy może mi pan przyrzec absolutną dyskrecję?

- Przyrzekam.

- Dobrze. Proszę pamiętać o tym, że w tej chwili tylko całkowicie lojalna postawa wobec władz może pana uchronić przed bardzo przykrymi konsekwencjami. A prawda, jeszcze jedno: nie wolno panu wyjeżdżać z Warszawy. Gdyby to z jakichś względów było konieczne, musi się pan ze mną porozumieć. Proszę również o wiadomość, jeśliby pan zdobył jakiś nowy materiał w sprawie Wajcherta. Czy wszystko jest jasne?

- Wszystko.

- W porządku. Wobec tego niech pan wraca do siebie. Proszę nie zmieniać w niczym swego trybu życia, chodzić na wykłady, ćwiczenia, widywać się z kolegami i w ogóle zachowywać się tak, jakby się w ogóle nic nie stało. A teraz jest pan wolny. Do

widzenia. Nasz kierowca odwiezie pana na most Poniatowskiego. Tam już pan ma niedaleko.

Maurycy wstał.

- Do widzenia, panie kapitanie, i dziękuję.

Patrzyli za nim, jak odchodził od biurka. Drzwi trzasnęły.

- Cholera - mruknął Downar. - Ja bym go nie puścił.

Walczak wzruszył ramionami.

- A co byś zrobił? Zamknąć faceta, to znaczy zacząć rozróbkę na całego. Wyobrazasz sobie, jaki to byłby szum. Politechnika, koledzy, profesorowie, ojciec, rodzina... Musielibyśmy wyłożyć kawę na ławę, zdekonspirować się całkowicie. Mielibyśmy urwanie głowy. Prasa zrobiłaby zaraz z tego sensację. I oczywiście prawdziwy morderca wymknąłby się nam między palcami, a jeżeliby się nawet nie wymknął, to szukalibyśmy go parę lat.

Nie, mój drogi, to kein geschäft. Podejdzimy do tego zupełnie inaczej. Chłopaka puściłem. Liczę na to, że pary z gęby

nie puści. Będzie się bał. Na wszelki wypadek obstawimy go troskliwie i jakby coś było niewyraźnie, to weźmiemy pod klucz. Myślę jednak, że wszystko powinno zagrać. Cichutko sobie wymacamy co i jak. Grunt, żeby nie robić szumu. Do takiej sprawy trzeba podejść delikatniutko, w rękawiczkach i w miękkich pantoflach na filcowych podeszwach.

- To jednak stoisz na stanowisku, że ten chłopak nie jest mordercą?

- Widziałeś go przecież. Zupełnie na to nie wygląda.

Zrobił na mnie wrażenie dętego frajera z głuchej prowincji.

Miły chłopak.

Downar sięgnął po papierosy.

- Niejednego już widzieliśmy miłego chłopaka, który zaciukał swego kumpla.

- Oczywiście. Ale widzisz, tu są takie okoliczności... Zupełnie mi to nie klapuje.

- To prawda - zgodził się Downar. - Wszystko to wygląda dosyć nieprawdopodobnie.

- No bo zastanówmy się chwilę... Chłopak nakrywa swego kolegę z narzeczoną. Byłoby zrozumiałe, gdyby w złości trzasnął go czym w łeb i zabił. Ale nie. Spokojnie wyprowadza się ze swoimi kanarkami do jakiejś koleżanki na Saską Kępę. W nocy wstaje i jedzie na Żoliborz, na Kaniowską, gdzie popełnia morderstwo. To trochę zbyt skomplikowane. Nie uważasz?

- Uważam. Powiedz mi, czy ten twój szoferek nie łże?

- To, co mówi, pokrywa się z opowiadaniem Łosińskiego.

Zaraz zresztą z nim jeszcze chwilę pogadamy.

Mączka stanął przy drzwiach i ukłonił się unieźnionym. Jego małe, zaczerwienione oczka biegały niespokojnie.

- Słucham, panie komisarzu?

Walczak kazał mu usiąść i raz jeszcze opowiedzieć wszystko od początku. Słuchał uważnie. W zeznaniach szofera nie zauważył żadnych sprzeczności.

- Powiedźcie mi, obywatelu, gdzie siedział ten pasażer, któregoście wtedy wieźli na Żoliborz?

- Przy mnie siedział, panie komisarzu. Ja bardzo nie lubię, jak taki młodzik siedzi za mną i do tego jeszcze w nocy.

Pan rozumie?

- Którymi ulicami jechaliście?

- Zwyczajnie. Mostem Poniatowskiego i Alejami do Marszałkowskiej. A potem prosto na Żoliborz. Ogród Saski, plac Dzierżyńskiego, Dworzec Gdański.

- I zajrzeliście przez okno do tego mieszkania i zobaczyliście zabitego człowieka.

-Tak.

- A skąd wiedzieliście, że ten człowiek nie żyje, że ktoś go zabił?

- No jakże, panie komisarzu? Jak chłopaczyna miał majcher wbity między żebra, krew się lała, no to co mogłem myśleć?...

- Zobaczyliście zamordowanego człowieka i nie zawiadomiliście milicji?

Zenon Mączka bardzo się zmieszał. Spuścił wzrok i skubał nerwowo klapę welwetowej marynarki.

- No tego... tak... Faktycznie, pan komisarz ma rację. Powinienem był pojechać zaraz na komisariat, ale... Bo to widzi pan komisarz... ja jestem taki człowiek, że nie lubię się wtrącać do nie swoich rzeczy. A prócz tego... to nigdy nie wiadomo. Jeszcze by mógł kto pomyśleć, że to ja dziabnąłem tego młodziaka. Woląłem nic nie mówić. Przyznaję, że źle zrobiłem. Ale pan komisarz wie, jak to w pierwszej chwili człowiek się straci w takiej sytuacji. Ale ten chłopak się przyznał? - spytał niespokojnie.

Walczak nie uważał za stosowne odpowiedzieć. Zapalił papierosa i przez chwilę przyglądał się szoferowi, jakby chciał porachować przyszcze na jego buraczkowej twarzy.

- Na razie jesteście zatrzymani - powiedział i wypuścił duży kłąb dymu.

- Jak to, panie komisarzu - zaprotestował Mączka. -

Jak to zatrzymany? To po to ja sypnąłem tego gówniarza, żeby mnie pan komisarz do aresztu wpakował? To ja panu mordercę w ręce oddaję, a pan mnie zamyka? Jakaż to sprawiedliwość? Przecie sam pan obiecał, że będzie mi to policzone. Zasłużyłem się milicji, panie komisarzu. Jak Boga kocham.

- Owszem, będzie to wam policzone - zgodził się Walczak.
- Nie zapominajcie jednak, że zostaliście aresztowani w sprawie tego paserstwa.
- Jakie paserstwo, panie komisarzu? Skąd paserstwo? Kupiłem parę drobiazgów od znajomych chłopaków. Skąd mogłem wiedzieć, że to nie była ich własność?
- Sześć opon samochodowych i cztery złote zegarki. Czy wam się nie wydawało, że to trochę dziwny towar?
- Nie zastanawiałem się nad tym. Teraz tak się u nas motoryzacja rozwija, a i zegarek każdemu wolno mieć. Nie zastanawiałem się nad tym, panie komisarzu.
- No to teraz będziecie mieli czas zastanowić się.
- Pan komisarz każe mnie zamknąć?
- A wy myśleliście, że co? Że was wyślę na kurację do Krynicy?

W przekrwawionych oczach błysnęła złość.

- Nie warto przysłużyć się milicji. Nigdy człowieka nie docenią. Gdybym wiedział, że mnie pan do młyna wsadzi, nigdy bym o tamtej sprawie nie pisał. Sypnąłem chłopaka i sam siedzę. Jakież to interes, panie komisarzu?

Walczak kazał wyprowadzić rozżalonego Mączkę. Zwrócił się do Downara:

- No sam widzisz, że ten facet nie byłby zdolny do wymyślenia takiej sensacyjnej historii. Zresztą przecież Łosiński potwierdził wszystko. Gdyby to nie była prawda, to z miejsca zaprzeczyłby. Trudno przypuścić, żeby jakieś fantastyczne halucynacje chłopaka pokrywały się z historią wymyśloną przez tego bandziora.

Downar pokiwał głową.

- Oczywiście. Masz rację. Cholernie zawikłana historia.

Walczak otworzył pióro i wyjął z szuflady nowy arkusz papieru. Patrzył w zamyśleniu przed siebie, pogwizdując cicho arię Skołuby ze Straszego dworu. Powiedział:

- Zanotujmy sobie, co przede wszystkim trzeba zrobić w tej sprawie. A więc po pierwsze: wziąć pod ścisłą obserwację Łosińskiego. Musimy znać każdy jego krok, wiedzieć

o każdej rozmowie. Po drugie: trzeba delikatnie zorientować się, kto tam mieszka na tej Kaniowskiej. Pamiętasz, że na Kaniowskiej mieszkali Fechnerowie. Także dom w ogrodzie.

Może to o nią chodzi?

- A wiesz, że to możliwe - powiedział Downar. - Fechner dostał wtedy, zdaje się, osiem lat. - To możliwe. Trzeba sprawdzić.

- Ale jeżeli to Fechnerowa, to ty się nie możesz tam pokazać. Od razu cię pozna.

- Oczywiście, i ciebie także. Trzeba podpuścić na nią kogoś zupełnie obcego. Może Kobile?

- Może. Zobaczymy. Jedziemy dalej. To już mamy dwa punkty. Po trzecie: rozpracować żonę Wajcherta. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli ty się tym zajmiesz. Już się znacie.

- Tę sprawę biorę na siebie.

- Dobra. Po czwarte: trzeba pogadać z tym aktorem Podjemskim. Słyszałem o nim. To znany pederasta. Pogadam z nim. Zobaczymy. To niewykluczone, że on ma z tą sprawą coś wspólnego, a jeżeli nawet nie osobiście, to pośrednio.

Po piąte: musimy złożyć wizytę pani profesorowej Kozieskiej i jej córce. Chciałbym, żebyśmy do nich poszli razem. Masz czas jutro?

Downar pomyślał chwilę.

- Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli od razu jutro, nie tracąc czasu, zbiorę trochę informacji o pani inżynierowej.

- Zgoda. Więc do Kozieskiej pójdziemy pojutrze. Na mój nos, to musimy działać bardzo energicznie, nie robiąc jednocześnie żadnego szumu, nawet najmniejszego. Ty w dalszym ciągu prowadzisz śledztwo w sprawie tego czeku, a do Kozieskiej pójdziemy w sprawie śmierci jej męża. Jeżeli chodzi o młodego Wajcherta, to nie wątpimy w to, że siedzi sobie w Paryżu.

- Oczywiście. Ale mam wrażenie, że zapomniałeś o tym drabie, który napastował koleżankę Łosińskiego?

Walczak potrząsał głową.

- Wcale nie zapomniałem. To jest szósty numer naszego programu. Jak to się nazywa ten facet? Czeka... czekaj...

-zajrzał do swoich notatek. - Radoń, Wiktor Radoń. Mieszka na Żoliborzu, na Krasińskiego. Na Kaniowską miałby ewentualnie niedaleko. Sprawdzimy go. Damy to Kobieli. Na razie więc mamy następujący rozkład zajęć: ty załatwiasz inżynierową, ja Podjemskiego, obaj idziemy do Kozieskich, a Kobielle obarczamy mieszkaniem na Kaniowskiej i Radoniem. Major musi dać ludzi do pilnowania Łosińskiego. Aha, jeszcze jedno...

Warto by rzucić okiem na sprawy paszportowe.

Downar spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Myślisz o jakichś zagranicznych komplikacjach?

- Ten Paryż mnie trochę zastanawia. Dlaczego akurat Paryż? Musimy sobie stworzyć jakąś teorię odnośnie tych listów przychodzących z Paryża. Jeden przyszedł do Wajcherta, a teraz znowu do Łosińskiego.

Downar, który przez cały czas siedział bez ruchu, wstał i roztarł sobie kolana.

- Psiakrew, nogi mi ścierpły. Słuchaj no, Karol, coś mi w tej chwili przyszło do głowy.

- Czy możesz się z tym zdradzić?

- Chyba mogę. Widzisz, my do tej pory stoimy na stanowisku, że to Krzysztof Wajchert sfalszował ten czek.

- Wszystko za tym przemawia.

- No dobrze. A teraz wyobraźmy sobie przez chwilę, że to nie młody Wajchert sfalszował czek, że to zrobił ktoś inny. A jeżeli ten ktoś potrafił tak znakomicie podrobić podpis na czeku, to dlaczego by nie mógł napisać listu, podrabiając charakter pisma Krzysztofa Wajcherta? Co ty na to?

Walczak spojrział z uznaniem na przyjaciela.

- Nigdy nie przypuszczałem, że miód ze spirytusem może dać takie znakomite rezultaty. Twoje rozumowanie wydaje mi się po prostu genialne.

- Nie wygłupiaj się.

- Wcale się nie wygłupiam. To zupełnie mądre, co powiedziałeś. Wajchertowa ma kochankę, który umie podrabiać podpisy. Kombinowali z tymi czekami, a ponieważ młody Wajchert dowiedział się o tym i może ich szantażował, rąbnęli go. To zupełnie logiczne.

Downar w zamyśleniu potarł czoło.

- Tak, to mogła być jedna z hipotez. Mógł jednak także i Krzysztof sfalszować czek, namówiony przez jakiegoś kumpla. Ten kumpel zainkasował całą forszę, nie chciał się z nim dzielić i w kłótni pchnął go nożem. Także możliwe. Teoria wcale nie gorsza od tamtej. Ciągłe tylko nie jestem w stanie zrozumieć, co miał z tą całą sprawą wspólnego profesor Kozieski, znany i ceniony naukowiec, pedagog, cieszący się poważaniem społeczeństwa. W żaden sposób nie potrafię go przyczepić do tej historii.

Walczak spochmurniał.

- Obawiam się - powiedział wolno. - Obawiam się, że to my przyczyniliśmy się do śmierci profesora.

ROZDZIAŁ XIV

Downar kazał szoferowi zatrzymać się na rogu Poznańskiej i Nowogrodzkiej. Nie chciał, żeby z okien kawiarni widziano, jak wysiada z wozu. Od razu jednak wyczuł, że jego pojawienie się na sali wywołało niepokój. W „Bolonii” miał sporo znajomych.

Rozejrzał się szybko, podszedł do stolika pod oknem i nie pytając o pozwolenie, usiadł.

Była bardzo ładna, efektowna, elegancko ubrana. Ciemna blondynka o delikatnej, jasnej cerze i dużych orzechowych oczach. Miała na sobie piękne karakułowe futro i mały kapelusik z woalką. Wyglądała na bogatą, wytworną damę.

- Jak się masz, Lola - powiedział Downar, udając, że nie spostrzega drżenia jej rąk.

Rzuciła mu szybkie, spłoszone spojrzenie i uśmiechnęła się z przymusem. Wyjęła z torebki srebrną papierośnicę.

- Dzień dobry. Przyszedłeś zabrać mnie do kicia? Jak Boga kocham, nie wiem, co się stało z tymi dolarami. Nie widziałam ich nawet. Musiał mu ktoś rąbnąć w knajpie albo po prostu zgubił. Był na bani jak cholera. Przecież ty wiesz, Stefan, że ja na takie numery nie idę. Słowo honoru... Downar uśmiechnął się, podał jej zapaloną zapalarkę i powiedział:

- Nie denerwuj się Lolita. Nie chodzi mi o żadne dolary.

W ogóle nie wiem, o czym mówisz.

Oddechnęła z widoczną ulgą. Głęboko zaciągnęła się dymem.

- Więc co? W charakterze klienta? Wiesz, że cię lubię.
Potrząsnął głową.

- Także nie to. Tutaj nie chcę o tej sprawie mówić. Teraz idę do fryzjera, a za pół godziny będę u ciebie. Tylko mi nie nawal.

Wyszedł, odprowadzony ciekawymi, niespokojnymi spojrzeniami. Wiedział, że będą ją pytać, ale wiedział także, że nie powie nikomu ani słowa.

Rzeczywiście poszedł do fryzjera. Już dość dawno nie miał okazji zająć się swoją fryzurą. Zwolnił szofera. Na Wspólną poszedł piechotą.

Lolita, a właściwie Leokadia Gwizdek, mieszkała na drugim piętrze. Osobiście otworzyła mu drzwi.

- Siadaj, proszę cię. Zaraz zrobię dobrej kawy.

Powstrzymał ją ruchem ręki.

- Daj spokój. Nie mam dużo czasu. Przyszedłem prosić cię o pomoc.

Zdumiała się.

- O pomoc? Mnie?

- Tak. Zaraz ci wytłumaczę, o co chodzi. Ty przecież znasz wszystkie lepsze kociaki w całej Polsce.

- No, nie przesadzajmy - uśmiechnęła się skromnie.

- Chodzi oczywiście o babki pierwszej klasy. Muszę zdobyć informację o j ednej takiej...

-Jak się nazywa?

- Obecnie inżynierowa Wajchertowa. Panieńskie nazwisko Wielicka, jeżeli oczywiście nie zrobiła jakiegoś szwindla z dokumentami.

- Masz jej zdjęcie?

Downar wyjął z portfelu trzy fotografie, którym Lolita przyjrzała się bardzo uważnie.

- Nie. Nie znam jej. Pierwszy raz widzę tę twarz. Jakaś fajna babka. Szykowna. Dlaczego myślisz, że to...?

- Takiego mam nosa.

- Niestety, nie mogę ci pomóc - zmartwiła się Lolita. -

A nie wiesz, skąd ona może być? Gdzie się kręciła? Po jakim

terenie? Warszawianka?

- Nie. O ile orientuję się to z Katowic. W każdym razie tam się kręciła.

- W Katowicach? Czekaj, czekaj. Jeżeli ona jest z Katowic, to musisz się przejść do cioci Rozalii. Ona ci o wszystkim i o wszystkich powie. Katowice to jej rodzinne miasto.

- A gdzie można się zobaczyć z ciocią Rozalią?

- Tutaj niedaleko, na Mokotowskiej. Poczekaj, znajdę ci jej adres.

Pogrzebała w szufladzie, wyjęła z niej zatłuszczony, zniszczony zeszyt.

Downar zanotował adres i powiedział:

- O naszej rozmowie nikomu ani pary z gęby. Rozumiesz? Absolutnie nikt nie może wiedzieć, o czym mówiliśmy tutaj. Na Mokotowskiej drzwi otworzyła stara baba z jednym okiem.

- Pan do kogo? - zaskrzeczała zardzewiałym głosem.

- Przyszedłem do cioci Rozalii z polecenia Lolity.

Staruszka zniknęła, ale zaraz pojawiła się znowu.

- Pan pozwoli.

Już w przedpokoju czuć było kocią uryną, ale zapach ten wzmógł się wielokrotnie, gdy Downar przestąpił próg sanktuarium cioci Rozalii.

Duży pokój, zawieszony dywanami, tonął w ciepłym półmroku. Ciężkie story zasłaniały okno. Niski tapczan, zarzucony haftowanymi poduszkami, wyglądał jak posłanie wschodniego władcy. Lampa z kolorowym abażurem rzucała złotawe blaski. W kręgu jej światła siedziała na fotelu stara kobieta, przypominająca swym wyglądem olbrzymią ropuchę. W lewym ręku trzymała filiżankę z cieniutkiej porcelany, w prawej zaś maleńki pędzelek. Farba i naczynie z wodą stały obok na stolyczku. Ciocia Rozalia zwróciła ku wchodzącemu swe wyłupiaste oczy i powiedziała śpiewnym, melodyjnym głosem:

- Niech pan siada. - Następnie zaś wróciła do swej artystycznej działalności i przez chwilę zdawało się, że zupełnie zapomniała o gościu.

Downar ze zdumieniem przyglądał się dziwnej kobiecie i jej

egzotycznemu otoczeniu. Miał wrażenie, że nagle przeniósł się do jakiejś zamierzchłej epoki. Przypomniały mu się bajki o czarownicach czytane w dzieciństwie.

Milczenie przerwał ogromny szary kot, który miauknął i skoczył Downarowi na kolana.

Ciocia Rozalia wyszczerzyła sztuczne zęby w uśmiechu.

- To Brutus - wyjaśniła. - Jest niezwykle towarzyski. Lubi pan koty?

- Tak sobie - odparł wymijająco Downar, usiłując niepostrzeżenie pozbyć się z kolan Brutusa.

Wielbicielka kotów spojrzała na swego gościa podejrzliwie, odłożyła pędzelek na szklany spodeczek i spytała:

- Więc pana do mnie skierowała śliczna Lolita?

- Właśnie - podjął z zapalem Downar, rad, że rozmowa zaczyna wkraczać na konkretne tory.

Ciocia Rozalia zapatrzyła się w filizankę, znowu wzięła pędzelek, umoczyła go w farbie i ostrożnie poprawiła swe dzieło. - Jaki właściwie ma pan do mnie interes? - spytała.

- Jestem oficerem milicji.

Oświadczenie to nie zrobiło na niej żadnego wrażenia.

- Oficerem milicji? No i co z tego?

- Lola poradziła mi, żebym się zwrócił do pani. Potrzebne mi są pewne informacje.

Ciocia Rozalia niecierpliwie poruszyła się w swym fotelu.

- Ta dziewczyna zupełnie oszalała. Cóż to ja jestem biurem informacji, czy co?

Downar odczekał chwilę. Rozmowa przyjmowała niekorzystny dla niego obrót.

- Widzi pani - powiedział pojednawczo. - My z Lolitą trochę się przyjaźnimy, wyświadczamy sobie wzajemnie różne przysługi i dlatego...

- Więc o jakiego rodzaju informacje panu chodzi?

Downar wyjął fotografię Wajchertowej i w krótkich słowach sprecyzował swą prośbę.

Ciocia Rozalia ulokowała na nosie okulary w cienkiej złotej oprawie i uważnie przyglądała się podobiznom pani Leny.

Następnie zaś zdjęła okulary, włożyła je starannie do czarnego futerału i powiedziała:

- No tak...

Przez blisko godzinę Downar słuchał rozmaitych opowieści mniej lub więcej związanych z interesującym go tematem. Kiedy doszedł do przekonania, że już nic więcej nie dowie się, podziękował uprzejmie cici Rozalii i odprowadzany miauczeniem Brutusa, Mefista i jeszcze czterech innych kotów, opuścił ten dziwny lokal. Na ulicy odetchnął głęboko. Przez dłuższy czas nie mógł się pozbyć kociego zapachu wzbogaconego leciutką domieszką naftaliny.

Zdobyte informacje były bardzo cenne. Downar w doskonałym humorze pojechał do komendy i zaraz zaprosił do swojego pokoju Kobiela.

- No jak tam, poruczniku? Macie coś dla mnie ciekawego? Kobiela był uśmiechnięty i zadowolony z siebie.

- Ta Wajchertowa ma kochanka, towarzyszu kapitanie.

- Spodziewałem się tego. Kto to taki?

- Niejaki Koniewicz. Wiesław Koniewicz. Pracuje w ministerstwie. Mieszka na Latawcu. Mam jego zdjęcie.

- To doskonale - ucieszył się Downar. - A z czego wnioskujecie, że to jej kochanek?

Kobiela uśmiechnął się chytrze.

- Jak mężatka idzie do kawalera o godzinie piątej po południu i wychodzi od niego o dziewiątej wieczór, a w mieszkaniu nie ma nikogo więcej oprócz nich dwojga, to co można wywnioskować? Nie myślę, żeby przez cały ten czas ćwiczili tylko hula-hoop - zarechotał, rad z własnego dowcipu.

- A innych mężczyzn nie odwiedza pani Wajchertowa?- spytał Downar.

- Na razie tego nie stwierdziłem. W dalszym ciągu mam ją na oku.

- A o tym Radoniu zebraliście jakieś informacje?

- Oczywiście. To mętny typ. Nigdzie nie pracuje. Właściwie nie wiadomo, z czego żyje. Tak na to wygląda, że zajmuje się szulerką. Bandzior, towarzyszu kapitanie, nic dobrego.

W czasie wojny przebywał za granicą. Podobno był na

terenie Niemiec, ale to jeszcze trzeba by sprawdzić. Ma kochankę.

Jakaś wdowa. Nazywa się Skulska. Mieszka na Smolnej. Ma dorosłą córkę, studentkę Politechniki.

- Widzę, że bardzo energicznie działacie - pochwalił go Downar. - Zdobyliście całą kupę wiadomości.

Kobiela aż poczerwieniał z zadowolenia. Był ogromnie czuły na pochwały.

- Staram się, jak mogę, towarzyszu kapitanie.

- To dobrze. Powiedzcie mi, czy mieliście może okazję rozmawiać z tym Radoniem.

- Chciałem, ale nie mogłem, bo zniknął.

-Jak to zniknął?

- No zniknął. Nie ma go w Warszawie. Nikt nie wie, co się z nim stało. Chyba gdzieś wyjechał.

- Sprawdzaliście u niego w mieszkaniu?

- Oczywiście. Ci ludzie, u których wynajmuje pokój na Kamiń-skiego, też nic nie wiedzą. Nikomu nic nie mówił, dokąd wyjeżdża.

- I dawno zniknął?

- O już będzie pewnie ze dwa, trzy tygodnie.

Downar wyjął papierośnicę i poczęstował Kobiela.

- Słuchajcie, poruczniku. Musimy jak najprędzej znaleźć tego człowieka. Trzeba natychmiast zawiadomić wszystkie komendy wojewódzkie. Ale cicho, dyskretnie. Żadnych listów gończych, żadnych rozmów z dziennikarzami. Postarajcie się zdobyć jego fotografie i rozesłać do komend.

- Tak jest, towarzyszu kapitanie. Załatwi się. Czy to byłoby już wszystko?

- Na razie chyba tak. To znaczy ciągle jeszcze pilnujcie Wajchertowej i tego Koniewicza. Chcę mieć o nich możliwie jak najdokładniejsze wiadomości. Więc powiadacie, że ten Koniewicz pracuje w ministerstwie?

- Tak. Jest tam jakaś figura. Podobno w tych dniach ma wyjechać za granicę.

Downar zerwał się.

- Za granicę?

- Tak słyszałem. Jutro czy pojutrze. Służbowo.
- Do jasnej cholery - zaklął Downar. - Nie wiecie, czy kapitan Walczak jest u siebie? - Nie czekając na odpowiedź, wybiegł z pokoju.

- No, jak tam, Stefan? Jak twoja grypa?

- W nosie mam grypę. Czy wiesz, że Koniewicz wyjeżdża za granicę?

- Psiakrew - mruknął Walczak. - To niedobrze, to nawet bardzo niedobrze. Nie możemy do tego dopuścić.

- To ja wiem i bez ciebie - zniecierpliwił się Downar. - Ale co robić? Nie mamy przecież absolutnie żadnych podstaw, żeby go aresztować. A jeżeli jutro wyjeżdża, to...

Walczak był zakłopotany.

- Hm... Rzeczywiście. Paskudna sytuacja. No cóż... musisz do niego się wybrać z wizytą.

-Ja?

- Oczywiście. Przecież to ty prowadzisz śledztwo w sprawie fałszerstwa czeku. Musisz faceta wymacać i tak przydusić, żebyś mógł mu przeszkodzić w tej podróży za granicę. Ale, ale, zapomniałem ci powiedzieć. Mam już wyniki ekspertyzy tych podpisów i tego listu z Paryża.

- No i czegoż mi nie mówisz? - zdenerwował się Downar.

- To bardzo ważne.

- Więc słuchaj. Wzory podpisów nie zgadzają się z podpisem na tym czeku. Natomiast eksperci twierdzą, że na czeku podpisała się ta sama osoba, która pisała ten list z Paryża. Kapujesz? Downar był niezwykle podniecony.

- No tak... no tak... oczywiście... To znaczy, że nasze rozumowanie było prawidłowe. Facet sfalszował czek, bał się wyspy, dźgnął tego chłopaka nożem, a potem sfalszował list. Ale list był rzeczywiście wysłany z Paryża. Widziałem kopertę, znaczek, stempel pocztowy.

- Musiał wysłać list do jakiegoś swojego kumpla w Paryżu, a tamten z kolei wysłał do Warszawy.

- Tak. To jest jedyne wytłumaczenie. Tym bardziej nie możemy pozwolić na to, żeby facet przysnął.

- Nie powiedziałeś mi, jak wypadła ekspertyza notatek

młodego Wajcherta, które ci dostarczyłem.

- Biegli twierdzą, że nie można identyfikować autora tych notatek z autorem listu z Paryża. Wynikałoby więc z tego, że, tak jak mówiłem, ten paryski list został sfalszowany, bo przecież co do tego zeszytu nie ma wątpliwości, że są to notatki Krzysztofa Wajcherta. Sądzę, że musimy jednak stanąć na stanowisku, że ten, kto sfalszował czek, sfalszował również i list. Chciał utwierdzić starego Wajcherta w tym przekonaniu, że jego syn siedzi sobie spokojnie w Paryżu, podczas gdy...

- Cholera - przerwał mu Downar. - W żaden sposób nie mogę się pozbyć wrażenia, że to jednak młody Wajchert sfalszował czek. Żebyś ty wiedział, jak on genialnie podrobił podpis Kossaka.

- Podpis Kossaka? O czym ty mówisz?

- Nie opowiadałem ci?

- Nie.

- W mieszkaniu Wajchertów widziałem kopię obrazu Juliusza Kossaka. Znakomita robota, po prostu znakomita. Walczak zerwał się, jakby ktoś na niego wylał cały sagan ukropu.

- Kopia? - krzyknął. - Krzysztof Wajchert robił kopie?

- Genialne.

- i ty mi o tym dopiero teraz mówisz?!

Schwycił palto i zapominając o kapeluszu, wypadł z pokoju. Downar, zaskoczony, patrzył w ślad za przyjacielem.

- Koniecznie powinien wyjechać na urlop zdrowotny - mruknął. Zupełnie nie rozumiał, co oznacza dziwne zachowanie się Karola, ale nie miał zamiaru zastanawiać się nad tym w tej chwili. Miał co innego do roboty.

Poszedł do siebie, wyjął z szuflady biurka pistolet, zarepetował i wsunął broń do wewnętrznej kieszeni marynarki. Następnie podniósł słuchawkę i nakręcił numer Koniewicza. Posłyszawszy męski głos, spytał, czy może mówić z panem Krajewskim, przeprosił za pomyłkę i natychmiast połączył się z Kobielą.

- Słuchajcie, poruczniku, ja teraz jadę do Koniewicza, do jego prywatnego mieszkania. Za jakieś pół godziny podjedźcie

tam wozem i zaczekajcie na mnie piętro niżej na klatce schodowej. Weźcie ze sobą jeszcze kogoś na wszelki wypadek, ale musi być po cywilnemu. Nie zaszkodzi, jeśli będziecie mieli przy sobie kajdanki. Jeśli zobaczylibyście mnie przyjacielsko rozmawiającego z tym facetem, udacie, że mnie nie znacie. Jeżeli natomiast posłyszycie w jego mieszkaniu bójkę, łamanie mebli, nie wyważajcie drzwi, tylko spokojnie czekajcie. Sam sobie poradzę. Nie sądzę jednak, żeby doszło do takich historii. Czy wszystko jasne?

- Wszystko, towarzyszu kapitanie.

Downar wyszedł z komendy i na rogu Woronicza wsiadł do taksówki. Wołał nie jechać służbowym wozem.

Koniewicz był zaskoczony tą niespodziewaną wizytą.

- Pan do kogo?

- Do pana Koniewicza.

- To właśnie ja jestem. Słucham. - Głos jego brzmiał niechętnie, niecierpliwie.

Downar wszedł do pokoju i przedstawił się.

- Jestem Dalski. Chciałbym prosić pana o chwilę rozmowy.

- Wszelkie sprawy urzędowe załatwiam tylko w ministerstwie - zastrzegł się stanowczo Koniewicz.

- Nie chodzi o sprawę urzędową. To jest sprawa jak najbardziej prywatna.

Weszli do pokoju. Koniewicz nie poprosił swego gościa, żeby usiadł. Stał i patrzył wyczekująco.

- Więc o co chodzi? Zechce się pan streszczać, bo nie mam czasu.

Downar uśmiechnął się łagodnie.

- A może by pan usiadł? - zaproponował.

- Co to znaczy?

- Nic. Po prostu proponuję, żeby pan usiadł. Sądzę, że w pozycji siedzącej łatwiej wysłucha pan tego, co mam do powiedzenia.

- Proszę natychmiast opuścić moje mieszkanie! - krzyknął Koniewicz, zaciskając wściekle pięści.

Downar nie poruszył się.

- Siadaj pan - warknął.

- Co to, napad?! Zawołam milicję.

- Siadaj pan - powtórzył Downar i z taką siłą pchnął Koniewicza na krzesło, że ten musiał usiąść.

-Jak pana grzecznie proszę, to siedź pan i słuchaj, co się do pana mówi. Lepiej siedzieć na krześle jak w mamrze. Ja tak przynajmniej uważam.

Koniewicz jakby stracił trochę swoją początkową pewność siebie. Nie próbował się podnieść.

- Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć? - powtarzał.

Downar przyjrzał mu się uważnie. To, co usłyszał od cioci Rozalii, skojarzyło mu się z rozmową z Wajchertową, która w widoczny sposób usiłowała rzucić podejrzenie na swego pasierba. Postanowił zagrać na całego. Wyczuwał instynktownie, że wpadł na właściwy trop i że może bez większego ryzyka jechać dalej.

- Przystojny z pana facet - powiedział.

- Co to ma znaczyć? - spytał po raz trzeci Koniewicz i zrobił taki ruch, jakby chciał wstać.

- Siedź pan spokojnie - rzucił ostrzegawczo Downar. -Tacy przystojni faceci przeważnie wpadają przez kobiety.

I potrzeba to panu było kombinować z tą Wajchertową? Nie wie pan, jakie są baby?

Nie trzeba było być wnikliwym psychologiem, żeby się zorientować, że Koniewicz coraz bardziej traci grunt pod nogami.

- Nie znam żadnej Wajchertowej - mruknął.

Downar pokiwał głową i uśmiechnął się protekcyjnie.

Miał minę człowieka, który ubolewa nad brakiem inteligencji swego bliźniego, ale którego to nie gniewa.

- Daj pan spokój. Coś pan dziecko, czy jak? Przyjrzyj mi się pan. Czyja wyglądam na takiego frajera, który przychodzi do pana, zasuwa taką gadkę i nie wie, co w trawie piszczy? Nie picujemy się tak głupio, bo się do przyszłego roku nie dogadamy.

- Czego pan chce ode mnie?

- O, nareszcie pierwsze rozsądne pytanie. Zaraz też sobie pomówimy na ten temat, czego ja chcę od pana. Pani

inżynierowa Wajchertowa jest pańską kochanką i dlatego...

- Kłamstwo! - krzyknął Koniewicz. - Skąd pan wie takie rzeczy?

- Niemowa mi przez telefon powiedział - uśmiechnął się życzliwie Downar. - To nieważne skąd, wystarczy, że wiem.

Ale ja jestem człowiekiem dyskretnym. Jak dojdziemy do porozumienia, to nikt się o niczym nie dowie. A nie byłoby to panu na rękę, żeby inżynier Wajchert dowiedział się, że jego kochana żoneczka...

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, Downar już by niewątpliwie nie żył. Twarz Koniewicza była blada z wściekłości.

Ile?!

Downar udał, że nie dosłyszał tego handlowego pytania.

Zapalił papierosa, poprawił się na krześle i mówił dalej:

- To nie był dobry pomysł z tym czekiem, bo przecież...

- Z jakim czekiem? - przerwał mu znowu Koniewicz. - Nie wiem, o czym pan mówi.

- Spokojnie, panie Koniewicz, spokojnie. Po co to się tak denerwować. Ja wiem, o czym mowa, i pan doskonale się orientuje, o czym ja mówię. To przecież nie ma sensu, żebyśmy tak ciągle grali w ciuciubabkę. Szkoda czasu. Widzi pan... pan jest przystojny facet, aleja także mam powodzenie u płci pięknej. A są takie chwile w życiu, że kobieta staje się skłonna do zwierzeń. Ja rozumiem, że to dla pana przykre, aleja tego wszystkiego dowiedziałem się któreś nocy od Leny. Koniewicz zacisnął zęby.

-K...

Downar wzruszył ramionami. Uśmiechnął się. Twarz jego była pełna wyrozumiałej łagodności.

- Och, nie mam zamiaru wdawać się w tej chwili w jakieś oceny moralne. A zresztą, któż z nas jest bez winy? Nie o to zresztą chodzi. Uważam, że to był błąd z tym czekiem. Sto dwadzieścia tysięcy... To za mało, żeby się warto było paskudzić.

- Ile?... - spytał znowu Koniewicz.

Tym razem Downar dosłyszał. Zgasił starannie papierosa i z zagadkowym uśmiechem spojrzał na zdenerwowanego

Koniewicza.

- Mnie nie chodzi o pieniądze.

Koniewicz zdumiał się.

- Nie o pieniądze? Więc o co? O co panu chodzi?!

- Chciałbym panu zaproponować dobry interes. Ponieważ bardzo nie lubię, kiedy ktoś odrzuca moją propozycję, przeto zebrałem te wszystkie informacje i dopiero dzisiaj zdecydowałem się z panem pomówić.

Koniewicz wyglądał na człowieka zupełnie złamanego.

- Czego pan chce ode mnie?

- Widzi pan... mam na widoku pewien duży, bardzo duży interes. Można zarobić kupę forsy. Nie jakieś tam głupie sto dwadzieścia tysięcy. Kilka milionów, a może nawet kilka tysięcy dolarów. Chodzi tylko o zdobycie pewnych podpisów na dokumentach. Ponieważ pan jest świetnym fachowcem w tej branży, więc pomyślałem sobie...

- Nie, nie! - zawołał Koniewicz.

Downar wzruszył ramionami.

-Jak pan chce. Ja pana nie namawiam. Przecież nie żądam, żeby pan to robił dla mnie za darmo. Odpalę panu ładny rajwoch. Nie będzie pan żałował. Lepiej się panu opłaci niż te kombinacje z czekami Wajcherta i jak ta cała historia w Gliwicach. Pamięta pan? W czterdziestym siódmym roku.

Lena nazywała się wtedy, o ile się nie mylę, Wielicka i występowała jako Mariola.

- Skąd pan to wszystko wie? Skąd pan to wszystko wie? -jęknął Koniewicz.

- Mówiłem już panu, że rozmawiam przez telefon z pewnym niemową, który udziela mi potrzebnych informacji. No cóż, przyjmuje pan moją propozycję? Załatwi pan sprawę tych podpisów? Koniewicz skinął głową.

- Tak. Nie mam innego wyjścia.

- No to może teraz zejdziemy na dół do samochodu.

Koniewicz dopiero teraz zrozumiał. Zerwał się i skoczył do drzwi. Downar nie zatrzymywał go. Gdy schodził ze schodów, posłyszał trzask zakładanych kajdanków. Uśmiechnął się do Kobieli.

ROZDZIAŁ XV

Epidemia grypy zataczała coraz szersze kręgi. Na tę przykrą i niezmiernie dokuczliwą chorobę zapadali nie tylko zwykli śmiertelnicy, ale także przedstawiciele nauki, lekarze, farmaceuci, artyści, milicjanci, a nawet ludzie brodaci.

Profesor Misiukiewicz miał lekki przebieg grypy i objawy chorobowe były zaledwie dostrzegalne. Nieznaczny ból gardła, niewielki katar i temperatura trzydzieści siedem i dwie. Znany historyk sztuki miał zamiar nie zwracać uwagi na te drobne niedokładności wstanie swego zdrowia, czujnajednak małżonka podczas śniadania z niepokojem dotknęła czoła jedyne go żywiciela rodziny i powiedziała stanowczo:

- Zmierz no sobie gorączkę.

Po upływie zaś dziesięciu minut, tonem nieznośnym sprzeciwu, kazała mężowi położyć się do łóżka.

Profesor Misiukiewicz wiedział, że stawianie jakiegokolwiek oporu jest zupełnie bezcelowe. Z równym bowiem powodzeniem mógł był sam jeden wypowiedzieć wojnę Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej. Leżał więc teraz przykryty dwiema kołdrami i z melancholijnym wyrazem twarzy przyglądał się nocnemu stolikowi, na którym stała szklanka herbaty z cytryną, pół butelki jakiejś przeciwgrypowej mikstury oraz słoik z kompotem. Termometr, przezornie, został umieszczony w szufladce.

Raz jeszcze uświadomiwszy sobie swoją bezsilność, profesor Misiukiewicz westchnął z rezygnacją i właśnie począł się zastanawiać nad problemem czy powinien leżeć z brodą na kołdrze, czy pod kołdrą, gdy do jego uszu dobiegły z przedpokoju jakieś niepokojące odgłosy.

- My home is my castle — mruknął z niechęcią i odwrócił się na drugi bok. Spór jednak w przedpokoju coraz bardziej przybierał na sile i po chwili weszła pani profesorowa.

Jej pałająca twarz nie wróżyła nic dobrego.

- Przyszedł jakiś jegomość. Mówi, że jest z milicji i że koniecznie musi się z tobą zobaczyć. W żaden sposób nie mogę

mu wytłumaczyć, że jesteś chory

- Poproś go do mnie - powiedział z ożywieniem Misiukiewicz, którego monotonna rola chorego poczynała już męczyć. - Poproś go. Może to rzeczywiście coś bardzo ważnego. - Poprawił się na poduszkach, wyjął brodę spod kołdry i przybrał wyczekującą postawę.

Wszedł Walczak.

-Dzień dobry, panie profesorze. Czy pan mnie sobie przypomina? Jestem kapitan Walczak z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej.

Misiukiewicz przyjrzał mu się uważnie. Miał dobrą pamięć i nieprędko zapominał napotkane na drodze swego życia twarze.

-Moje uszanowanie panu. Oczywiście, że sobie pana przypominam. Miałem przyjemność poznać pana w Koronowie. Proszę, niech pan będzie łaskaw siadać, panie kapitanie.

- Najmocniej przepraszam, że w chorobie pana niepokoję - powiedział Walczak i usiadł na starym, wysłużonym fotelu, w którym się tak zapadł, że ledwo go było widać. Zaraz też uświadomił sobie, że może to wpłynąć ujemnie na powagę przedstawiciela władzy. Przesiadł się więc na krzesło. Obrzucił krytycznym spojrzeniem porzucony fotel i wyobraził sobie, jak bardzo nieautorytatywnie musi wyglądać niski, grubawy mężczyzna pogrążony w tym bezdennym meblu.

- Czy pan się nie boi zarazić grypą? - spytał profesor.

Walczak potrząsnął głową.

- Nie. Ja z zasady nie choruję na grypę. A pan profesor ma dużą temperaturę?

- Ale skądże. Właściwie nic mi nie jest. Tylko moja żona jest taka przeczulona na punkcie zdrowia. Trochę kataru, ból gardła, nic ważnego.

- To tak się zawsze zaczyna - powiedział Walczak. — Nie należy tego lekceważyć. Ale ja panu profesorowi radzę odstawić te wszystkie lekarstwa. Na grypę najlepszy alkohol.

- Oj, to, to! - wykrzyknął z zapalem Misiukiewicz. - Ja to samo zawsze mówię. Alkohol na gorąco. Na przykład gluhwein.

- Albo krupnik - uzupełnił Walczak. - Niedawno wyleczyłem

krupnikiem mego serdecznego przyjaciela. Był ciężko chory. Akurat mam przy sobie ćwiartkę spirytusu. Kupiłem na wszelki wypadek. Jeśliby pan profesor miał w domu trochę miodu...

- Miód?! - zawołał Misiukiewicz. — Miód?! Oczywiście, że mam miód, cały ogromny słój miodu, prawdziwego miodu. Moja żona to wspaniała gospodyni. Maryniu! Maryniu! Zaniepokojona profesorowa zajrzała przez drzwi.

- Co się stało?

- Zabieraj to lekarstwo i aspirynę. Dostyc mam tego świństwa. Pan kapitan będzie mnie leczył krupnikiem, staropolskim krupnikiem. Czy słyszał kto, żeby dawna szlachta chorowała na grypę? Skądże! W dawnej Polsce grypa była zupełnie nieznaną. A dlaczego? Bo pili krupnik, gorący krupnik. I nie tylko krupnik — dodał ciszej.

Pani profesorowa spojrzała na męża z wyrzutem.

- Ależ Józieczku, co ty wyprawiasz? Obawiam się, że masz większą temperaturę.

- Zrób nam krupniczku, kochanie - powiedział energicznie chory, który w obecności gościa czuł się o wiele śmielszy.

- Nie mam przecież spirytusu - próbowała argumentować sterroryzowana kobieta.

Walczak poderwał się i pobiegł do przedpokoju.

- Mam spirytus! - zawołał triumfalnie i wyjął ćwiartkę z palta. Profesorowa musiała skapitulować.

Po niedługim czasie pociągali ze szklanek aromatyczny napitek. Profesor Misiukiewicz uśmiechał się błogo. Widać było, że niedaleka jest chwila, gdy grypa będzie dla niego tylko mglistym wspomnieniem.

- Znakomity krupniczek, znakomity. Przyprawiony korzeniami, co za aromat.

- Nawet moja Helenka takiego nie robi - przyznał Walczak. Kiedy srebrne naczynie było puste, a w oczach obu mężczyzn pojawiła się ogromna serdeczność, profesor z zadowoleniem przeczesał palcami brodę i powiedział:

- Jest pan przemiłym człowiekiem, panie kapitanie. Nie sądzę jednak, żeby jedynym celem pańskiej wizyty było napojenie mnie krupnikiem.

Walczak uśmiechnął się i wyjął papierośnicę, zaraz jednak uprzytomnił sobie, że przy chorym nie należy palić i schował z powrotem swój zapas nikotyny.

- Rzeczywiście ośmieliłem się niepokoić pana profesora w pewnej konkretnej sprawie.

- Słucham pana bardzo uważnie - powiedział życzliwie profesor.

- Pan profesor jest znanym ekspertem i konserwatorem dzieł sztuki.

Misiukiewicz uśmiechnął się drwiąco i poprawił sobie brodę na koldrze.

-Jak na przedstawiciela milicji jest pan znakomicie poinformowany.

Walczak pomyślał, że po tej ćwiartce spirytusu mógł się spodziewać życzliwszej oceny działalności Milicji Obywatelskiej, pominął jednak milczeniem uszczypliwą uwagę profesora. Uśmiechnął się dobrodusznie. Ten uśmiech i zarumienione krupnikami policzki czyniły go w tej chwili podobnym do pocziwego wiejskiego proboszcza. Pokiwał głową i powiedział:

- To musi być ciekawa praca, bardzo ciekawa. Niełatwo jest odróżnić prawdziwy obraz od falsyfikatu, od dobrego falsyfikatu naturalnie. Przypuszczam, że historia zna wiele wypadków fałszowania sławnych dzieł sztuki.

- Czy pana to interesuje? - spytał Misiukiewicz.

- Ogromnie, panie profesorze, ogromnie. Chciałem sobie nawet kupić jakąś książkę na ten temat, ale niestety, nic takiego nie znalazłem ani w polskim języku, ani w żadnym innym.

- Tak - przyznał profesor - u nas, niestety, brak jest tego rodzaju opracowań. Jeśli pan ma chwilę czasu, to mogę coś panu opowiedzieć na ten temat. Kiedyś interesowałem się historią falsyfikatów w malarstwie. Napisałem nawet na ten temat szereg artykułów.

- Nie chciałbym pana profesora nadużywać, ale jeśli to pana nie zmęczy...

Wykład trwał przeszło godzinę. Walczak słuchał cierpliwie, ponieważ znał trochę naukowców i wiedział, że w takich

momentach nie należy im przerywać, jeśli się nie chce utracić ich sympatii. Wreszcie jednak profesor skończył mówić, odsapnął i z żalem spojrział na puste naczynie po krupniku. Zapewne przewidywał nowy atak grypy. Następnie przeniósł wzrok na swego słuchacza i spytał:

- A pan dlaczego właściwie interesuje się tymi zagadnieniami? Czy to tak tylko z amatorstwa?

Na twarzy Walczaka znowu pojawił się ten sam dobroduszny uśmiezek. Osądził widocznie, że grunt do właściwej rozmowy jest już dostatecznie przygotowany, bo powiedział:

- Nie wiem, czy pan profesor dokładnie przypomina sobie ten wieczór w Koronowie?

- Oczywiście, że sobie przypominam. Biedny Kozieski odebrał sobie wtedy życie. Do tej pory nie mogę tego zrozumieć. - Jeżeli pan profesor przypomina sobie, to także owego wieczoru oglądaliśmy te bezcenne obrazy - powiedział Walczak, który nie miał już zamiaru odbiegać od interesującego go tematu.

- Tak. Doskonale sobie przypominam.

- I pan profesor zakwestionował autentyczność obrazu Rubensa.

- Bo to nie jest Rubens! Głowę daję, że to nie jest Rubens - wykrzyknął z mocą Misiukiewicz. - To właśnie jest falsyfikat! Znakomity przykład falsyfikatu!

- Właśnie - uśmiechnął się zachęcająco Walczak.

- Co właśnie?...

- Właśnie o tym chciałem pomówić z panem profesorem.

- Ze mną? A cóż ja mam wspólnego z jakimś falsyfikatem?

- Bardzo dużo. Nikt, prócz pana profesora, nie spostrzegł, że to jest falsyfikat, nawet profesor Zelman. Zresztą to nic dziwnego. Nie ma w Polsce lepszego specjalisty od pana profesora. Misiukiewicz z zadowoleniem pogładził brodę i życzliwie spojrział na kapitana.

- Nie mam wątpliwości, że to falsyfikat. Żeby to fachowo udokumentować, musiałbym oczywiście zabrać obraz do swojej pracowni, ale mnie wystarczy spojrzeć, żeby stwierdzić, że to nie jest oryginał. Kopia, panie, doskonale zrobiona kopia.

Wystarczy przyjrzeć się krakelurze, a i płótno...

Walczak w zamyśleniu sięgnął po papierośnicę. Tym razem wyjął papierosa i zapalił.

- Te obrazy zostały wysłane z Anglii. Przyszły w skrzyniach, w doskonale zabezpieczonych skrzyniach. Czy pan profesor sądzi, że Anglicy?...

- Nie mogę na nikogo rzucać takich podejrzeń - zachnął się Misiukiewicz.

- A jeżeli i inne obrazy znajdujące się w tych skrzyniach także są falsyfikatami?

- Nie wiem. Trzeba by to sprawdzić. Nikt mnie nie prosił o ekspertyzę.

- A jeżeli ja bym poprosił pana profesora?

- Na to trzeba mieć zezwolenie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Poza tym, o ile się orientuję, profesor Zelman jest w tej chwili w Krakowie na jakimś zjeździe czy konferencji. Bez niego nie można tego robić.

- Tak... Niech mi pan łaskawie powie, panie profesorze, żeby zrobić taką kopię, to trzeba znakomitego fachowca, prawda?

- Niewątpliwie. To są bardzo trudne rzeczy, wymagające niesłychanej precyzji. Niektórzy malarze mają do tego wrodzony talent. To nie każdy potrafi.

- A u nas, na terenie Polski, widziałby pan kogoś takiego, kto by potrafił zrobić tak wierną kopię obrazu z minionej epoki?

Profesor Misiukiewicz zamyślił się głęboko.

- Nie potrafię panu na to odpowiedzieć, doprawdy nie potrafię. Nie wydaje mi się, żeby był ktoś taki... Chociaż... zaraz, zaraz... niech pan zaczeka. Jest u nas na Akademii jeden chłopak, syn tego architekta Wajcherta, który remontuje pałac w Koronowie. Zapewne poznał go pan.

- Tak. Znam pana Wajcherta. Ale zaczął pan mówić o jego synu.

- Właśnie. Otóż jego syn, zdaje mi się, że mu na imię Krzysztof, studiuje w Akademii, właściwie już dawno powinien był skończyć. To niezwykle utalentowany młody człowiek, zupełnie niezwykle. I właśnie robi znakomite kopie obrazów.

Jestem pewien, że mógłby handlować tymi falsyfikatami i mało kto poznałby się, że to nie są autentyczne płótna. Słyszałem, że ostatnio wyjechał do Paryża. Otrzymał stypendium, czy coś takiego. Nie wiem, nie interesowałem się tym bliżej.

- Czy pan profesor ma zamiar zrobić jakiś użytek ze swojego spostrzeżenia, a może pan zawiadomił o tym Ministerstwo?

- Że ten Rubens nie jest autentyczny?

- Właśnie. Bo przecież należałoby to jakoś wyjaśnić. Myślę, że powinni się tym zająć ludzie kompetentni.

- Słusznie, zupełnie słusznie - przytaknął Misiukiewicz.

- Ma pan oczywiście rację. Przyznaję, że właściwie nie pomyślałem o tej sprawie. W nawale pracy zapomniałem, wypadło mi to z głowy. Nie chciałbym także zrobić jakiejś przykrości profesorowi Zelmanowi. Ostatecznie on jest kierownikiem na tamtejszym terenie i on odpowiada za obrazy.

- Czy profesor Zelman nie porozumiewał się z panem w tej sprawie? Pańskie odkrycie powinno go było zaskoczyć.

- Nie, nie zwracał się do mnie. Wie pan... my nie pozostajemy z Zelmanem w najlepszych stosunkach. To znaczy... ja broń Boże nic nie mam przeciwko niemu, tylko po prostu jakoś nie sympatyzujemy ze sobą. Co do tego Rubensa, profesor Zelman twierdzi, że ja nie mam racji. No cóż... każdemu wolno mieć własne zdanie.

- Tak... - mruknął Walczak. - Ale jeżeli dostaliśmy z zagranicy same falsyfikaty, to warto by tę sprawę jakoś wyjaśnić.

- To już nie do mnie należy - mruknął niechętnie Misiukiewicz i gniewnie targnął brodę. - Niech się tym zajmuje Ministerstwo. Jak mnie poproszą w charakterze eksperta, to wtedy powiem, co o tym myślę. Ale niech mi pan powie, panie kapitanie, co właściwie skłoniło pana do odwiedzenia mnie? Jest pan niezwykle sympatycznym człowiekiem i bardzo miło gawędzi mi się z panem, ale ciągle jeszcze nie mogę zrozumieć, kogo czy co chce pan wysledzić. Nie przypuszcza pan chyba, że młody Wajchert zrobił kopię obrazu Rubensa, którą pozostawił w Koronowie, z oryginałem zaś uciekł do Paryża?

- Nie, tego nie przypuszczam - powiedział wolno Walczak i

wstał, jakby sobie nagle przypomniał, że ma coś ważnego do załatwienia.

- Dziękuję, panie profesorze, za rozmowę i przepraszam, że tak długo pana męczyłem. Życzę zdrowia. Do widzenia. Misiukiewicz serdecznie uściśnął mu dłoń.

- Do widzenia, panie kapitanie. A jak pan będzie chory na gripę, to proszę mi dać znać. Odwiedzę pana z ćwiartką spirytusu. Jeżeli zaś będzie miał pan cięższy przebieg choroby, przyniosę pół litra.

Na ulicy Walczak zajrzał do swoich notatek i zdecydował się złożyć wizytę znanemu aktorowi. Początkowo chciał się porozumieć telefonicznie, ale od razu zrezygnował z tego zamiaru. Z doświadczenia wiedział, że niespodziewane wizyty dają przeważnie lepsze rezultaty. Na rynku Starego Miasta wsiadł więc w taksówkę i kazał się zawieźć w Aleje Jerozolimskie. Już na schodach posłyszał podniesione głosy. Przystanął niezdecydowany. Nie chciał przeszkadzać w rodzinnej, jak sądził, dyskusji. Po upływie jednak niedługiego czasu doszedł do przekonania, że wrzawa dochodząca z wnętrza mieszkania, nie posiada charakterystycznych akcentów zwykłej kłótni, lecz że jest to niewątpliwie jakaś deklamacja wykonywana na dwa głosy. Po chwili wahania zdecydował się zakłócić ten artystyczny duet i nacisnął dzwonek, a następnie energicznie zastukał. Upłynęła jednak dłuższa chwila, zanim jego wysiłki odniosły pożądany skutek. Drzwi otworzył mu blady blondyn i położywszy tajemniczo palec na ustach, wprowadził go do mieszkania, idąc na palcach skradającym się krokiem.

Na środku dużego pokoju stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był wysoki i bardzo chudy. Jego podługowata, prawie zupełnie łyśa głowa przypominała wielkanocną pisanekę. Drugi miał kształty raczej zaokrąglone, gładko wygoloną twarz o drobnych, kobiecych rysach i duże, przesłonięte romantyczną mgiełką oczy. Obaj trzymali w rękach spore pliki maszynopisu i prozą rytmiczną, z przejściem recytowali jakiś utwór. Stojący pod oknem magnetofon rejestrował tę pełną dynamizmu scenę.

Walczak ostrożnie usiadł na krześle i cierpliwie oczekiwał

zakończenia tej sceny, która, jak się później okazało, była końcowym fragmentem drugiego aktu dramatu napisanego przez Tadzia Sołtysika, a zatytułowanego W kleszczach przeznaczenia. Krupnik wypity u profesora Misiukiewicza, uzupełniony monotonnym rytmem deklamacji, działał z bezwzględną siłą i Walczak coraz szerzej otwierał oczy w obawie, żeby nie pogrążyć się w głębokim śnie... Nie mógł do tego dopuścić. Ucierpiałaby na tym niewątpliwie powagajego osoby, nie mówiąc już o tym, że chrapanie przeszkodziłoby aktorom w ich pracy twórczej. Na szczęście akt drugi dobiegł końca i nagle zaległa cisza, która orzeźwiająco oddziaływała na sennego kapitana.

Podjemski baletowym krokiem podbiegł do okna, zatrzymał magnetofon, a następnie zwrócił się do Walczaka:

- Pan pozwoli, że się przedstawię: Podjemski. Bardzo mi miło. Czy pan może zechciał mnie odwiedzić w jakiejś sprawie artystycznej?

- Poniekąd - uśmiechnął się uprzejmie Walczak. - Wolałbym jednak pomówić z panem w cztery oczy. Ponieważ widzę, że jest pan zajęty, to może umówimy się na przykład jutro.

Chudy aktor o jajowatej głowie spojrział na zegarek.

- Nie krępuj się nami, Bobuś. My przecież i tak musimy z Tadzkiem uciekać. Jesteśmy umówieni z Magdą.

- Tak, jesteśmy umówieni z Magdą - powtórzył drewnianym głosem Tadzio Sołtysik.

Pożegnali się i wyszli. Walczak z galanterią uściśnął artystyczne dłonie.

Podjemski odetchnął z ulgą, jak to czyni każdy, komu uda się spławić wreszcie długotrwałych gości, i pytające spojrzenie przeniósł na Walczaka. Mogło się zdawać, że przez jego

twarz przesunął się ledwie dostrzegalny cień niepokoju, ale trwało to ułamek sekundy.

- Czy napije się pan kawy, herbaty, a może coś mocniejszego? Walczak potrząsnął głową.

- Bardzo dziękuję, ale jestem po dostatecznej porcji wzmocnionego krupniku i na razie nie czuję potrzeby podnoszenia procentu alkoholu w organizmie. To bardzo

wygodny przyrząd - dodał, wskazując magnetofon.

- Bez wątpienia - zgodził się Podjemski.

- Czy pan często rejestruje na taśmie dialogi ze swymi kolegami?

- O tak. Bardzo często. Bawi mnie to. Poza tym jest to najlepsza kontrola własnego głosu i wykonania utworu. Nieraz nawet nagrywam na taśmę zupełnie prywatne rozmowy z moimi przyjaciółmi. Nie ma pan pojęcia, jaka to jest później zabawa. Jeśli pan ma ochotę, możemy uruchomić magnetofon, a potem przesłuchamy naszą rozmowę. Nie pozna pan nawet swojego głosu.

- Nie, nie - powstrzymał go Walczak. - Niech się pan nie fatyguje. Czy pan przechowuje potem tę nagraną taśmę?

- To zależy. Ciekawsze taśmy przechowuję jakiś czas. Przeważnie jednak przesłucham i zmywam. Nie mogę przecież zakładać u siebie całej kartoteki taśm magnetofonowych. Byłoby to może i ciekawym przyczynkiem do historii polskiego teatru, ale na to nie mam odpowiedniego pomieszczenia. Walczak uznał, że należało już przystąpić ad rem. Zapalił papierosa, wypuścił dym nozdrzami i powiedział:

- Przychodzę do pana w sprawie urzędowej. Jestem z Komendy Głównej Milicji. Zapewne dziwi pana moja wizyta?

Podjemski uśmiechnął się uprzejmie. Nie widać było, żeby zaskoczyło go to, co usłyszał.

- Tyle już przeżyłem i tyle rzeczy widziałem na tym padole łez, że mało jest rzeczy, które by mnie mogły zdziwić.

Słucham pana, panie kapitanie. Czym mogę służyć?

- Skąd pan wie, że jestem kapitanem? - zdziwił się Walczak. Podjemski zaśmiał się. Jego ruchliwa twarz sfałdowała się nagle w niezliczoną ilość zmarszczek.

- Daję słowo, że nie wiedziałem. Tak mi się wydało, że pan powinien być w randze kapitana. Sam nie wiem dlaczego.

Po prostu intuicja.

Walczak przyglądał mu się z uśmiechem. Pomyślał, że jeżeli w swojej karierze napotykał na ludzi bardzo sprytnych i przebiegłych, to tego na pewno należy postawić w pierwszym szeregu.

- Przykro mi, że jestem zmuszony pana niepokoić, ale w związku z prowadzonym przeze mnie śledztwem...

- Ależ doskonale rozumiem - zapewnił go z ożywieniem Podjemski. - Służę panu. Jeśli tylko mogę być w czymś panu pomocny, to uczynię to z prawdziwą przyjemnością. Słucham, słucham?

- Dziękuję za tę gotowość - powiedział Walczak. - Zna pan Krzysztofa Wajcherta, prawda?

- Tak, znam.

- Widzi pan... Od pewnego czasu przedostają się od nas ludzie do Francji. Krzysztof Wajchert także wyjechał nielegalnie do Paryża. Będę z panem zupełnie szczery. Prowadzę dochodzenie w tej sprawie. Moim zadaniem jest znaleźć drogę, którą odbywają się te przerzuty.

-Ja na pewno nie mam z tym nic wspólnego - uśmiechnął się Podjemski.

-O tym jestem przekonany. Gdyby było inaczej, nie prowadziłbym z panem tak szczerzej rozmowy. Odwiedzam obecnie przyjaciół i znajomych Krzysztofa Wajcherta i zbieram o nim informacje. Przypuszczam, że może komuś zwierzył się ze swoich zamiarów.

- Ze mną nie mówił na ten temat. Zresztą ostatnio widywaliśmy się raczej rzadko.

- Pan był zaprzyjaźniony z Krzysztofem Wajchertem? Podjemski rzucił szybkie, badawcze spojrzenie.

- Tak. Przyjaźniliśmy się.

- Może nawet bardziej, aniżeli jest to powszechnie między mężczyznami.

Twarz Podjemskiego natychmiast straciła uprzejmy wyraz. Oczy mu się zwężyły, dolna szczęka mocniej się zarysowała, na policzki wystąpiły ceglaste rumieńce.

-Jak pan śmie? - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Byłby pan zupełnie genialny w roli Nerona - uśmiechnął się Walczak.

Podjemskiego tak zaskoczyła ta niespodziewana uwaga, że przez chwilę nie wiedział co powiedzieć.

- To jest bezczelność. Pan kpi sobie ze mnie.

Walczak spoglądał na niego obojętnie.

- Niepotrzebnie się pan irytuje. Niechże pan weźmie pod uwagę, że jestem oficerem milicji, prowadzącym dochodzenie, i że nie przebywam w pańskim mieszkaniu w charakterze gościa. Musimy ze sobą rozmawiać zupełnie szczerze. Przed chwilą oburzył się pan na mnie za tę szczerłość. Ale, drogi panie, chyba się pan orientuje, że wszyscy w Warszawie wiedzą o pańskich homoseksualistycznych upodobaniach. Nie powinien więc się pan dziwić, że i ja wiem.

- Czego pan właściwie chce ode mnie? - zdenerwował się Podjemski.

-Jeżeli mam wierzyć pańskim słowom, to Krzysztof Wajchert nie rozmawiał z panem na temat swego wyjazdu za granicę.

- Może pan wierzyć albo nie. Nic nie wiem na ten temat.

- Czy Wajchert nie miał powodu, żeby się czegoś obawiać?

- Nie wiem. Czegóż miałby się obawiać?

-Nie czego, ale kogo? — sprostował Walczak. — Na przykład pana?

Podjemski poruszył się niespokojnie.

- Nie rozumiem. Dlaczegoż Krzysztof miałby się mnie obawiać?

- Ponieważ pan mu groził.

-Ja?!

- Tak. Pan.

- To kłamstwo. Pan mi usiłuje insynuować rzeczy, z którymi ja nie mam nic wspólnego.

Walczak skrzywił się z niesmakiem.

- Panie Podjemski, zupełnie nie rozumiem, dlaczego od kilku minut przestał pan używać swej inteligencji, którą natura tak szczerze pana obdarzyła. Niechże się pan chwilę zastanowi. Przecież jeżeli przyszedłem do pana na tę rozmowę, to przedtem postarałem się o pewne niezbędne informacje. Jestem milicjantem, oficerem śledczym. Więc jak pan to sobie właściwie wyobraża, że przychodzę do pana i nie mam absolutnie pojęcia o sprawie, o której mówię?

- No nie - mruknął Podjemski. - Tak nie myślałem.

- To doskonale. Niech więc pan nie próbuje zaprzeczać oczywistym faktom, o których ja jestem doskonale poinformowany. Skróci to znakomicie naszą rozmowę, nienależącą do najmiłszych ani dla mnie, ani dla pana.

Podjemski skinął głową.

- To na pewno.

- Reasumujmy więc. Krzysztof Wajchert w pewnym momencie zerwał z panem. Pan mu groził, pragnął go namówić do ponownego nawiązania waszych stosunków. Najlepiej świadczy o tym list, który Krzysztof Wajchert napisał do pana i w którym nadmienił, że dla obrony własnej nosi przy sobie nóż.

- Widzę, że moja korespondencja przechodzi przez kontrolę - powiedział Podjemski.

- Och, nie. To była zupełnie przypadkowa kontrola. Takie listy powinno się po przeczytaniu palić. Pan tego nie zrobił i po prostu ktoś z pańskich gości przypadkowo przeczytał. Apanwie najlepiej, jak takie rzeczy szybko obiegają Warszawę. Nie zawsze też milicja dowiadyuje się o nich ostatnia. No, więc tak. Pan groził temu chłopakowi, który się pana bał. Uważał, że jest pan zdolny nawet zabić...

Podjemski roześmiał się krótkim, złym śmiechem.

- Widzę, panie kapitanie, że zaczyna mnie pan podejrzewać o zamordowanie Krzysztofa Wajcherta...

- Skądże. Przecież Krzysztof Wajchert siedzi bezpiecznie w Paryżu. Moja teoria w tej sprawie jest nieco inna. Wydaje mi się to prawdopodobne, że młody Wajchert ze strachu przed panem uciekł do Paryża.

- Coś w tej pańskiej teorii nie sztymuje, panie kapitanie. Przecież przyszedł pan do mnie z tym zamiarem, żeby się dowiedzieć, jaką drogą Krzysztof przedostał się do Paryża. Gdyby uciekał przede mną, to mam wrażenie, że nie zwierzałby mi się z tego. Jak pan myśli?

- Słusznie - zgodził się Walczak. - Zupełnie słusznie. Ale muszę brać pod uwagę fakt, że przedostać się nielegalnie do Francji nie jest rzeczą taką łatwą i że potrzeba na to czasu. Nie jest więc wykluczone, że Wajchert od dawna o tym myślał i mógł się panu zwierzyć z tego wtedy, kiedy jeszcze byliście

dobrymi przyjaciółmi. Ale jeśli pan twierdzi, że nic pan nie słyszał o tych jego zamiarach, to, nolens volens, muszę panu wierzyć.

- Nie sądzę, żeby pan musiał - uśmiechnął się Podjemski.

- Jak również nie sądzę, żeby pan wierzył w cokolwiek z tego, co ja mówię.

- Czy pan ma jakichś znajomych na Żoliborzu? - spytał nagle Walczak.

Podjemski zmarszczył brwi. Był wyraźnie zaskoczony pytaniem.

- Na Żoliborzu? Oczywiście, że mam znajomych, którzy mieszkają na Żoliborzu.

- A na Kaniowskiej mieszka ktoś z pańskich znajomych?

- Walczak pochylił się do przodu, uważnie wpatrując się w twarz aktora.

- Nie mam nikogo, kto by mieszkał na Kaniowskiej — powiedział Podjemski. Ton jego głosu mógł się wydać trochę przesadnie stanowczy.

- Niech pan sobie dobrze przypomni. Nie zna pan pani Fechnerowej? W swoim czasie była wplątana w aferę „Czarnego mercedesa”. Jej mąż do tej pory odsiada wyrok na Mokotowie. Sądziłem, że pan ją zna.

- Nie znam pani Fechnerowej. Nie rozumiem, dlaczego chce mi pan insynuować jakieś znajomości? - Podjemski był wyraźnie zirytowany.

- Przepraszam pana - powiedział łagodnie Walczak. - Nie chciałem przecież pana urazić.

Wziął nowego papierosa, zapalił i przez chwilę siedział w milczeniu. Robił wrażenie człowieka, który walczy z ogarniającą go sennością.

Podjemski poruszył się niecierpliwie.

- Czy mogę służyć panu jeszcze jakimiś informacjami;

- Czy mógłby mi pan pokazać ten list Krzysztofa Wajcherta?

- Niestety już go nie mam. Spaliłem.

- Musiał pan robić porządki w swoich papierach - uśmiechnął się Walczak. - Chciałbym jeszcze tylko pana zapytać, czy nagrywał pan na taśmie magnetofonowej jakieś

rozmowy ze swoim byłym przyjacielem Krzysztofem Wajchertem?

- Oczywiście. Wiele razy, Krzysztofa bardzo to bawiło.

- A czy nie przypomina pan sobie, żeby któraś z tych taśm panu zginęła?

Podjemski zdziwiony potrząsnął głową.

- Nie. Nic takiego nie przypominam sobie. Zresztą ja przecież nie prowadzę ewidencji tych moich taśm. Jeśliby ktoś chciał mi którąś z nich ukraść, na pewno nie zorientowałbym się nawet.

Walczak wstał.

- Dziękuję panu i przepraszam, że zabrałem tyle cennego czasu.

Podjemski był znowu uprzedzająco grzeczny. W lansadach odprowadził gościa do przedpokoju.

- Ależ panie kapitanie, bardzo mi było miło poznać pana. Zawsze jestem do pańskiej dyspozycji. Uważam, że obowiązkiem każdego obywatela jest przyjść z pomocą milicji w jej trudnej i niebezpiecznej pracy. Gdybym mógł być panu

w czymś jeszcze pomocny, to chętnie służę. Moje uszanowanie. Na schodach Walczak skrzywił się z obrzydzeniem.

- Wot nastajaszczaja swołocz - mruknął. - Ale swoją drogą tego wszystkiego bez wódki nie razbierosz. - Poczul dreszcze. Żałował teraz, że tak lekkomyślnie wypił z profesorem Misiukiewiczem tę ćwiartkę spirytusu.

W komendzie, w pokoju Downara jeszcze się świeciło.

Walczak wszedł bez pukania.

- Cóż to? Jeszcze urzędujesz?

- Przesłuchiwałem Koniewicza.

- Aresztowałeś go?

-Tak.

- Brawo. Przyznał się do sfalszowania czeku?

- Tak. Przyznał się.

- A do sfalszowania tych listów, które jakoby Wajchert pisał z Paryża?

-Nie.

Lakoniczne odpowiedzi zastanowiły Walczaka. Spojrzał uważnie na przyjaciela. Downar miał minę skwaszoną i był zupełnie zniechęcony.

- Słuchaj no, Stefan. Czyś ty znowu nie chory? Nie martw się. Jeżeli się nawet dzisiaj nie przyznał, to za dwa, trzy dni się przyzna. Skruszeje.

Downar wzruszył niechętnie ramionami.

- Nie przyzna się, bo nie ma do czego się przyznać. Czy wiesz, że ta cała nasza teoria w tej sprawie jest do kitu?

- Co się stało?

- Telefonowali przed chwilą do mnie z zakładu kryminalistyki. Zrobili nową ekspertyzę tych listów.

- Prosiłem ich o to, żeby jeszcze raz dokładnie sprawdzili.

- Właśnie. Otóż wyobraź sobie, że nowa ekspertyza wykazała, że te notatki w zeszycie i listy paryskie pisała jedna i ta sama osoba, czyli innymi słowy Krzysztof Wajchert jest autorem listów z Paryża. W tych warunkach wszystkie nasze teorie biorą w łeb. Rozumiesz?

Walczak usiadł na krześle, zapalił papierosa i przymknął oczy.

- Doskonale rozumiem.

- I nie przejmujesz się tym?

- Cóż mi to pomoże?

Downar przeszedł się po pokoju, zatrzymał się przy oknie i przez chwilę patrzył na ulicę. Odwrócił się i powiedział:

- Wszystko to dotychczas rysowało się zupełnie logicznie. Kochanek Wajchertowej, specjalista od podrabiania dokumentów, fabrykował czeki, podpisując jej męża. Ona informowała go o stanie konta i zapewne dostarczyła mu książeczkę czekową albo wyrwała z książeczki parę czeków. Krzysztof Wajchert dowiedział się jakoś o tym i zaczął ich szantażować. Koniewicz, chcąc się uwolnić od groźącego niebezpieczeństwa, zabija Krzysztofa i pozoruje jego wyjazd do Paryża. Podrabia te listy i wysyła jakiemuś kumplowi w Paryżu, który z kolei nadaje je do Warszawy. Wszystko to trzymało się kupy, ale teraz... Jeżeli młody Wajchert sam pisał te listy z Paryża...

- Zabili go w Warszawie, a następnie jego ciało astralne udało się do Paryża, napisało listy do rodziny i przyjaciół - powiedział Walczak. - Musimy zacząć wierzyć w duchy. Nie ma rady.

ROZDZIAŁ XVI

Pani Lena nie mogła zasnąć. Szeroko otwartymi oczami patrzyła w okno. Przez kolorową zasłonę widziała błyszczące plamy. Tam, po drugiej stronie ulicy także nie wszyscy spali. Przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę. Jakieś dalekie niewyraźne głosy, coś jakby dzwonienie nocnego tramwaju.

Za ścianą, w sąsiednim mieszkaniu zegar wybił pierwszą. Wstała ostrożnie i podeszła do bieliźniarki. Szklana fiolka po phanodormie była pusta. Wróciła na tapczan. Wtedy Wajchert zaczął głośniej chrapać. Trąciła go niecierpliwie. Kiedy chrapał, mogła go była zabić z zimną krwią. Zmienił pozycję, stęknął i ucichł. Spojrzała na niego z nienawiścią.

To on był temu wszystkiemu winien... on, on. Dlaczego właściwie sypia z nim najednym tapczanie? Przecież to kompletny nonsens, żeby mając takie duże mieszkanie, musiała wysłuchiwać tego ohydneho chrapania. Ma tego dosyć, dosyć! Chciało jej się krzyżeć, wyć, płakać. Z trudem panowała nad rozdygotanymi nerwami. Bezsenne noce wyczerpywały ją do ostatnich granic. Lekarz powiedział, że powinna odpocząć, wyjechać gdzieś na kurację. Kretyn! Cóż jej może pomóc jakaś idiotyczna kuracja? Dopóki nie odzyska spokoju, nic ani nikt nie zdoła jej pomóc. Kiedyż to się skończy? Kiedyż to się nareszcie skończy?! Lepsze już więzienie niż takie życie. Wyobrazila sobie ciasną, wilgotną celę, w górze małe zakratowane okienko. Nie, nie, wszystko byle nie to.

Wiesław nie dawał znaku życia. Stanowczo zabronił jej telefonować i przychodzić do siebie. Powiedział, że sam się do niej odezwie. Zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze. Prosił, żeby się nie denerwowała. Jak to się można nie denerwować w takiej sytuacji? Po co? Po co wdała się w to wszystko? Mogła przecież tak spokojnie i beztróska żyć. Czy to naprawdę może

się dobrze skończyć? Ci głupi milicjanci już przestali się pokazywać. Może w ogóle zrezygnowali z dochodzenia. Jedyna nadzieja w tym, że ta milicja to wszystko półgłówki. Choć nie... ten wysoki kapitan nie wygląda na głupiego, robi zupełnie dobre wrażenie, nawet jest przystojny, interesujący. Podczas ich krótkiej rozmowy wydał jej się inteligentny, wyrobiony towarzyszko i chyba... sprytny. Tym gorzej dla niej. Jeżeli się dowie, że coś ją łączy z Wiesławem...? Ale skąd mógłby się dowiedzieć? Nikt mu nie powie. A jeżeli już od dawna ktoś ją śledził? Jeżeli wiedzą, że ona odwiedzała Koniewicza...? Jeżeli sobie skojarzą pewne rzeczy...? Jeżeli zaczną odgrzebywać przeszłość? Znowu zobaczyła celę więzienną z pociemniałymi od wilgoci ścianami. Wyjdzie na wolność jako stara, zniszczona kobieta. I co wtedy? Co wtedy? Przyszły jej na myśl te sześćdziesięcioletnie staruchy włączące się po Wspólnej i Hożej, czekające na pijanych robotników. Wzdrygnęła się. Lepsza śmierć.

Była mokra od potu. Jedwab nieprzyjemnie przyklejał się do skóry. Wstała i zdjęła koszulę. Wytarła się ręcznikiem. Delikatnie pogładziła piersi i brzuch.

- Szkoda by było, żeby takie ciało przedwcześnie stoczyły robaki - szepnęła i wyjęła z bielizniarki pidżamę. A może ja jednak za bardzo wpadam w panikę? Może niepotrzebnie tak się zadreczam? Załóżmy najgorsze, to znaczy, że wszystko z tymi czekami się wyda. Czy Henryk dopuści do takiego skandalu?

Czy nie będzie się starał zatuszować całej sprawy? Ostatecznie

tego wszystkiego będzie najwyżej około trzystu tysięcy. Dużo, to prawda, ale przecież to go nie zrukuje. Z tą forszą, którą on ma, choćby nawet i milion... Ale kiedy się dowie, że ona i Wiesław...? Co wtedy? Co zrobi? Jak postąpi? Czy nie będzie się na niej mścił? Kochają, przy każdej okazji zapewnia o swej ogromnej, bezgranicznej miłości, ale... Któż to wie, czego się można spodziewać po mężczyźnie w takiej sytuacji? Miała ochotę obudzić Henryka i wszystko mu powiedzieć. Niech to się już raz skończy. Niech przestanie się zadreczać tą

niepewnością. Niech wie. Boże, jaka była zmęczona, jaka straszliwie zmęczona. Wyciągnęła rękę, żeby trącić Wajcherta w plecy. Obudzi go i wszystko powie, wszystko! W ostatniej chwili opanowała się. A jeżeli jednak nie uda im się wykryć sprawcy i zatuszują całą sprawę? Wiesław jest kuty na cztery nogi, niejedno już z nim przeżyła. Zawsze potrafił wydobyć ją i siebie z najtrudniejszej sytuacji. Powinna mu ufać, musi mu ufać. Na szczerą spowiedź zawsze będzie czas. Przecież potrafi wzruszyć Henryka. Wzruszy go na pewno. Nie oprze się jej łzom, prośbom, pocałunkom. Już ona umie to robić. Opowie mu wzruszającą historię swego życia, coś tam ujmie, coś doda. Jeżeli sytuacja Wiesława będzie beznadziejna, to powie, że ją szantażował, terroryzował, że od tamtego czasu, kiedy spotkali się na Śląsku, nie dawał jej spokoju, prześladował ją. Jeżeli udowodnią mu to fałszerstwo, to takie jej zeznanie już mu nie zaszkodzi, a ją może ocalić w oczach Henryka. Ale do tego przecież nie dojdzie. Wiesław da sobie radę. Och, żeby już raz zadzwonił, żeby wreszcie do niej się odezwał. Nie, nie, nie ma powodu do obaw. Dlaczegoż mieliby właśnie jego podejrzewać w tej sprawie? Wysoki urzędnik ministerstwa. Jeżeli jej się nie czepiąją, to na pewno i jego zostawią w spokoju. Powęszą, powęszą i przestaną. Znudzi im się i umorzą sprawę. Henryk też ma co innego na głowie. Nie będzie się ciągle zajmował tymi czekami. Musi prowadzić swoje interesy.

Był już dzień, kiedy zasnęła. Spała do jedenastej. Kiedy otworzyła oczy, Henryka już przy niej nie było. Z łazienki również nie dochodziły żadne odgłosy. Albo je śniadanie, albo już wyszedł. Swoją drogą to ładnie z jego strony, że tak cicho wstał. Przez chwilę miała zamiar wzbudzić w sobie jakieś żywsze uczucie do męża, ale zaraz zrezygnowała z tego. Nie czuła się na siłach.

Usiadła na tapczanie, przeczesała palcami włosy i bezmyślnie wpatrzyła się w jakiś punkt. Nie wiadomo, jak długo poddawałaby się kontemplacji ściany, gdyby nie zadzwonił telefon. Poderwała się. Może Wiesław? Drżącą ręką podniosła słuchawkę. Ktoś chciał mówić z dyrektorem Wiślickim.

- Pomyłka - powiedziała. Miała ochotę trzasnąć aparatem o podłogę.

Wstała i podeszła do bielizniarki. Przypomniała sobie, jak niedawno z obrzydzeniem patrzyła na Henryka, który oglądał w lustrze swój obłożonyjęzyk.

W tej chwili jej własna twarz nappełniła ją przerażeniem. Jeszcze parę takich nocy - pomyślała - a mogę się ubiegać o miejsce w przytułku dla starców."

Ktoś zadzwonił. Nie zwróciła na to uwagi. Dopiero gdy Klementyna weszła do pokoju, odwróciła głowę.

-Jakiś chłopak przyniósł do pani list.

Rozdarła kopertę i zerwała się z krzesła. Wiesław! Nareszcie! Jeżeli możesz, przyjdź dziś do mnie o piątej. Czekam."

Uszczęśliwiona zaczęła biegać po pokoju. Napisał... nareszcie napisał...! A więc nic im nie grozi. Jeżeli prosi, żeby do niego przysła, to musi być pewny, że nic im nie grozi.

I po co tyle się nadenerwowała? Po co tak się zadreślała niepotrzebnie? Chciała jechać do niego zaraz, natychmiast.

Nagle zobaczyła swe odbicie w lustrze i od razu straciła humor. Z taką twarzą? Jakżeż się mu pokaże? Przecież wygląda jakby miała sześćdziesiąt lat. Po tylu dniach rozłąki przyjdzie do niego taka wymięta, blada, z sińcami pod oczami. Nie, nie, tak nie może do niego pójść, absolutnie nie może...

Chwyciła telefon i połączyła się z gabinetem kosmetycznym.

Wszystkie godziny były już zajęte. Prosiła jednak tak długo, że wreszcie pani Skulska zgodziła się ją jakoś wkreślić między jedną klientką a drugą. Za godzinę miała się zjawić w salonie piękności.

Kiedy odłożyła słuchawkę i spojrzała do lustra, odzyskała wiarę w siebie. Podniecenie zaróżowiło policzki, oczy nabrały blasku. Z każdą chwilą odzyskiwała dobry humor.

Niech tylko przewali się ta cholerna sprawa, to bardzo prędko dojdzie do dawnej formy. Zresztą przecież nie straciła formy. A takie bezsenne noce na każdego podziałyby fatalnie. Pospiesznie zaczęła się ubierać. Nie chciała się spóźnić do institut de beautee.

Pani Skulska powitała swą stałą klientkę z serdeczną

wylewnością.

- Dzień dobry kochanej pani, dzień dobry. Nie miałam co prawda ani jednej godziny, ale przełożyłam na jutro panią doktorową Kwasińską. Czego się nie robi dla takiej miłej klientki.

- Niech pani robi wszystko, co pani uważa za stosowne. O piątej mam pewne spotkanie i muszę ładnie wyglądać.

- Och, pani inżynierowa i bez żadnych zabiegów wygląda czarująco. Ale oczywiście należy dbać o swą urodę. Kobieta przeczarna zaczyna korzystać z usług kosmetyczki, zanim jeszcze jest to potrzebne.

Pani Skulska zabrała się energicznie do dzieła i przeszło półtorej godziny znęcała się nad swą ofiarą.

Wreszcie seans w instytucie piękności dobiegł końca i pani Lena została uwolniona z maseczek, gorących i zimnych okładów i grubych warstw przeróżnych kremów. Spojrzała z zadowoleniem w lustro i chociaż obiektywny obserwator nie zauważyłby specjalnej zmiany w jej wyglądzie, była przekonana, że uroda jej nabrała nowego blasku.

Pożegnała bardzo serdecznie panią Skulską i poszła do domu. Po drodze z pewnym niepokojem myślała o wspólnym obiedzie z Henrykiem. Na pewno będzie ją zanudzał jakimiś swoimi sprawami. Zupełnie nie czuła się na siłach wysłuchiwać tego wszystkiego. Jakaż więc była jej radość, gdy Klementyna oświadczyła jej z ponurą miną, że dzwonił pan inżynier i powiedział, iż jest bardzo zajęty, nie będzie na obiedzie i wróci dopiero wieczorem.

Oczekiwanie zatrzymuje czas. Wskazówki zegarka posuwały się w tak żółwym tempie, że pani Lena parokrotnie dzwoniła do zegarynki, chcąc sprawdzić, czyjej omega nie odmówiła posłuszeństwa. Z wysiłkiem opanowywała rozdygotane nerwy. Nareszcie zobaczy Wiesława. Nareszcie!

Nie mogła wytrzymać w domu. Poszła piechotą.

Na schodach wyjęła z torebki klucz. Cicho, cichutko otworzy drzwi. Nawet nie będzie wiedział, kiedy wejdzie. To niespodzianka. Nie przyznała mu się, że kazała sobie dorobić klucz od jego mieszkania.

Ostrożnie, jak złodziej, wsunęła wąski kluczyk do zatrzasku. Powoli, bardzo powoli przekręciła go i delikatnie pchnęła drzwi. W mieszkaniu nie paliło się światło. Uśmiechnęła się.

Ten Wiesław lubi romantyczne nastroje. Szara godzina... Czują dotknięcie jego ust.

Żaden mężczyzna tak na nią nie działa.

Weszła do pokoju. Na tapczanie zauważyła w półmroku niewyraźny kształt człowieka. I nagle ogarnął ją gwałtowny niepokój.

- Wiesław, Wiesław - powiedziała.

Człowiek na tapczanie nie poruszył się. Rozdygotana poszukała przy drzwiach wyłącznika. Zabłyśło światło. To nie był Wiesław. Nie poruszyła się. Szklanymi oczami wpatrywała się w Downara. Nie mówiła nic.

Wstał, poprawił sobie włosy, uklonił się uprzejmie i z całkowitą swobodą powiedział:

- Dobry wieczór pani. Najmocniej przepraszam, ale zdaje się, że się troszeczkę zdrzemnąłem. Nie przewidziałem tego, że pani ma klucz od mieszkania. Przyznaję, że to był błąd nie do wybaczenia. No cóż... każdemu zdarza się popełniać błędy. Spostrzegł, że pani Lena jest bardzo blada. Obawiając się, aby nie zemdlą, zbliżył się i troskliwie posadził ją w fotelu.

- Proszę, niech pani usiądzie. Tak będzie pani o wiele wygodniej. Wcale się nie dziwię, że pani jest trochę za skoczona moją obecnością w tym mieszkaniu. To zupełnie zrozumiałe. Spodziewała się pani przecież zobaczyć swego przyjaciela, Wiesława Koniewicza, występującego również kiedyś pod nazwiskiem Ryszarda Bornera. Przykro mi, że zrobiłem pani zawód. Niestety, jednak życie podobno nie jest romansem. Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, to pragnąłbym z panią chwilę pogawędzić. Ponieważ jednak widzę, że jest pani wyczerpana nerwowo, to może najpierw zrobię trochę mocnej kawy. Przepraszam panią, to nie potrwa długo. Już zaparzyłem. Trzeba tylko podgrzać.

Włączył maszynkę elektryczną i postawił na niej naczynie z kawą. Następnie zaś wyjął z baru filiżanki, butelkę wiśniaku i dwa kieliszki.

Ciągle patrzyła na niego nieruchomo, jakby nie rozumiała, co się wokół niej dzieje. Kawa zaczęła mocno parować... Downar wyłączył maszynkę i napełnił filiżanki. Zachowywał się tak, jakby był u siebie w domu.

- A teraz możemy sobie o wszystkim spokojnie porozmawiać. Niech pani się nie obawia, nikt nam nie przeszkodzi. Mój kolega odpoczywa na schodach i nikogo tu nie wpuści. Zresztą wszyscy znajomi pana Koniewicza wiedzą, że wyjechał on służbowo do Paryża.

Stopniowo odzyskiwała przytomność.

- Do Paryża?

Downar poczęstował ją papierosami i wskazał ręką filiżankę.

- Proszę, niech pani pije, bo kawa wystygnie. Zaraz postaram się pani wszystko wyjaśnić. Bardzo żałuję, że przypadła mi w udziale rola zwiastuna przykrych wieści. No cóż... Pan Koniewicz miał wyjechać służbowo do Paryża i wydaje mi się, że już by z tej podróży nie wrócił. Nie mówił pani o swoim wyjeździe, ponieważ postanowił zerwać więzy, które państwa łączyły.

- To nieprawda! Pan chce mnie sprowokować!

- Może mi pani oczywiście nie wierzyć, ale czy to warto pozostawać przy jakichś złudzeniach, podczas gdy fakty mówią zupełnie co innego? Wiesław Koniewicz nie wyjechał do Paryża, ponieważ został aresztowany. Przebywa obecnie w więzieniu. Oskarżony jest o fałszowanie czeków pani małżonka, inżyniera Wajcherta. Podczas przesłuchania usiłował całą winę zwalić na panią. Twierdził, że to pani go namawiała i że pani dostarczyła mu blankietów czekowych oraz że pani informowała go o stanie konta jej męża. Przyznaję, że to niezbyt ładnie z jego strony. Jeżeli mi pani nie wierzy, mogę pokazać zeznania podpisane przez Koniewicza. Zapewniam panią, że ja nie potrafię podrabiać podpisów. Ten list, który pani dzisiaj otrzymała, również, na moją prośbę, napisał pani były kochanek.

Pani Lena wyprostowała się. Oczy jej błyszczały.

- Bydłę!

- Zaczynają padać mocne określenia - powiedział Downar. -

To przykre, gdy starzy przyjaciele tak od razu zaczynają wątpić w swe walory moralne. Bardzo przykre.

Pani Lena odzyskała panowanie nad sobą. Wiedziała, że właściwie na nic już nie może liczyć. Wszystko skończone. Nie pozostawało jej nic innego, jak czekać na dalszy rozwój wypadków. Ogarnęła ją chłodna rezygnacja. Spokojnie spojrzała na swego prześladowcę.

- Niech pan przestanie kpić. To wcale nie jest dowcipne, co pan mówi. Jeżeli uważa to pan za swój obowiązek, to proszę mnie aresztować. Po co oboje mamy tracić czas na próżno?

Downar zmrużył oczy i sięgnął po papierosa.

- Och... jeżeli chodzi o czas, to sędzę, że będzie go pani miała dużo. Chciałbym pani zaproponować pewne kompromisowe załatwienie tej całej sprawy.

Pani Lena poruszyła się z pewnym ożywieniem. „A może ja spodobałam się temu milicjantowi?” - pomyślała. Od razu oczy jej nabrały życzliwszego wyrazu.

- Nie wiem, co pan ma na myśli - powiedziała już zupełnie innym tonem.

Downar uśmiechnął się.

- Widzi pani... potrzebne mi są pewne informacje, których pani może mi udzielić. W zamian za szczerą rozmowę obiecuję pani, że postaram się w ogóle nie mieszać pani do tej sprawy. Oczywiście, nie mogę odpowiadać za zeznania, które Koniewicz złoży w sądzie. Ale ja wiem o pani dość dużo, żeby jeszcze znacznie pogorszyć pani sytuację. Jeżeli dojdziemy do porozumienia, to nie będę przecież wyciągał tych spraw sprzed dwunastu lat. Pamięta pani? Katowice, Gliwice, Bytom. Wtedy jeszcze te rzeczy szły łatwiej. Aparat milicyjny nie był tak sprawny jak dziś. Koniewicz to dobry specjalista od fałszowania czeków i dokumentów. Ma już za sobą poważny staż. Nie wiem, czy pani najlepiej zrobiła, wiążąc się z tym człowiekiem, ale to już nie moja sprawa.

Pani Lena znowu upadła na duchu. Nie wyglądało na to, żeby w danym wypadku mogła liczyć na siłę swych wdzięków.

- Czego pan chce?

- Chciałbym wiedzieć, jaką rolę w tej całej sprawie odegrał

pasierb pani, Krzysztof Wajchert.

Wzruszyła ramionami.

- Krzysztof? Nie miał z tym nic wspólnego.

- Jeżeli nie miał z tym nic wspólnego, to dlaczego pani obawiała się go? Była zaskoczona.

- Skąd pan to wie?

- W tej chwili mi to pani powiedziała.

Przygryzła wargi. Była wściekła na siebie. Od początku zachowywała się jak skończona idiotka. Downar mówił dalej:

- Krzysztof Wajchert wiedział o tych waszych kombinacjach i pani się bała, żeby was nie sypnął. Tak?

- Nie wiem.

- Czy Koniewicz mówił, że może być pani spokojna, ponieważ on to bierze na siebie, żeby Krzysztof nie powiedział nikomu ani słowa?

Rzuciła mu szybkie, niespokojne spojrzenie. Nie wiedziała, do czego zmierza.

- Nie pamiętam.

- Niech sobie pani dobrze przypomni. To dla mnie bardzo ważne. Niech pani sobie przypomni. Przecież to nie ma sensu, żebym ja teraz wywlekał te jakieś dawne sprawy.

- Być może, że coś takiego mówił - powiedziała wahająco.

- Czy pani nie sądzi, że Koniewicz miał zamiar sprzątnąć Wajcherta?

- Wiesław nie jest mordercą.

- Nigdy nie wiadomo, do czego człowiek jest zdolny. To zależy od okoliczności. Uważała pani na przykład Koniewicza za swojego najlepszego przyjaciela i nagle doszła pani do przekonania, że to „bydlę”. Powtarzam tylko pani słowa. Nie jest więc wykluczone, że Koniewicz, dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa, zamordował Krzysztofa Wajcherta.

- Krzysztof jest przecież w Paryżu - powiedziała cicho pani Lena.

Downar obserwował ją uważnie.

- No tak, tak, oczywiście. Jest w Paryżu. Rozważałem to zagadnienie z czysto teoretycznego punktu widzenia. Chciałem się po prostu dowiedzieć, czy pani uważa, że Koniewicz byłby

zdolny kogoś zamordować.

- Nie wiem.

- Sądzę, że nie będę już więcej pani męczył tą rozmową. Proszę pojechać do domu i nie mówić nikomu o naszym spotkaniu. Sądzę, że to jest zresztą w pani interesie.

- Nie aresztuje mnie pan?

-Nie.

Zeszli na dół i Downar odprowadził panią Lenę do taksówki. Sam pojechał do komendy. Chciał pogadać z Walczakiem. Zastał przyjaciela rozmawiającego z Kobielą.

- Dobrze, że jesteś. Właśnie porucznik opowiada mi tu ciekawe historie. Powtórzcie jeszcze raz, poruczniku. Niech Downar posłucha.

- Ano cóż - uśmiechnął się Kobiela, rad, że zaczyna odgrywać w tej sprawie taką ważną rolę. - Zbadałem ten dom na Kaniowskiej. Faktycznie mieszka tam doktorowa Fechnerowa. Ta, co to była zamieszana w aferę „Czarnego mercedesa”. Mąż jej odsiaduje wyrok na Mokotowie. Kobita niczego sobie, przy kości. Z czego żyje, nie wiem. Nigdzie nie pracuje. Ważne jest to, że od czasu do czasu swoim znajomym, takim lepszym gościom, odnajmuje mieszkanie na wieczór i na noc. Co tam oni robią, można się domyślić. Dziewczynki, wódeczka i tak dalej. Trudno z lokalami w Warszawie. Ludzie radzą sobie, jak mogą.

- To bardzo interesująca wiadomość - przyznał Downar. - Czy dowiedzieliście się jakichś nazwisk?

Kobiela chytrze zmrużył oczy.

- Coś niecoś dowiedziałem się. Wiem na przykład, że jeden znany aktor tam bywa. Nazywa się Podjemski.

- Jak żeście się dowiedzieli?

- Widziałem jego fotografię u Fechnerowej, a że bardzo lubię chodzić do teatru, to znam wszystkich aktorów.

- Byliście u Fechnerowej? Rozmawialiście z nią? W jakim charakterze?

- W charakterze montera od telefonów.

Kobiela jeszcze dłuższą chwilę opowiadał o swoich detektywistycznych sukcesach. Downar już go jednak nie

szłuchał. Myślał o czym innym. Po wyjściu porucznika powiedział do Walczaka:

- Rozmawiałem z Wajchertową. Doszedłem do przekonania, że albo ja jestem głupi, albo to Koniewicz zabił Krzysztofa Wajcherta i sfalszował te paryskie listy. Nie wierzę tej ekspertyzie.

- Po przyjacielsku ci radzę: stwórz sobie jeszcze trzecią ewentualność - uśmiechnął się Walczak. — Po co masz zwątpić we własną inteligencję?

ROZDZIAŁ XVII

To wszystko nie było takie proste. Po rozmowie z milicjantami Maurycy doznał w pierwszym momencie uczucia olbrzymiej ulgi. Prześladowające go od miesięcy widmo choroby umysłowej zniknęło. Zeznanie tego szofera uwolniło go od koszmarnych myśli. Znowu był normalnym, zdrowym człowiekiem. Powinien czuć się szczęśliwy. Zaraz jednak pojawiła się refleksja. Przecież to jego szczęście wpływało ze świadomości, że Krzysztof rzeczywiście został zamordowany. Teraz bowiem nie można już było w to wątpić. A więc prawdziwa, niewyimaginowana śmierć Krzysztofa stała się powodem jego radości? Jakże to? Czuje się szczęśliwy dlatego, że naprawdę ktoś zadźgał nożem Krzysztofa? Straszne. No dobrze... a jeżeli byłoby się okazało, że Krzysztof żyje i jest w Paryżu, to w takim wypadku on, Maurycy, musiałby być uznany za człowieka niespełna rozumu, za wariata, którego trzeba leczyć w zakładzie dla umysłowo chorych. Bo przecież normalni ludzie nie miewają takich wizji. Nie... nie, to stanowczo było zbyt skomplikowane.

Od samego myślenia o tym wszystkim można było zwariować. Istniały bowiem dwie alternatywy: albo powinien się cieszyć, że nie jest wariatem i że Krzysztof został rzeczywiście zamordowany, albo powinien się martwić z powodu śmierci Krzysztofa i z powodu tego, że on sam nie dostał pomieszania zmysłów... Po raz pierwszy w życiu miał ochotę pójść do jakiegoś baru i upić się w samotności.

I co dalej? Co go czeka? Jak przedstawia się jego sytuacja? Nie najlepiej. Zatajenie przed milicją zabójstwa Krzysztofa mogło mu grozić poważnymi konsekwencjami. Stał się przecież w pewnym sensie współnikiem mordercy. Utrudnił, a może nawet uniemożliwił schwytanie zbrodniarza. Na razie wypuścili go, bo nie chcą robić szumu koło tej sprawy. Ale z chwilą gdy ukończą śledztwo, jego pociągną do odpowiedzialności. Zostanie wezwany przez prokuratora, stanie przed sądem. Nie bardzo wiedział, co mu może grozić za tego rodzaju przewinienie, ale przypuszczał, że będzie musiał odsiedzieć karę w więzieniu. Przecież jego obowiązkiem było pójść natychmiast do komisariatu i zameldować o popełnionej zbrodni.

Trudno. Stało się. Obecnie należało zastanowić się nad tym, co przedsięwziąć, żeby jakoś zmniejszyć swą winę i zapewnić sobie możliwie łagodny wyrok sądu. Jakże chętnie poradziłyby się kogoś. Najlepiej byłoby pomówić na ten temat z Andrzejem Koszyckim. On na pewno znalazłby jakieś dobre wyjście z sytuacji. Przyrzekł jednak tym milicjantom, że nikomu nie powie. Czy rzeczywiście musi dotrzymać słowa? To zrozumiałe, że o takiej sprawie nie można rozmawiać z byle kim. Ale z Koszyckim chyba mógłby się naradzić. Poważny, doświadczony człowiek, dziennikarz. Kuźmie nie odważyłyby się opowiedzieć o tym wszystkim. Wiedział, że Staszek nie potrafi utrzymać tajemnicy. Co robić? Może jednak pomówić z Andrzejem? Przecież lepiej zwrócić się do niego z prośbą o radę aniżeli iść do jakiegoś zupełnie nieznanego adwokata. Zresztą Koszycki na pewno ma zaprzyjaźnionych prawników, do których skieruje go w razie potrzeby. Tak, stanowczo powinien z nim pomówić.

Trudno jest uważnie słuchać wykładów, kiedy ma się głowę nabitą zupełnie czym innym.

Maurycy nie słyszał tego, co mówił profesor, nie usiłował się skupić. Wiedział, że to bezcelowe. W tej chwili nie był w stanie myśleć o niczym innym... Współdziałać w prowadzeniu śledztwa... Dopomóc do wykrycia mordercy. Gdyby... gdyby udało mu się coś zdziałać na własną rękę, gdyby przyczynił się

w jakiś sposób do ujęcia zbrodniarza... Nie ulega wątpliwości, że w takim wypadku inaczej wyglądałaby jego sytuacja.

Po wykładach prędko zjadł obiad w stołówce i poszedł na daleki spacer. Musiał rozważyć to wszystko. Myśl rzeczywiście była dobra, ale jak ją zrealizować? To nie takie proste. Nie znał się przecież na prowadzeniu śledztwa. Nigdy nie miał do czynienia z podobnymi sprawami. Kilka powieści kryminalnych... to wszystko, co wiedział z tego zakresu. Wjaki sposób mógł dopomóc milicji? Im dłużej zastanawiał się nad tym zagadnieniem, tym większe ogarniało go zwątpienie. W powieści kryminalnej czy w filmie te rzeczy są prawdopodobne. Wszystko tak się jakoś układa, że bohater, choćby nawet nie zawodowy detektyw, może wpaść na trop zbrodniarza, ale w życiu... W życiu to zupełnie inaczej wygląda...

Nie dawał jednak za wygraną. Błądząc po ulicach, usiłował stworzyć sobie obraz zbrodni. Morderca zwabił Krzysztofa do tego mieszkania na Kaniowskiej i tam go zabił. No dobrze... ale co zrobił z ciałem? Przecież nikt nie znalazł ciała Krzysztofa. Wtedy w nocy drzwi od mieszkania były otwarte i Krzysztof już nie żył. Dlaczego drzwi były otwarte? Zapewne zbrodniarz wybiegł, aby poczynić jakieś przygotowania związane z uprzątnięciem trupa. Albo wywiózł zwłoki gdzieś za miasto, albo zakopał je w ogrodzie. W ogrodzie? To byłoby zbyt ryzykowne. Kopać grób? Na to trzeba czasu. W każdej chwili mógł ktoś nadejść. Istniała jednak jeszcze jedna ewentualność. Morderca mógł zakopać trupa w piwnicy. Tak, to było najbardziej prawdopodobne.

W piwnicy mógł spokojnie wykopać grób. Oczywiście jeżeli piwnica nie miała betonowej podłogi. Ale to wątpliwe. W takiej willi w ogrodzie na pewno w piwnicy była tylko ubita glina. A gdyby tak zbadać tę sprawę? Gdyby przekonać się, czy w piwnicy nie zakopano zwłok Krzysztofa? Trzeba by pójść tam w nocy. To nie było łatwe zadanie. Piwnica pewnie jest zamknięta. Trzeba by dorobić klucz. A poza tym... nawet gdyby dostał się do piwnicy, to jak się później zorientować, gdzie szukać, gdzie kopać? Czy to w ogóle miało jakiś sens? A jeżeli chce się zrehabilitować w oczach milicji, to musi czegoś dokazać, czegoś

ważnego. Znalezienie zwłok Krzysztofa byłoby nie byle jakim sukcesem.

Chłodny wiatr zaczął śniegiem. Maurycy zmarzł i wstąpił na Nowym Świecie do małej kawiarenki, żeby napić się gorącej herbaty. Ciągle miał przed oczami dom na Kaniowskiej. Zaczął na zimno rozważać całą tę sprawę. W końcu doszedł do przekonania, że to nie było takie bardzo trudne. Weźmie latarkę, łopatę. Nikt przecież w nocy nie kręci się po piwnicy. Chodzi tylko o to, żeby się tam jakoś dostać. Miał u siebie trochę narzędzi. Przypomniawszy sobie, że w skrzynce ze starym żelastwem było sporo różnych kluczy. Zabierze to wszystko. Jakoś sobie poradzi.

Postanowił wyruszyć około drugiej w nocy. Na razie więc poszedł do domu, zjadł kolację i położył się spać. Chciał wypocząć przed tą wyprawą.

Perspektywa szukania trupów po piwnicach nie usposabia do pogrążenia się w beztróskim śnie. Nawet najodważniejszy człowiek o materialistycznym światopoglądzie wobec nieboszczyków zawsze czuje się trochę niepewnie, nie mówiąc oczywiście o zawodowych grabarzach.

Maurycy przez dłuższy czas przewracał się z boku na bok, aż wreszcie zrezygnował ze snu. Zapalił światło. Wstał i wziął z półki Tristana i Izoldę. Była to jego ulubiona książka.

Tym razem jednak nie mógł skupić uwagi nad dziejami romantycznych kochanków. Co chwilę gubił wątek, nie rozumiał, co czyta. Z zadrukowanych kartek spoglądała na niego blada twarz Krzysztofa.

O pierwszej ubrał się, ze skrzyni z rupieciami wyjął krótki żelazny łom, kilka zardzewiałych kluczy i kawałek wosku. Nie miał łopaty. Pomyślał chwilę. Wziął szufelkę do węgla, umył ją starannie i wsunął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Następnie zgasił światło. Wyszedł na palcach, zamykając ostrożnie drzwi za sobą. Po schodach schodził bardzo wolno. Próbował nogą każdy niemal stopień, zanim oparł się na nim całym ciężarem ciała.

Miasto spało. Milczące domy, poprzecinane czarnymi kwadratami szyb. Puste, wymarłe ulice miały w sobie coś

cementarnego.

Od mostu Poniatowskiego słychać było dudnienie nocnego tramwaju.

Nie miał ochoty stać na przystanku. Poszedł piechotą. Dopiero na Marszałkowskiej wsiadł w piętnastkę. Senny konduktor długo grzebał w torbie, zanim znalazł resztę z pięciu złotych.

Szufelka podejrzanie wypychała kieszeń jesionki. Maurycemu wydawało się, że zwraca to uwagę ludzi jadących tramwajem. Przeszedł na przednią platformę i stanął za plecami motorniczego. Parę razy wyjmował z marynarki latarkę elektryczną i sprawdzał, czy dobrze działa.

Wysiadł na placu Inwalidów. Właściwie dopiero wtedy zdał sobie sprawę ze swego przedsięwzięcia. Ogarnął go niepokój. Czy to w ogóle miało jakiś sens? Czy nie daje się ponieść fantazji? Dlaczego zwłoki Krzysztofa miały być zakopane w piwnicy tego domu? Nie ma przecież na to żadnych danych. To jest tylko przypuszczenie. Jeżeli nawet uda mu się dostać do piwnicy, to co dalej? Gdzie szukać? Nie może przecież odbijać wszystkich piwnic. W tym domu zapewne mieszka parę rodzin. Czy ktoś z lokatorów nie posłyszeli jakichś podejrzanych szmerów i nie zejdzie na dół do piwnicy? Jeszcze by tego brakowało, żeby go zatrzymano jako zwykłego złodzieja. Może lepiej zrezygnować?

Zwolnił kroku i włókł się ociężale, nie mogąc się zdecydować. Nasuwały mu się coraz to nowe wątpliwości. Przecież milicja także na pewno bierze pod uwagę tę możliwość, że morderca zakopał ciało w piwnicy. Jeżeli nie szukają, to znaczy, że mają po temu jakieś ważne powody. Może na razie nie chcą się zdradzić z tym, że wiedzą o śmierci Krzysztofa. Czy nie pokrzyżuje im planów i zamiast dopomóc w prowadzeniu śledztwa, czy nie zawikła sprawyjeszcze bardziej? No dobrze... ale jeżeli nic nie przedsięwzięmie i będzie tylko biernie czekał na to, co się stanie, to wsadzą go do więzienia. W tej piwnicy będzie pierwszy, przed milicją. Może uda mu się wpaść na jakiś ślad, który... Trzeba działać... Nie po to przecież przyjechał tutaj w nocy, żeby wracać bez niczego. Musi się

przekonać. Musi spróbować...

Ruszył szybciej. Niebawem znalazł się na Kaniowskiej. Z rzadka rozsiane latarnie słabo oświetlały ulicę.

Doszedł do żelaznych sztachet, przystanął i uważnie rozejrzał się dokoła. Nikogo. Nasłuchiwał chwilę i pchnął furtkę. Nie była zamknięta. Żadne okno nie błyszczało światłem. Biegiem przebył przestrzeń dzielącą go od domu. Zatrzymał się i znowu słuchał. Nikt nie szedł ulicą.

Kilka kamiennych schodów prowadziło w głąb. Dopiero na samym dole były drzwi, mocno okute drzwi z grubych, dębowych desek. Maurycy zmacał dużą, ciężką kłódkę i wyjął latarkę. Ostonił dłonią światło. Badał skobel. Nagle wydało mu się, że słyszyjakiś głos. Błyskawicznie zgasił latarkę i przywarł do ściany. Czuł, jak pot długimi strugami spływa mu po twarzy. Chwilę stał bez ruchu. Słuchał. Cisza była zupełna.

- Zdawało mi się - mruknął - i wrócił do kłódki. Nie zapalając latarki, wyjął z kieszeni łom i wsunął go w skobel. Nacisnął. Zaskrzypiały dębowe deski.

Skobeljakby się poruszył. Maurycy szarpnął mocniej. Teraz poczuł zupełnie wyraźnie, że żelazo wychodzi z drzewa. Widocznie drzwi byłyjuż trochę zmurzałe albo skobel nie został zagięty z tamtej strony. Jeszcze kilka takich szarpnięć i wejście do piwnicy stało otworem.

Blask latarki oświetlił wąski korytarz.

Piwnica była nieduża, podzielona na trzy części. W dwóch znajdował się koks, drzewo na rozpałkę i kartofle, trzecie zaś pomieszczenie spełniało rolę rupieciarni. Puste skrzynie, kawałki desek, połamane krzesła, dziurawe garnki, zniszczony piecyk elektryczny, stara balia, wyżymaczka i masę najróżnorodniejszych niepotrzebnych gratów.

Maurycy pomyślał chwilę. Musiał wczuć się w sytuację mordercy. Gdzie by on najego miejscu zakopał zwłoki? Chyba tylko w tej rupieciarni. Usuwać koks i kartofle z piwnicy to było zupełnie niemożliwe. A może wtedy jeszcze nie było tu koksu?

Zdecydował się. Zaczął systematycznie wynosić graty na korytarz. Pracował blisko godzinę. Wreszcie uprzątnął piwnicę, wyjął z płaszcza szufelkę i zabrał się do badania gruntu. Od

razu zauważył, że pod ścianą szufla łatwo wchodzi w ziemię. Drżąc z podniecenia, mocniej ścisnął w rękę szuflę i kopał. Po jakimś czasie poczuł wydobywający się z ziemi trupi zaduch. Więc jednak to prawda. Przeczucie go nie omyliło. Tuż pod nim leży trup, trup Krzysztofa. A jeżeli to nie Krzysztof? Może to jeszcze ktoś z powstania? Nie, nie, to niemożliwe... Ziemia niedawno była tu poruszona. Trupi zaduch jest mocny. To nie może być ciało sprzed kilkunastu lat. Co robić? Czy kopać dalej? Wykopie trupa i co? Należało się nad tym poważnie zastanowić. Czy na razie nie wystarczy mu tylko stwierdzenie faktu, że w piwnicy zakopał ktoś zwłoki? Co do tego, że to są zwłoki Krzysztofa, nie ma chyba wątpliwości.

Maurycy zasypał ziemią wykopany dół i pośpiesznie zaczął znosić graty na swoje miejsce. Był zlany potem, a w głowie czuł dotkliwy chłód, jakby mu ktoś pod czaszką umieścił kawał lodu. Zacisnął zęby i pracował systematycznie i uważnie. Starał się tak wszystko poukładać, żeby nikt nie mógł się domyślić jego nocnej wizyty. Wreszcie skończył. Oświetlił raz jeszcze latarką całą piwnicę i doszedł do przekonania, że może wracać. Teraz następowała najniebezpieczniejsza chwila. Trzeba było wbić skobel wraz z kłódką. Nie można było tego zrobić cicho.

Ostrożnie zamknął drzwi piwnicy i sięgnął do kieszeni. Skobel wyśliznął mu się z palców i upadł. Maurycy zapalił latarkę i schylił się. Gdy podnosił skobel, dotknął dłonią czegoś twardego. Podłużny kamień czy kawałek drzewa. Przyjrzał się temu czemuś uważnie i gwizdnął cicho. Nie był to ani kamień, ani patyk. Był to kawałek rogu.

Spał tylko trzy godziny. Obudził się z uczuciem, że stało się coś bardzo ważnego. Usiadł na łóżku i przysunął krzesło, na którym wisiało ubranie. Chciał się upewnić, czy wszystko to nie było snem. Sięgnął do kieszeni marynarki. W zamyśleniu wpatrywał się w odłamek rogu, który kiedyś ozdobił głowę kozła kapitalnego. Bez trudu powiązał fakty w logiczną całość. Morderca Krzysztofa postanowił zakopać ciało w piwnicy. Próbował podważyć skobel rogami. Koniec jednej odnogi odłamał się, a może nawet całe rogi oderwały się od drewnianej tarczy. Pamiętał tę tarczę. Była pięknie rzeźbiona w dębowe

liście. Trzeba było oddać rogi gdzieś do naprawy. To dlatego nie zobaczył już ich wtedy na ścianie. Czyżby Krzysztofa zabiła ta kobieta? To było mało prawdopodobne. Pchnąć nożem, wykopać grób, znieść ciało do piwnicy, na to trzeba siły i dużo zimnej krwi. Wątpliwe, żeby tego wszystkiego mogła dokonać kobieta. A poza tym przecież nie potrzebowałyby wyłamywać drzwi od piwnicy. Mordercą musiał być jakiś jej znajomy, któremu ona na tę noc odstąpiła swoje mieszkanie. Nie mógł jej oczywiście prosić o klucze od piwnicy. To wydałoby się zbyt podejrzane. Musiał sobie jakoś inaczej poradzić. Dlatego teraz tak łatwo poszło z tym skoblem.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. Umówił się na wykładach ze Staszkiem, ale nie miał zamiaru pójść.

Wstał, starannie się ogolił i włożył odświętne ubranie. Chciał się elegancko prezentować. Następnie nakarmił kanarki i przyrządził sobie śniadanie. Przez cały czas rozmyślał nad tym, gdzie morderca Krzysztofa mógł oddać do naprawy rogi. Może w którymś sklepie z przyborami myśliwskimi będą coś wiedzieli, kto w Warszawie zajmuje się takimi rzeczami. Musiał zaczekać do jedenastej.

Wyszedł o dziesiątej. Nie mógł usiedzieć w domu. Czuł wzrastające z każdą chwilą zdenerwowanie. Ogarnęła go gorączka śledcza. Wyobrażał sobie zdumienie tych milicjantów, kiedy zdemaskuje zbrodniarza. Teraz wierzył, że jest to możliwe. Wpadł na bardzo poważny ślad. Zaraz jednak zrodziła się wątpliwość. A jeżeli ten człowiek w ogóle nie oddał rogów do naprawy? Jeżeli je po prostu gdzieś wyrzucił? Byłoby to możliwe w wypadku, gdyby działał w porozumieniu z tą kobietą. Jeśli jednak ona o niczym nie wiedziała, to musiał jakoś usprawiedliwić połamanie rogów i oddać je do naprawy. To wydawało się logiczne. Zbiegł szybko ze schodów i podniósł kołnierz jesionki.

Zimny wiatr dął od Wisły. Niebo było melancholijnie szare. Przechodnie rozmazywali na chodnikach resztki mokrego śniegu, który spadł w nocy.

Maurycy wolno ruszył Tamką pod górę. Miał dużo czasu. Chciał się przejść. Głęboko wciągnął w płuca chłodne

powietrze. Usiłował uspokoić rozdygotane nerwy.

Wiedział, że musi być teraz opanowany, że zimna krew i przytomność umysłu zadecydują o powodzeniu.

Na Nowym Świecie zatrzymał się przed jakimś sklepem. Dłuższą chwilę przyglądał się wystawie, ale nie widział nic. Dopiero gdy odchodził, ujrzał w szybie swą bladą, zmęczoną twarz. Żeby skrócić oczekiwanie, wstąpił do baru mlecznego i wypił kubek gorącego mleka. To był dobry pomysł. Poczul przyjemne ciepło rozchodzące się po całym ciele.

Dziesięć po jedenastej wszedł do sklepu z bronią myśliwską.

Smutny brunet niechętnie potrząsnął głową. Nie wiedział, kto naprawia rogi jelenie. Radził zwrócić się do Związku Łowieckiego.

Maurycy zdziwił się, że jemu samemu nie przyszło to do głowy. Oczywiście... w Związku Łowieckim będą go mogli na pewno poinformować.

Starszy szpakowaty pan nie spieszył się. Wskazał uprzejmie krzesło i powiedział:

- Proszę, niech pan będzie łaskaw spocząć. Więc chodzi panu o kogoś, kto zajmuje się reperacją rogów, czyli o tak zwanego preparatora? - Zgasił starannie papierosa w metalowej popielniczce i zamyślił się.

Maurycy poruszył się niecierpliwie.

- Tak. Właśnie chciałem pana uprzejmie prosić o informację.

- Czy chodzi panu o rogi jelenie czy koźle?

- Koźle.

- Czy pan jest myśliwym?

- Nie. Mój ojciec jest myśliwym. -Uhm.

Zadzwoił telefon. Szpakowaty pan uśmiechnął się usprawiedliwiająco i podniósł słuchawkę. Dłuższą chwilę rozmawiał z jakąś Marylką, która najwidoczniej nie lubiła się streszczać. Maurycy czynił nadludzkie wysiłki, aby spokojnie siedzieć na krześle. Zacisnął pięści. Wreszcie słuchawka powróciła na swoje miejsce. Uprzejmy pan rozłożył bezradnie ręce.

- Bardzo przepraszam, ale jak kobiety zaczną opowiadać o

swoich kłopotach... Ale o czym żeśmy to mówili? Aha, panu chodzi o adres preparatora?

- Tak, tak. Bardzo proszę.

- No więc cóż. Takich specjalistów nie ma w Warszawie wielu. Właściwie ja wiem o dwóch. Jeden mieszka na Hożej, a drugi na Krakowskim Przedmieściu. Ten na Krakowskim Przedmieściu jest poważnym fachowcem. Radziłbym panu udać się do niego.

Maurycy zapisał adresy, podziękował za informacje i wybiegł z lokalu Związku Łowieckiego.

Nie zwlekając, poszedł na Krakowskie Przedmieście.

Drzwi otworzyła mu pulchna, sympatyczna blondynka o dużych niebieskich oczach.

- Mąż chory - powiedziała.

Maurycy wśliznął się zrećnie do przedpokoju.

- Pewnie grypa - uśmiechnął się współczująco. - Wszyscy teraz chorują na grypę. Aleja tylko na chwileczkę.

- Mąż chory - powtórzyła blondynka i stanęła w bojowej postawie. Widocznie postanowiła bronić zboląłego małżonka przed niespodziewaną agresją.

- A co tam? - odezwał się z głębi mieszkania schrypnięty baryton.

- Jakiś pan do ciebie. Mówię, że jesteś chory.

W przedpokoju ukazał się wysoki brunet. Miał na sobie stary, wytarty szlafrok i gruby wełniany szal, który szczelnie zakrywał mu szyję. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest bardzo zakatarzony.

- Pan do mnie? Maurycy skłonił się.

- Najmocniej pana przepraszam za to niespodziewane najście, ale mam do pana pewną prośbę. Pan pozwoli, że się przedstawię.

Uścisnęli sobie dłonie i mąż blondynki powiedział grobowym głosem:

- Wojdałowicz.

Weszli do pokoju, w którym stał okrągły stół, tapczan, kredens i telewizor. Na ścianach wisiały rogi koźle i jelenie.

- Proszę, niech pan siada. Czym mogę panu służyć?

Maurycy odchrząknął.

- Widzi pan... jest taka sprawa. Ja piszę pracę naukową i potrzebuję do niej ilustracji. Chodzi o piękne okazy rogów jelenich, a przede wszystkim o rogi kozłów kapitałnych. Dlatego też zwróciłem się do pana, aby...

Wojdałowicz kichnął potężnie i wyjął z kieszeni szlafroka dużą granatową chustkę. Maurycy czuł, jak ze wszystkich stron atakują go wirusy grypy.

- ...dlatego właśnie chciałem pana prosić...

- No dobrze... ale co właściwie mogę pomóc? Nie bardzo rozumiem.

Maurycy pomyślał, że tak zakatarzony człowiek rzeczywiście niewiele może rozumieć. Nie dawał jednak za wygraną.

- Chodzi o to, żeby mi pan pozwolił sfotografować rogi kozła kapitałnego, jeżeli pan oczywiście ma takie w danym momencie. Ewentualnie mógłby mi pan dać adresy właścicieli takich rogów. Wojdałowicz wytarł nos i westchnął.

- Kozioł kapitałny? No tak, oczywiście. Mam u siebie bardzo piękne rogi. Już dawno dostałem je do naprawy. Klient nie odbiera. Będę nawet musiał do niego napisać. Przecież nie mogę u siebie w mieszkaniu robić składu rogów. A ludzie to tak, dadzą do naprawy, a później nie odbierają.

- Czy mógłbym zobaczyć?

- Dlaczegoż by nie?

Wojdałowicz poczłapał do drugiego pokoju i po chwili wrócił, niosąc rogi.

Maurycy z trudem poruszył grdyką. Nie mógł przełknąć śliny. To były te same rogi, rogi kozła kapitałnego, oprawne na dużej tarczy pięknie rzeźbionej w dębowe liście. Dopiero po chwili powiedział:

- Czy pozwoli mi pan sfotografować te rogi?

- Sfotografować? Nie. Na to musiałby się zgodzić właściciel.

- To może mi pan podać nazwisko i adres właściciela. Poproszę go o pozwolenie. Wojdałowicz pokiwał głową.

- Tak to co innego. Zaraz panu powiem. Chwileczkę. -Wyjął z kredensu gruby zniszczony zeszyt i zaczął przewracać zapisane kartki.

ROZDZIAŁ XVIII

- Przyszli do pani jacyś dwaj panowie.
- Dwaj panowie? Czego chcą? Julcia wzruszyła ramionami.
- A bo ja tam wiem? Mówią, że chcą się widzieć z panią.
- Poproś ich do gabinetu. Zaraz przyjdę.

Spojrzała w lustro i poprawiła włosy. Delikatnie przesunęła szminką po wargach. Była trochę niespokojna. Nie wiedziała, co oznacza wizyta dwóch panów. Pewnie znowu z jakiegoś urzędu. A może ktoś z Politechniki? Czego oni znowu mogą chcieć? Była już zmęczona tym wszystkim. Tęskniła do normalnego, spokojnego życia. Obciągnęła suknię i weszła do gabinetu. Spojrzała pytająco.

- Panowie do mnie? Walczak uśmiechnął się.
- Przepraszamy za to niespodziewane najście. Zdaje się, że pani nas sobie nie przypomina?
- Bardzo mi przykro, ale rzeczywiście.
- Poznaliśmy się w Koronowie. Właśnie tego wieczora zepsuł nam się samochód.
- Ach tak, tak, prawda. Oczywiście. Przypominam sobie. Panowie są z milicji.
- Tak.
- Przepraszam, że panów nie poznałam od razu, ale...
- To zupełnie zrozumiałe - powiedział Walczak. - Tyle ciężkich chwil pani przeżyła, że...

Profesorowa Kozieska podniosła chusteczkę do suchych oczu.

- Proszę, niechżeż panowie zechcą spocząć. Czym mogę służyć?

Walczak nerwowym ruchem zatarł ręce. Czuł się trochę nieswojo.

- Przede wszystkim chciałbym prosić, żeby pani profesorowa nie czuła się dotknięta naszą wizytą. Proszę zrozumieć, że spełniamy tylko nasz obowiązek. Wiem, że to się może wydać pani rzeczą przykrą...

Ściągnęła brwi. Patrzyła na niego zaniepokojona.

- Przeraza mnie pan, panie kapitanie. O co właściwie chodzi? -Jesteśmy zmuszeni dokonać w pani mieszkaniu częściowej

rewizji. Mamy nakaz prokuratora. - Walczak szybko sięgnął do kieszeni i położył na biurku urzędowy papier. Profesorowa Kozieska była zaskoczona.

- Rewizja? U mnie w domu? Co to ma znaczyć? To chyba jakieś nieporozumienie?

- To nie jest, proszę pani, nieporozumienie - uśmiechnął się łagodząco Walczak. -Chodzi o to, że śmierć pana profesora Kozieskiego łączy się w pewien sposób z innymi sprawami... To znaczy... może się źle wyraziłem... Nie łączy się właściwie, tylko... Po prostu ten niespodziewany wypadek zastanowił prokuratora. Chcemy bliżej zbadać przyczynę tego, co się stało. Proszę nam nie mieć za złe. To tylko zwykła formalność. Przypuszczam, że poszukiwania nasze ograniczymy do gabinetu profesora. Zdaje się, że właśnie w nim się w tej chwili znajdujemy.

- Tak. To jest gabinet mego nieboszczyka męża.

- Więc jeśli pani pozwoli...

- No cóż... jeżeli macie panowie nakaz z prokuratury, to ja tu nic nie mam do powiedzenia. - Głos pani Kozieskiej był nabrzmiały z trudem hamowaną irytacją. -Czyja muszę być przy tym obecna?

- Oczywiście. Chcielibyśmy panią prosić o klucze od biurka. Czy ktoś już coś ruszał w biurku?

- Nie. Nie miałam czasu zajmować się porządkami.

- To doskonale.

Pół godziny pracowali w zupełnym milczeniu. Downar ułożył książki na podłodze i uważnie obejrzał półki. Zadzwoił telefon. Pani Kozieska wyszła do przedpokoju. Walczak podniósł głowę znad sterty papierów.

- Znalazłeś coś?

- Tak jak przypuszczałeś. Zobacz.

Walczak był za niski. Musiał wejść na krzesło. Przez chwilę patrzył na niewyraźny ślad kółka odcisnięty w kurzu.

- To całe szczęście, że tutejsza gospośnia nie sprząta zbyt

dokładnie. Zmierzyłeś średnicę?

Downar otrzepał zakurzone dłonie.

- Tak. A ty znalazłeś coś?
- Znalazłem. I to nawet dość ciekawe rzeczy.
- Mianowicie?
- Spójrz na ten list. Znasz francuski?
- O tyle o ile.
- No to czytaj.

„Drogi Kuzynie. Ucieszyła mnie wiadomość, że wybierasz się na dłuższy pobyt do Paryża. Mam nadzieję, że sprawa ta została już definitywnie załatwiona i że za kilka tygodni zobaczymy się. Lojalnie muszę cię jednak uprzedzić, że o jakkolwiek pracę tutaj jest bardzo trudno i nawet tobie nie byłoby łatwo się urządzić. Ja, niestety, nie znajduję się w takiej sytuacji, żebym mógł ci zapewnić pomoc. Gdybyś rozporządzał pewnym kapitałem, to oczywiście sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Może w czasie twej pracy tutaj uda ci się odłożyć pewną sumę, która by pozwoliła zorganizować jakiś samodzielny interes. Chętnie wezmę w tym udział i dopomogę ci. Myślę, że najlepiej byłoby zająć się produkcją przemysłową, która miałaby związek z twoją specjalnością. Czekam wiadomości o twoim przyjeździe i ściskam cię bardzo serdecznie. Twój Emil.”

Downar skończył czytać i położył list na brzegu biurka.

- Co o tym sądzisz?
- Sądzę - powiedział Walczak, pocierając sobie w zamyśleniu kark. - Sądzę, że jest to bardzo interesujący list. Znalazłem także i to.
- Pokwitowanie na przekaz pocztowy?
- Właśnie. Zobacz do kogo pan profesor Kozieski wysłał w swoim czasie aż dwa tysiące złotych.
- Radoń! - wykrzyknął Downar. - Wiktor Radoń! To musi być ten sam facet.
- Niewątpliwie. Trudno przypuścić, żeby było w Warszawie dwóch Wiktorów Radoniów.

Downar aż usiadł z wrażenia.

- Ale co u licha mógł mieć wspólnego profesor Kozieski z

takim bandziorem?

- Hm - mruknął Walczak. - To właśnie chciałbym wiedzieć.
- Dwa tysiące to sporo forsy.
- Sporo. Zresztą to zależy jak dla kogo.
- Tego Radonia trzeba wydostać choćby spod ziemi.
- Spod ziemi będziemy wydostawać Krzysztofa Wajcherta.

Radonia odnajdziemy jakimś łatwiejszym sposobem. Nie sądzę, żeby zwiął gdzieś bardzo daleko. Założę się, że zadekował się u jakiejś babki. Podobno to facet z powodzeniem u kobiet.

Downar wstał i w zamyśleniu spojrzął na rozrzucone na podłodze książki.

- To zastanawiające, że zniknięcie Radonia zbiegło się ze śmiercią profesora Kozieskiego. Musiał podejrzewać, że Kozieski popełnił samobójstwo i że dochodzenie w tej sprawie może zahaczyć o niego. Dlatego zwiął. Szantaż? Co o tym myślisz?

- To bardzo prawdopodobne - powiedział Walczak. - Bardzo prawdopodobne. Radoń znał jakąś tajemnicę z życia profesora Kozieskiego i szantażował go. Kozieski chciał się urządzić za granicą, żeby się pozbyć zmory tego szantażu. Ten wyjazd jednak jakoś mu się widocznie nie udał. Żył w ciągłym strachu przed tym oprychem i wreszcie załamał się, nie wytrzymał nerwowo. Chociaż nie... Czekać... czekać. Przecież pamiętasz, że wtedy w Koronowie oni oglądali te obrazy? My przyjechaliśmy niespodziewanie i wtedy Kozieski... Stefan, układaj zaraz te książki! Jedziemy do Koronowa!

- Może byś dokończył swoje rozumowanie? Walczak machnął niecierpliwie ręką.

- Później, później. Dawaj, układamy na miejsce książki.

- Czy chcesz, żebym zaraz sprawdził w Politechnice rozmiar słoików z cyjankiem potasu?

- Daj sobie na razie z tym spokój. Jestem pewny, że za książkami stał słoik z cyjankiem potasu. Sprawdzisz to później.

- Sądzisz, że profesor Kozieski... Bo przecież... jeżeli ten kanarek się otruł...

Walczak potrząsnął głową.

- Nie, nie sędzę, żeby profesor Koziński rozsypał cyjanek potasu na półce z książkami. Chemik, nawet w największym zdenerwowaniu, ostrożnie obchodzi się z tego rodzaju truciznami. Ze słoika musiał przesypywać cyjanek potasu ktoś niefachowy. Usypał trochę tego białego proszku do pudełka czy do torebki, żeby...

- Żeby otruć Krzysztofa Wajcherta - uzupełnił Downar.

- Tak. Właśnie w tym celu. Wajchert jednak nie chciał dla jakichś nieznanych nam powodów wypić zatrutego wina. Dlatego tamten postanowił go wykończyć w domu na Kaniowskiej.

- Zakładasz, że to był mężczyzna?

- Raczej tak. No wiesz... dźgnąć z przodu chłopaka nożem... uprzątnąć zwłoki...

- Otóż to, musiał uprzątnąć zwłoki. Co on z nimi zrobił?

- Być może, że po prostu zakopał w piwnicy.

- Warto by zajrzeć do tej piwnicy na Kaniowskiej.

- Cierpliwości. I na to przyjdzie czas. Pamiętaj, że ciągle jeszcze wierzymy oficjalnie w to, że Krzysztof Wajchert żyje i jest w Paryżu.

Skończyli układać książki i Downar zapalił papierosa.

- Cholera, dosyć mam już tego bibliotekarstwa. Możesz teraz porozmawiać z panią profesorową.

- Warto by się trochę umyć - zauważył Walczak, patrząc na swe zakurzone ręce.

Poszli do łazienki. Julcia przyglądała im się bardzo podejrzliwie. Downar miał ochotę uszczypnąć ją w czerwony policzek.

- Proszę powiedzieć pani, że chcemy z nią porozmawiać. Kiedy wrócili, zastali już w gabinecie profesorową. Miała obrażoną minę. Patrzyła na milicjantów z wyraźną niechęcią.

- Czy pani zna niejakiego Wiktora Radonia? - spytał bez żadnych wstępów Walczak.

- Nie znam.

- A czy słyszała pani kiedyś to nazwisko?

-Nie.

- Mąż pani nigdy nie wspominał o Radoniu? -Nie.

- Czy pan profesor nosił się z zamiarem wyjazdu za granicę?
- Tak. Miał wyjechać na placówkę do Paryża. Wszyscy mieliśmy z nim wyjechać.

- I dlaczego do tego nie doszło?

- Nie wiem. Coś się tam zmieniło w Ministerstwie.

- Czy mąż pani miał w Paryżu jakichś krewnych?

- O ile wiem, to mieszka w Paryżu kuzyn mego męża. Nie utrzymywaliśmy z nim jednak żadnych stosunków.

-Jak się nazywa ten kuzyn?

- Emil Kenert.

- Nie wie pani przypadkiem, czym się zajmuje pan Emil Kenert?

- O ile się orientuję, to prowadzi do spółki z kimś antykwariat. Ale może mi pan powie, panie kapitanie, czy to ma być przesłuchanie?

Walczak uśmiechnął się łagodnie.

- Proszę się tym wszystkim tak bardzo nie przejmować, pani profesorowo. Mogłem oczywiście przysłać pani oficjalne wezwanie do komendy, ale sądziłem, że to niepotrzebne. Wystarczy przecież krótka rozmowa o charakterze towarzyskim. Nie chciałem pani fatygować.

Pani Kozieska przygryzła wargi.

- Rozumiem. Niech pan pyta.

-Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, co robił pan profesor w czasie wojny.

Spojrzała zdziwiona.

- W czasie wojny? Mąż mój był w obozie, w Dachau.

- Uhm. Czy przez cały czas wojny mąż pani był w Dachau? Upuściła chusteczkę i schyliła się, żeby ją podnieść. Walczak miał wrażenie, że chciała uniknąć jego wzroku.

- Nie. Mąż mój był w obozie w Dachau tylko do czterdziestego drugiego roku.

- A potem?

- Potem wywieziono go w głąb Niemiec.

- Gdzie?

- Nie wiem dokładnie. Mąż niechętnie mówił o tych czasach. Nie wypytywałam go. Nie chciałam mu robić przykrości.

Była widocznie zmieszana. Walczak przyglądał jej się ciekawie.

- Czy pani pozwoli zapalić?
- Oczywiście. Proszę bardzo.

Wyjął papierośnicę i wyciągnął do Downara rękę po zapalki. Zaciągnął się dymem. Spojrzał w okno, jakby się zastanawiając nad następnym pytaniem.

- W nocy z dnia piętnastego na szesnastego listopada zeszłego roku nocował u państwa kolega pani córki, student Politechniki, Maurycy Łosiński.

Skinęła głową.

- Tak. Przypominam sobie.

- Czy państwo przez cały wieczór byli wtedy w domu?

- O ile pamiętam, to nie. Wydaje mi się, że wtedy byliśmy na brydżu u inżynierostwa Wajchertów.

- Czy oprócz państwa był jeszcze ktoś u Wajchertów?

- Profesor Zelman z Koronowa.

- To już upłynęło parę miesięcy. Pani ma znakomitą pamięć. A może owego wieczora zdarzyło się coś takiego, co pomogło utrwalić w pamięci...?

- Nie bardzo pana rozumiem.

Walczak zgasił papierosa, splótł dłonie i wywołał na twarz ten swój dobrotliwy, księżowski uśmiech.

- Jeżeli pani tak dobrze pamięta tamten wieczór, to chciałbym jeszcze zapytać, czy państwo razem poszli na tego brydża. Czy może pan profesor przyszedł do inżynierostwa Wajchertów później?

Kozieska spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Przyznaję, że jestem trochę zaskoczona tym pytaniem. Doprawdy nie rozumiem, skąd pan to może wiedzieć. Rzeczywiście poszłam do Wajchertów sama, a mąż mój przyszedł chyba z godzinnym spóźnieniem. Nawet posprzeczaaliśmy się o to.

- Ach, to dlatego pani tak dobrze pamięta. I jeszcze jedno. Czy jak pani wychodziła do Wajchertów, to córka pani, Teresa, była w domu?

- Chyba nie... Nie, nie, nie było nikogo w domu, kiedy

wychodziłam. Został tylko mój mąż. Powiedział, że musi coś jeszcze bardzo pilnego napisać. Już dobrze nie pamiętam.

- Więc zostawiła pani męża w domu zupełnie samego? -Tak.

- I gosposi także nie było?

- Nie. Wydaje mi się, że nie... Tak, tak, na pewno, Teraz sobie przypominam. Julcia poszła na jakieś imieniny. Nawet mój mąż był z tego powodu niezadowolony. Walczak w zamyśleniu wpatrywał się w czubki swych butów. Siedział na brzegu krzesła w dość niewygodnej pozycji i mogło się zdawać, że nagle stracił wątek myśli i nie wie już, o co ma pytać.

- Czy córka pani jest w domu?

- Nie. Poszła na wykłady.

- Trudno. Porozmawiamy z nią przy jakiejś innej okazji. Pani Kozieska poruszyła się nerwowo.

- Czy panowie nie mogliby zostawić w spokoju mojej córki? Doprawdy nie chciałabym, żebyją mieszać w to wszystko. To takie przykre.

Walczak skinął głową.

- Proszę mi wierzyć, pani profesorowo, że nie zrobię nic ponad to, co będzie niezbędne. - Zwrócił się do Downara. - Czy może chciałbyś poruszyć jakąś sprawę?

- Chciałbym tylko zapytać - powiedział Downar - czy ktoś ze znajomych państwa nie mieszka na Żoliborzu? Konkretnie na Kaniowskiej.

- Nie. Nikt z naszych znajomych nie mieszka na Kaniowskiej.

Downar nie odpowiedział. Spojrzał na przyjaciela.

- Myślę, że nie będziemy zabierali więcej czasu pani profesorowej.

Walczak poderwał się skwapliwie.

- Oczywiście. I tak już nadużyliśmy pani uprzejmości. Proszę nam wybaczyć. Kozieska wyprowadziła ich do przedpokoju. Tak była rada, że wychodzą, iż zdobyła się nawet na uprzejmy, pożegnalny uśmiech. Na ulicy Downar powiedział:

-Jedziemy do Koronowa.

- Tak. I to jak najprędzej.

- To dlatego wzięłeś tego willysa? Masz zamiar jeździć po lesie?

-Jakbyś zgadł. Mam zamiar jeździć po lesie - powiedział Walczak i wsiadł do wozu.

- Dokąd jedziemy? - spytał Sikora.

- Do Koronowa. Jak wyjedziemy z miasta, dodajcie gazu. Tam jest spory kawał dobrej szosy.

Ruszyli. Downar okrył się szczelniej płaszczem. Siedział milcząco i zamyślony. Walczak także nie zdradzał ochoty do rozmowy. Dopiero gdy wydostali się na szosę, powiedział:

- Ciągle jeszcze nie widzę mordercy.

- To prawda - przytaknął Downar. - Ciągle głowię się nad tym, kto mógł zabić młodego Wajcherta. Początkowo podejrzewałem Koniewicza, ale teraz zaczynam w to wątpić. Po tych paru przesłuchaniach zupełnie jestem zdezorientowany. Albo facet tak świetnie gra, albo to nie on zamordował. A co myślisz o Radoniu i o tym aktorze Podj emskim?

Walczak wzruszył ramionami.

- Diabli wiedzą. Jeśli chodzi o Radonia, to wydaje mi się to mało prawdopodobne. Muszę go jak najprędzej znaleźć, żeby rozszyfrować sprawę profesora Kozieskiego, ale... żeby on mordował tego chłopaka... Jaki motyw? Zazdrość? Dziewczyna? Nie, nie... to mi jakoś nie klapuje. Musimy wziąć pod uwagę fakt, że zbrodnia została uplanowana z premedytacją. Morderca dostał od Kozieskiego cyjanek potasu.

- Może nie dostał od Kozieskiego, może sam wziął? -zauważył Downar.

- Zgoda. To jest nieistotne w tej chwili. Załóżmy, że wykradł truciznę. Musiał to być dobry znajomy Krzysztofa

Wajcherta, bo przyszedł do niego do mieszkania i poczęstował go zatrutym winem. Na wszelki jednak wypadek wynajął od Fechnerowej na tę noc mieszkanie na Żoliborzu. Chłopak nie chciał pić wina, więc tamten zawiózł go na Kaniowską i tam go wykończył.

- No, dobrze, ale dlaczego uważasz, że to nie mógł być Radoń? Przecież on znał dobrze młodego Wajcherta, a poza tym pozostawał w jakichś tajemniczych stosunkach z

profesorem Kozieskim, od którego mógł wziąć cyjanek potasu. Poza tym z tego, co wiem, to skończony bandzior.

Walczak pokiwał głową.

- To wszystko prawda. Ale widzisz... nie wydaje mi się to prawdopodobne, żeby właśnie tego rodzaju bandzior planował takie finezyjne morderstwo. Nie zapominaj o tych listach z Paryża i o telefonie do Łosińskiego. Nie widziałem na oczy tego

Radonia, ale opierając się na informacjach zebranych przez Kobięłę, mam wrażenie, że to zbyt prymitywny facet, żeby... Morderstwo w afekcie, z zazdrości posiada zupełnie inny charakter. A tutaj cała ta historia była od dłuższego czasu przygotowywana, metodycznie i precyzyjnie. Oczywiście mogę się mylić, ale...

- Załóżmy, że masz rację - powiedział Downar. - Jak wobec tego wytłumaczysz sobie nagle zniknięcie Radonia, zniknięcie, które się jakoś ściśle wiąże z całą sprawą? Walczak wyjął papierosa i poczęstował Sikorę.

- To wydaje mi się zupełnie proste. Przypuszczać należy, że Radoń szantażował profesora Kozieskiego. Kiedy dowiedział się o jego nagłej śmierci, domyślił się, że to samobójstwo i że Kozieski odebrał sobie życie z jego powodu. Bał się dochodzenia i wolał na jakiś czas zniknąć z terenu. Zauważ, że Radoń zniknął natychmiast, jak tylko zaczęto mówić w Warszawie o samobójstwie Kozieskiego.

- Rozumowanie twoje wydaje mi się zupełnie logiczne. Powiedz mi, czy wiesz już coś na temat tego tajemniczego telefonu. Przecież Łosiński twierdzi, że Krzysztof Wajchert telefonował do niego w kilka dni po morderstwie, a jak wiadomo człowiek zamordowany bardzo rzadko korzysta z telefonu.

Walczak uśmiechnął się.

- Zupełnie słuszna uwaga. Musiałeś jednak słyszeć o przyrządzie zwanym magnetofonem. Podjemski ma bzika na tym punkcie. Nagrywa prywatne rozmowy z przyjaciółmi. Przy dobrych chęciach można wybrać odpowiednie kawałki taśmy, posklejać je i nadać przez telefon.

- Więc jednak podejrzewasz Podjemskiego? Walczak zrobił

pełną powątpiewania minę.

- Bo ja wiem? I tak, i nie. Podjemski to bardzo inteligentny i sprytny człowiek.

Jestem pewien, że potrafiłby zaaranżować to wszystko. Jest w nim też coś takiego, co pozwala przypuszczać, że byłby zdolny do zbrodni. Mimo to jednak... Zresztą, wydaje mi się, że jeszcze za wcześnie konkretyzować. Wydaje mi się także, że za wcześnie chcesz wyeliminować Koniewicza. Musisz wziąć pod uwagę, że to także bardzo sprytny facet. Na pewno w czasie przesłuchania potrafi dobrze grać swoją rolę. Jeżeli zamordował Wajcherta, to będzie się starał tak prowadzić sprawę, żeby być oskarżonym wyłącznie o fałszerstwo czeków, zasłaniając się przy tym żoną Wajcherta. Uważam, że musimy go bardzo poważnie brać pod uwagę.

- Zgadzam się z tobą - powiedział Downar. - Wcale nie miałem zamiaru usuwać Koniewicza z kręgu podejrzanych. Twierdzą tylko, że przeprowadzone z nim rozmowy zachwiały moją wiarę w jego winę, która przedtem wydawała mi się nieomal bezsporna. Komplikuje jeszcze sprawę fakt, że te paryskie listy pisał naprawdę młody Wajchert. Tego już zupełnie nie rozumiem.

Walczak pokiwał głową.

- Tak. Tego nie potrafię ci na razie wyjaśnić. Zupełnie także nie rozumiem historii z tym listem, który Łosiński wiozł wtedy na Żoliborz. Dlaczego profesor Kozieski obudził w nocy chłopaka i posłał go z jakimś tajemniczym listem na Żoliborz, tego absolutnie nie jestem w stanie pojąć.

- A może Kozieski miał leciutkiego szmergla?

- Zastanawiałem się już nad taką ewentualnością. Ale słuchaj... przecież Kozieski posłał chłopaka akurat do tego domu i do tego mieszkania, w którym zamordowano Wajcherta, a potem wszystkiemu zaprzeczył i chciał zrobić wariata z Łosińskiego. To wszystko ciągle jeszcze nie trzyma się kupy. Nie, nie, nie możemy zakładać, że profesor Kozieski był pomyłony.

Downar w zamyśleniu patrzył na szosę. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Raz jeszcze spróbujmy sobie uszeregować wypadki tamtego wieczoru. A więc... gosposia Kozieskich idzie na jakieś tam imieniny, Teresy nie ma w domu. Koziescy są zaproszeni do Wajchertów na brydża. Profesor jednak wysłał naprzód żonę, tłumacząc się jakąś pilną pracą, i dopiero po godzinie przychodzi do Wajchertów. Co robił przez tę godzinę? Dlaczego wysłał żonę i sam został? Czy spodziewał się czyichś odwiedzin? A może czekał na Radonia, który zapowiedział, że przyjdzie? Ten, kto przyszedł wtedy do Kozieskiego, zapewne odsypał porcję cyjanku potasu ze słoika, przy czym rozsypał trochę białego proszku na półce z książkami, co stało się przyczyną śmierci kanarka. A teraz dalej. Co się w międzyczasie dzieje z Maurycym Łosińskim? Wraca z miasta i zastaje swą narzeczoną na tapczanie z Krzysztofem Wajchertem. Oburzony i rozżalony postanawia się wyprowadzić. Zabiera kanarki i jedzie na Saską Kępę do Kozieskich. Zastaje samą Teresę. Koziescy przychodzą późnym wieczorem. Wszyscy udają się na spoczynek. W nocy Maurycego budzą jakieś głosy. Wstaje i widzi w sąsiednim pokoju profesora Kozieskiego, rozmawiającego z jakimś chudym, wątłym mężczyzną. Czekaj... czekaj... Kto był wtedy na brydżu u Wajchertów? Koziescy i profesor Zelman z Koronowa. Do licha... profesor Zelman jest chudym, wątłym mężczyzną. Nie, nie, to niemożliwe... Co za głupstwa przychodzą mi do głowy?

- Nie denerwuj się - uspokoił go Walczak. - Wszystko jest możliwe.

- Ale dlaczegoż, u diabła, profesor Zelman miałby włączyć przez okno do mieszkania Kozieskich? To już kompletny nonsens. Po co? Przecież razem grali w brydża. Przed paroma godzinami się rozstali...

- Może to, co miał do powiedzenia Kozieskiemu, nadawało się wyłącznie do poufnej rozmowy. Zresztą najlepiej sam go o to zapytaj. Jedziemy przecież do Koronowa. A w ogóle kto ci powiedział, że to był Zelman? Mało to na świecie szczupłych, mizernych ludzi?

- Oczywiście. Nie mamy żadnych podstaw, żeby twierdzić, że to był profesor Zelman. Łosiński w swym opowiadaniu

określił owego tajemniczego osobnika jako człowieka o trupim wyglądzie, a ponieważ Zelman robi takie wrażenie, jakby go przed kilkoma dniami ekshumowano, więc po prostu skojarzyło mi się to jakoś.

- Miewasz nieraz bardzo interesujące skojarzenia - powiedział Walczak. - Ale teraz pozwól mi się chwilę zastanowić nad tym wszystkim.

Resztę drogi odbyli w zupełnym milczeniu. Downar palił papierosa za papierosem. Walczak zapadł w głęboką zadumę, z której wyrwał go dopiero głos Sikory.

- Zajedziemy do pałacu?

- Nie, nie.

Downar spojrział zdziwiony na przyjaciela.

- Gdzie ty chcesz jechać?

- Przed złożeniem wizyty w pałacu postanowiłem nawiązać kontakt z ludem - powiedział z uśmiechem Walczak. - Zainteresujemy się trochę tutejszym folklorem. Za wsią widziałem kiedyś takie rozsiane samotnie chaty. Zatrzymamy się przy którejś z nich.

Sikora skinął w milczeniu głową i zwolnił. Wjechali do wsi. Liche, kryte słomą chaty odgródzone były od drogi wałącymi się, pochylonymi płotami. Dzieci zatrzymywały się na brzegu przydrożnego rowu i ze zdumieniem przyglądały się jadącym, jakby po raz pierwszy widziały samochód.

- Ależ tu nędza - mruknął Downar.

Walczak nie podjął tego tematu, przyglądał się z zainteresowaniem staremu chłopu, który właśnie pchnął Furtkę i wszedł w ogrodzenie.

- Stańcie, Sikora.

Zgrzytnęły hamulce, Walczak wyskoczył z WOZU

- Ej, gospodarzu... gospodarzu!

Chłop odwrócił się bez pośpiechu. Spojrział jasnymi jakby wypłowiałymi oczami.

- A bo co?

- Chcielibyśmy z wami chwilę porozmawiać.

- A czegoż chcecie? - spytał podejrzliwie stary.

- Nie bójcie się. My nie z urzędu - zapewnił Walczak.

- No to chodźta do chałupy.

Izba była mroczna, zadymiona. Młoda kobieta, widocznie córka starego, rozpałała ogień na kominie. Dwoje małych dzieci bawiło się w kącie tekturowymi pudełkami.

- Niech będzie pochwalony... - powiedział Walczak, pragnąc sobie od razu zaskarbić sympatię tych ludzi.

Kobieta odgarnęła z czoła kosmyk czarnych włosów i zdziwioną twarz zwróciła ku nieznanym.

- Na wieki wieków. Stary podsunął krzesła.

- Siadajta. A ty, Zośka, zapal lampę. Ciemno.

Zdjęła z komina lampę, dołała nafty i przetarła kawałkiem gazety knot. W milczeniu przyglądali się jej czynnościom.

Walczak wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował starego.

- Zapalcie, gospodarzu.

Przypalili od lampy. Chłop udawał, że wcale nie jest ciekawy, po co do niego przyszli ci dwaj panowie. Walczak nie spieszył się. Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

- Widzicie, gospodarzu, my tu do was z taką prośbą. Bo to muszę wam powiedzieć, że od razu zmiarkowałem, że wyście tutejsi.

Chłop pokiwał głową.

- A pewnie, żeś tutejszy. Od urodzenia mieszkam w Koronowie. Będzie już blisko siedemdziesiąt lat.

- To i okolice pewnie tu dobrze znacie?

- A czego bym nie miał znać.

- No właśnie - powiedział zadowolony Walczak. - Właśnie kogoś takiego nam potrzeba.

- A bo co? - spytał chłop.

- Bo my tu, wiecie, chcemy film kręcić. To będzie taka historia z czasów wojny. Musimy mieć zdjęcia z lasu. Szukamy też tu w lesie jakiejś starej chałupy, leśniczówki, takiej odgradzonej od świata, w której się mogli kiedyś partyzanci chować. Może wiecie coś o takiej chałupie tu w okolicy? Jakiś niezamieszany, opuszczony dom?

Chłop zamyślił się. Rzucił niedopałek na podłogę i zgniótł go butem.

- Ano... jeżeli wam chodzi o taką opuszczoną chałupę w lesie, to chyba będzie wam pasować ta na Kaczyniu. Bagna dokoła. Trudno tam trafić. Trzeba dobrze drogę znać. W wojnę to się tam partyzanty chowały.

- Daleko to stąd? - spytał Walczak.

- Niedaleko. Tylko że dojazd ciężki. Będzie z pięć kilometrów od pałacu, a może lepiej.

- A moglibyście nam pokazać drogę do tego Kaczynia? Odwieziemy was z powrotem na miejsce.

Chłop podrapał się w głowę.

- Późno. A tam w tych bagnach można coś paskudnego zobaczyć.

- My się nie boimy. A jak z nami pojedziecie, to dostaniecie sto złotych.

- Sto złotych za samą jazdę? - zdziwił się stary.

- A tak. Sto złotych.

- Ano to chyba już pojedę. Słyszysz, Zośka? Jadę z tymi panami. Jak Jasiak wróci, to mu powiedz, że jestem na Kaczyniu. Ten orczyk jutro zrobię. No, jak mamyjechać, to jedźmy - zwrócił się do Walczaka.

Wyszli przed chatę. Sikora zapuścił motor.

- A dojedziemy do tej leśniczówki? - spytał Downar. - Nie ugrzeźniemy gdzie po drodze?

Chłop potrząsnął głową.

- Sami to byście się potopili. Ale ze mną dojedziecie. Downar usiadł koło Sikory. Walczak ze starym z tyłu. Zaraz za wsią skręcili w boczną drogę. Willys zaczął podskakiwać na wybojach.

- Warszawą nie dalibyśmy tu rady - powiedział Downar. Sikora roześmiał się.

- Ale skąd. Rozwalilibyśmy wóz na drobne kawałki.

Po paru minutach jazdy stary wskazał leśną drogę. Zabłyśły reflektory. Pomiędzy drzewami było już zupełnie ciemno.

Willys raz jeszcze dowiódł tego, że jest doskonałym samochodem terenowym. Wpadał w wykroty, trząsł się, dygotał na korzeniach i wybojach. Trzeba było tak doświadczonemu kierowcy, jakim był Sikora, żeby nie urwać

sprzęgła.

W pewnym momencie zmienili kierunek i wjechali na podmokły teren. Miękką ziemię ugięła się pod kołami. W powietrzu czuć było wilgoć i ostry zapach gnijących roślin.

- To już niedaleko - pocieszył ich chłop. - Zaraz za tamtą polaną.

Chata czerniała w mroku szeroką plamą. Walczak wysiadł z wozu pierwszy. Powiedział, zwracając się do chłopca:

- Zaczekajcie tu na nas z kierowcą. Zaraz wrócimy. Obejrzymy sobie tylko wszystko.

- Wziął teczkę z narzędziami i ruszył w kierunku chaty. Za nim Downar.

Walczak szybko uporał się z nieskomplikowanym zamkiem. Weszli, zapalając latarki. Z wnętrza chaty wionęło na nich chłodem i stęchlizną.

- Czego tu, u diabła, szukasz? - spytał Downar. - Może byś nareszcie powiedział, co znaczy ta cała majówka.

- Zaraz zobaczysz - mruknął Walczak, który bardzo uważnie zaczął oglądać wnętrze izby. - Zresztą może się mylę, ale ta okolica bardzo pasuje do mojej teorii. Ten domek nadaje się, znakomicie się nadaje.

- Przestań się zgrywać - zniecierpliwiał się Downar. - Cały czas udajesz tajemniczego. Chcesz mi zaimponować, czy co?

Walczak zaśmiał się cicho.

- Możliwe, bardzo możliwe. O, spójrz. Zdaje się, że jednak ciągle mam niezłego nosa. - Schylił się szybko i podniósł z podłogi jakieś zbite deski.

Downar wzruszył ramionami.

- Cóż to znowu za odkrycie? Ktoś sobie tym drzewem palił tu kiedyś w piecu.

- Przyjrzyj się dobrze tym deskom - powiedział Walczak. - Jak ci się zdaje, do czego one mogły służyć?

- Nie mam pojęcia.

- Przecież to jasne. Jeżeli ustawisz te deski na trójnogu, to co z tego będzie?

- Sztalugi! - wykrzyknął Downar. - Sztalugi. Jak Boga...

- No widzisz. W takiej zapadłej w ziemię chatynce sztalugi.

Walczak uklęknął i począł się wolno posuwać na czworakach wzdłuż ścian. Po chwili wyciągnął rękę do przyjaciela.

- Masz, trzymaj. Jeszcze i to.

- Tuba - powiedział Downar. - Pusta tuba po jakiejś farbie.

Walczak podniósł się i otrzepał dłonie z kurzu.

- Tak. Tuba po ultramarynie. Dobry towar. Angielski.

Downar patrzył zdumiony na kawałek pogiętego metalu.

- Więc ty przypuszczasz... Więc sądzisz, że młody Wajchert?...

Walczak poklepał go po ramieniu.

- Nie tylko przypuszczam, ale jestem prawie pewien. - Schował pustą tubę do kieszeni i ruszył ku drzwiom. - Chodźmy. Musimy odwieźć starego. Potem odwiedzimy jeszcze pana profesora Zelmana. Będą to niespodziewane i niezbyt miłe odwiedziny, ale trudno... Taki już nasz parszywy los.

- Fantastyczne - powiedział Downar. - Zupełnie fantastyczne. Więc Krzysztof Wajchert rzeczywiście sam napisał te paryskie listy?

- Oczywiście. To było zupełnie dobrze pomyślane. Postanowili sfingować wyjazd tego chłopaka do Paryża, żeby mógł spokojnie zniknąć z terenu Warszawy i nieszukany przez nikogo malować tu w tym cichym zakątku. Chciałbym wiedzieć, ile już zdążył zrobić kopii.

Wrócili do wozu.

Powrotną drogę odbyli w zupełnym milczeniu. Kiedy zatrzymali się przed chatą ogrodzoną krzywym płotem, Walczak podziękował staremu i dał mu obiecane sto złotych. Pojechali do pałacu. Downar kręcił się niespokojnie. Był zdenerwowany. Profesor Zelman przyjął ich niezwykle serdecznie. Niczym nie zdradził się z tym, że go zaskoczyła ta późna wizyta. Zaproponował gościom kolację. Podziękowali uprzejmie, ale stanowczo. Poprosił ich więc do swego gabinetu i wyjął ze staroświeckiego kantorka butelkę francuskiego wina.

- Proszę, może panowie zechcą spocząć. Czy znowu jakiś defekt w motorze sprowadza panów do Koronowa?

Walczak potrząsnął głową.

- Nasz wóz jest w jak najlepszym porządku. Tym razem

mamy do pana profesora nieco inną sprawę.

- Czy to znaczy, że panowie są tutaj służbowo?

- W pewnym sensie tak.

Profesor Zelman napełnił winem kieliszki i podsunął oficerom pudełko z papierosami.

- Słucham panów. Jeśli tylko mogę być w czymś panom pomocny, to zrobię to z prawdziwą przyjemnością.

- Ponieważ pan profesor tak dobrze przypomina sobie naszą pierwszą wizytę w Koronowie - powiedział Walczak - to może zaczniemy od tego. Pamięta pan zapewne, że na skutek prośby zgromadzonego wtedy towarzystwa pokazał pan nam drogocenne obrazy, które powróciły do kraju z zagranicy po zawierusze wojennej.

- Oczywiście, że pamiętam - przytaknął Zelman.

- To doskonale. Pamięta pan również zapewne, że obecny wtedy tutaj profesor Misiukiewicz zakwestionował autentyczność obrazu Rubensa, twierdząc, iż jest to bardzo zręczny falsyfikat.

Zelman uśmiechnął się z protekcyjną wyrozumiałością.

- Panowie, oczywiście, nie stykają się z naszym środowiskiem. Nie dziwię się też, że nie wiecie o tym, iż kolega mój, profesor Misiukiewicz, ma manię na punkcie falsyfikatów.

Kwestionuje autentyczność niemal każdego napotkanego obrazu. Idąc po tej linii, możemy dojść do kompletnego absurdu i uznać, że w ogóle na świecie nie istnieją autentyczne dzieła sztuki. Jestem również specjalistą w tej dziedzinie i mogę panów zapewnić, że obraz Rubensa, o którym mowa, jest jak najbardziej autentyczny. Przykro mi, że muszę poderwać autorytet mego kolegi, profesora Misiukiewicza, ale liczę na dyskrecję panów.

Walczak splótł dłonie na brzuchu i dużymi palcami kręcił wolnego młynka. Przyglądał się ciekawie Zelmanowi, kiwając głową potakująco.

- Tak, tak, oczywiście. My się przecież na tych rzeczach nie znamy, panie profesorze. Nie jesteśmy specjalistami. Po prostu zastanowiła nas trochę wtedy ta dyskusja na temat obrazu i przyjechaliśmy się zapytać, co pan o tym naprawdę sądzi.

- Sądzę, że nie można wątpić w autentyczność tego płótna - powiedział stanowczo Zelman.

- Hm. Czy można jeszcze raz rzucić okiem na ten obraz?

- To trochę kłopotliwe, ale jeżeli panowie sobie życzą...

- Bylibyśmy bardzo zobowiązani panu profesorowi. Zelman wstał i poszedł wydać odpowiednie dyspozycje.

Walczak mrugnął do Downara, ale nic nie powiedział.

Po dłuższej chwili wrócił profesor Zelman, a za nim wszedł służący niosący dzieło mistrza. Zelman kazał ustawić obraz na krzesłach pod ścianą.

Kiedy Pietrek wyszedł z pokoju, Walczak, nie spiesząc się, wstał, wyjął z kieszeni szkło powiększające i uważnie zaczął przyglądać się obrazowi.

Zelman zaśmiał się wesoło.

-Widzę, że mi pan nie dowierza, panie kapitanie. Zapewniam pana, że to jest autentyczny Rubens. Może pan go pokazać wszystkim ekspertom świata. Nawet profesor Misiukiewicz będzie musiał zmienić zdanie w tej sprawie.

Walczak zwrócił ku mówiącemu swą okrągłą, dobroduszną uśmiechniętą twarz.

- Nie mam wątpliwości co do tego, że pan profesor Misiukiewicz zmieni zdanie, gdy zobaczy ten obraz. - Przyglądził dłonią niesforne sterczącą czuprynę. - Tylko... tylko że...

- Tylko że co...? - podjął niespodziewanie ostrym tonem Zelman.

- Tylko że wtedy w grudniu to nie był ten sam obraz, panie profesorze. To dziwne. Jak to się dzieje, że jest pan w posiadaniu dwóch identycznych obrazów Rubensa? Bardzo dziwne.

Profesor Zelman zerwał się ze swego miejsca.

- Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć, panie kapitanie? Walczak westchnął.

- No cóż... jestem winien panu wyjaśnienie. Otóż... otóż okazuje się, że nawet w muzeum milicjanci są ludźmi niebezpiecznymi. Gdy wtedy wyniknął między panem a profesorem Misiukiewiczem ten krótki spór, zainteresowałem

się tym i dokładnie obejrzałem sobie obraz. Na dole w lewym rogu płótna była ledwie dostrzegalna gołym okiem ciemniejsza plamka. Widocznie artysta strzepując pędzel... Zresztą ja się na tym nie znam. Widzę tylko, że na tym obrazie nie ma tej plamki. Zupełnie gładkie, jasne tło w tym miejscu. Chyba nie potrafi pan sobie wytłumaczyć tego, w jaki sposób ta plamka mogła zniknąć w przeciągu paru miesięcy.

Zelman wzruszył ramionami.

- Bardzo przepraszam, ale coś się panu musiało przewidzieć. A w ogóle nie rozumiem, o co pan mnie podejrzewa.

Walczak sięgnął do kieszeni i wyjął metalową tubę.

- Widzi pan tę tubę po ultramarynie, panie profesorze?

- Co to wszystko ma znaczyć?! - krzyknął Zelman, którego mizerna twarz zrobiła się trupio blada.

- To ma znaczyć, że zwiedzaliśmy tu dzisiaj okolicę i w samotnej chacie na Kaczyniu znaleźliśmy tę tubę po ultramarynie oraz kawałki połamanych sztalug. Ten Kaczyń to idealne miejsce do spokojnej pracy artystycznej, po prostu raj dla plastyków, młodych plastyków.

Zelman z największym wysiłkiem powstrzymywał drżenie szczęk. Z całej siły zacisnął zęby. Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Więc.... więc... więc pan... pan przypuszcza, pan sądzi... ? Z twarzy Walczaka zniknął uprzejmy uśmiech.

- Mniejsza o to, co ja przypuszczam. Zechce się pan ubrać. Pojedzie pan z nami do Warszawy.

- Czy jestem aresztowany?

- Nomenklaturę tej sytuacji pozostawiam do pańskiego uznania. Jedziemy.

- Wobec tego panowie pozwolą, że pójdę po płaszcz.

- Chwileczkę - Walczak zwrócił się do Downara. - Pójdź z łaski swojej i powiedz służącemu, żeby przyniósł tu palto pana profesora.

Podróż do Warszawy odbyli w milczeniu. Patrząc na pozieleniałą twarz Zelmana, Downar doszedł do przekonania, że to jego właśnie widział Maurycy w świetle księżyca. Tak, to

była trupia twarz.

W komendzie czekała ich niespodzianka. Znalazł się Radoń. Funkcjonariusze wojewódzkiej komendy aresztowali go w Bydgoszczy w mieszkaniu jakiejś jego dawnej przyjaciółki.

Walczak powiedział:

- Przesłuchaj tego bandziora. Ja tymczasem porozmawiam sobie z profesorem Zelmanem. Proszę, panie profesorze, pan pozwoli.

Dowiedziawszy się, że Kobiela jeszcze jest w komendzie, Downar poprosił go, żeby protokołował. Nie tracąc czasu, kazał wprowadzić Radonia.

Wszedł ponury, pochylony do przodu. Z całej jego postaci emanowała źle ukrywana wściekłość.

- Czego wy, do jasnej cholery, chcecie ode mnie? Jakie prawo macie mnie aresztować? To ma być praworządność?! Tylko się dużo pisze i gada o tej waszej cholernej praworządności, a jak przyjdzie co do czego, to zawsze to samo. Żyć spokojnym ludziom nie dajecie. Zarazy na was nie ma.

- Uspokójcie się, obywatelu - powiedział cicho Downar, który postanowił nie dać się sprowokować - uspokójcie się i nie zapominajcie o tym, że znajdujecie się w Komendzie Głównej Milicji i że ja jestem na służbie. Wszystko to, co tutaj powiecie, zostanie zaprotokołowane i wykorzystane na sprawie sądowej.

-Jaka tu może być sprawa sądowa?! - krzyknął Radoń. - Jaka sprawa? Ja nic nie zrobiłem. Do niczego się nie poczuwam. Jestem niewinny. - Przy ostatnich słowach zniżył jednak głos i usiadł, sapiąc.

- Znaliście profesora Kozieskiego? -Nie.

Downar pochylił się nad biurkiem i spojrzał Radoniowi głęboko w oczy.

- Słuchajcie no, Radoń, nie próbujcie bawić się ze mną w ciuciubabkę. Nie mam na to czasu. Wiem, że znaliście profesora Kozieskiego.

Radoń wzruszył ramionami.

-Jak pan wie, to po co pan pyta. Na co ta gadka?

- Zdejmijcie marynarkę! - krzyknął nagle Downar.

- Marynarkę?

- No już!

Radoń, ociągając się, wykonał rozkaz. Downar wstał, podszedł do niego i zawinął mu rękawy koszuli.

- Byliście w obozie - powiedział, patrząc na wytatuowany numer.

- Byłem.

- W Dachau?

- W Dachau.

- No i jak tam było z Kozieskim w obozie? Radoń skrzywił się.

- Ano cóż. ..Jak by to powiedzieć. Profesor trochę się, jak to mówią, ześwinił. Niemcy go wypuścili. Podobno pracował w jakiejś fabryce nad bombą atomową. Tak słyszałem. Nie wiem, czy to prawda.

- A wy po powrocie z zagranicy szantażowaliście go, tak? Radoń znowu wzruszył ramionami.

-Jaki tam szantaż, panie. Znaliśmy się z profesorem, to go poprosiłem parę razy o pożyczkę. Koledzy z obozu. Pan rozumie?

- Doskonale rozumiem. Czy wiecie, o co jesteście podejrzeni?

- Nie mam pojęcia. Nic nie zrobiłem.

- Jesteście podejrzeni o zamordowanie Krzysztofa Wajcherta.

Radoń zerwał się. Twarz mu pobladła.

- To kłamstwo! Nie widziałem na oczy tego gówniarza. Palcem go nie tknąłem. Nie możecie mi niczego dowieść.

- Siadajcie - powiedział ostro Downar - i nie awanturujcie się, boja z wami potrafię inaczej pogadać. Spokój! Zrozumiano?!

Radoń usiadł. Oddychał ciężko. Oczy nabiegły mu krwią.

- Chcicie mnie wrobić, chcecie mnie wrobić - powtarzał. -Aleja się nie dam.

Rozumie pan? Nie dam się! - krzyknął.

Downar zapalił papierosa. Spojrzał spokojnie na Radonia.

- W nocy z dnia piętnastego na szesnastego listopada zeszłego roku byliście w „Krokodylu” w towarzystwie

Krzysztofa Wajcherta, Roberta Podjemskiego i dwóch dziewczyn, Joanny Skulskiej i Magdy Zarzyckiej.

- Byłem. No i co z tego?

- Po kolacji odwieźliście dziewczyny do domu. Tej nocy Krzysztof Wajchert został zamordowany. Zdaje się, że nie bardzo lubiliście go.

Niespodziewanie Radoń roześmiał się.

- Panie kochany, przecież to są brednie. Jakbym ja miał mordować wszystkich ludzi, których nie bardzo lubię, to... Powtarzam panu, że nie pozwolę sobie nic wmówić. Ten numer nie przejdzie. Może pan się nie wysilać.

- Co się działo potem, jak żeście odwieźli te dziewczyny do domu? - spytał Downar.

- A co się miało dziać? Każdy pojechał do siebie. Podjemski zapraszał nas jeszcze na wino, aleja nie znoszę tych starych pedryli.

- A Wajchert? Odwieźliście go do domu czy pojechał z Podjemskim?

- Ani jedno, ani drugie. Powiedział, że jest umówiony gdzieś na Żoliborzu.

- Na Żoliborzu? -Tak.

- Nie mówił, z kim się umówił?

- Nie. Pewnie z jakąś babką. Do kogóż mógłbyjechać w nocy?

- Sam pojechał?

- Sam.

- A Podjemski?

- Podjemski pojechał do siebie.

- Wy także mieszkacie na Żoliborzu?

- Tak.

- I nie pojechaliście razem z Wajchertem?

- Nie miałem chęci.

- Powiedźcie mi jeszcze, Radoń, czy podczas tej kolacji w „Krokodylu” Krzysztof Wajchert rozmawiał z kimś spoza waszego towarzystwa?

- Chyba nie. Zresztą nie pamiętam. To już kawał czasu.

- Oczywiście. A czy nie wzywał go ktoś do telefonu?

- Nie... zresztą, boja wiem... Ale zaraz, zaraz. Teraz sobie przypominam. Jakeśmy wychodzili, podszedł do niego jakiś nieznajomy facet. Coś chwilę pogadali.

- Nie słyszeliście, o czym mówili?

- Nie. A co mnie to mogło obchodzić? Downar wstał.

- Na dzisiaj skończymy. Pogadamy jeszcze jutro. -Jestem zatrzymany?

- Na razie. Będziemy was jeszcze potrzebowali, a ponieważ lubicie znikać z Warszawy, więc na wszelki wypadek...

- To jest bezprawie - mruknął Radoń, ale bez większego sprzeciwu pozwolił się wyprowadzić. Downar poszedł do Walczaka.

- Skończyłeś już z profesorem Zelmanem?

- Tak. Właśnie przed chwilą rozstaliśmy się. -Jaki rezultat rozmowy?

- Pozytywny. Przyznał się do wszystkiego. Załamał się facet. Tak jak się domyślałem, to on był wtedy w nocy w mieszkaniu Kozieskich.

- A po co Kozieski wysłał Łosińskiego na Żoliborz?

- Czekaj - uśmiechnął się Walczak. - Nie denerwuj się. Spróbujmy to wszystko sobie systematycznie naszkicować. -Wyjął z biurka kilka arkuszy papieru i otworzył pióro.

- Zacznijmy od początku. Kozieski splamił się w obozie jakimiś hańbiącymi czynami.

- Radoń to potwierdził - powiedział Downar.

- Więc właśnie. Radoń wiedział o tym i po powrocie do kraju zaczął szantażować Kozieskiego, wyłudzać od niego znaczne sumy pieniędzy. Kozieski był już tym bardzo zmęczony i wyczerpany nerwowo. Zaczął myśleć o wyjeździe za granicę. I rzeczywiście miał wyjechać na placówkę. Postanowił już nie wracać i urządzić się jakoś w Paryżu. Jednak jego kuzyn nie przedstawił mu sytuacji w zbyt różowym świetle. Kozieski zaczął myśleć nad tym, jak zdobyć pieniądze, które pozwoliłyby mu zostać na stałe we Francji. Ten jego kuzyn jest antykwariuszem i handluje dziełami sztuki, a specjalnie obrazami. Jak zrodził się projekt wywiezienia do Paryża obrazów z Koronowa, trudno dociec. Zelman oczywiście

wszystko zwała na Kozieskiego, który nie może się już bronić. Tak czy inaczej powstała spółka, której zadaniem było przemyścić obrazy z Koronowa do Paryża. Miał się tym zająć Kozieski, który jako dyplomata przewoziłby swój bagaż bez większych kontroli.

Było jednak rzeczą zbyt ryzykowną opróżnić skrzynię z bezcennymi dziełami sztuki i dlatego postanowił spreparować odpowiednie kopie, które mogłyby z powodzeniem zastąpić oryginały. Zaangażowali do tego Krzysztofa Wajcherta, który zrobił kopię obrazu Rubensa. To długa i żmudna praca. Potrzeba było miesięcy, żeby skopiować wszystkie obrazy, a przynajmniej te cenniejsze. Dlatego wpadli na pomysł, aby sfingować wyjazd młodego Wajcherta do Paryża i dać mu możliwość spokojnej pracy w tej leśniczówce przez pół roku, a może i dłużej. Coś się jednak między nimi popsulo. Krzysztof Wajchert żądał coraz więcej pieniędzy i w końcu zaczął ich szantażować. Wtedy jeden ze współników postanowił sprzątnąć go...

- Wiesz kto to? - spytał Downar.

- Jeszcze nie. Zelman nie chciał zdradzić jego nazwiska. Mam wrażenie, że się boi. Wygląda na sterroryzowanego. Ale wreszcie powie. To tylko kwestia czasu. Oczywiście chodzi o kogoś, kto wybierał się za granicę. Z chwilą bowiem, gdy wyjazd Kozieskiego spalił z jakichś powodów na panewce, musieli sobie kogoś dokooptować, kogoś takiego, kto mógłby wywieźć obrazy do Paryża.

- Tu znowu pasowałby Koniewicz - wtrącił Downar.

- Właśnie. Koniewicz wydaje się odpowiednim kandydatem do takiej roli. Często wyjeżdżał za granicę.

- No dobrze, ale w dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego go wtedy Kozieski wysłał z listem na Żoliborz Łosińskiego.

- Chwileczkę, cierpliwości. Zelman dowiedział się o zamiarze zamordowania Wajcherta. Przeraził się. Chciał się porozumieć z Kozieskim, ale podczas tego brydza nie miał okazji z nim pomówić. Powiedział mu tylko, że musi się z nim porozumieć, a Kozieski kazał mu przyjść w nocy. Wpuścił go oknem, bojąc się, że trzask otwieranych drzwi zbudzi

domowników. Zresztą facet był na wpeł przytomny, nie wiedział, co robi. Dowiedziawszy się, że Krzysztofa mają zamordować, posłał Łosińskiego z listem na Żoliborz. Być może, że to była tylko zaadresowana koperta. Miał nadzieję, że pojawienie się chłopca w tym mieszkaniu zapobiegnie zbrodni. Stało się inaczej.

-Więc przypuszczasz, że to jednak Koniewicz?

- Nie wiem - odparł w zamyśleniu Walczak. - Być może, że mordercą jest ktoś, o kim jeszcze nie wiemy. Musimy porozumieć się z biurem paszportowym.

ROZDZIAŁ XIX

- Wyjeżdżasz?

- Tak. Proszę cię, siadaj. Wybacz ten bałagan, ale nie spodziewałem się twojej wizyty. Kończę się pakować.

Maurycy patrzył na poustawiane na podłodze walizy.

- Zabierasz ze sobą to wszystko? Chyba gdzieś się daleko wybierasz?

-Jadę do Paryża.

- Do Paryża?

- Tak. Nie wspominałem ci? Już dawno się wybieram, ale wiesz... Te formalności paszportowe...

-Jedziesz służbowo?

- Oczywiście. Jako korespondent. Byłem pewny, że wspominałem ci o moich zamiarach.

- Nie, nic mi nie mówiłeś. Kiedy jedziesz? -Jutro na noc.

- To w takim razie może nie będę ci przeszkadzał. Jesteś zajęty. Nie masz czasu na pogawędki.

Koszycki uśmiechnął się i przyjacielsko poklepał Maurycyego po ramieniu.

- Dajże spokój, Moryś. Wcale mi nie przeszkadzasz. Poczekaj, zaraz się czegoś napijemy. Mam już dosyć tego cholernego pakowania.

Wyjął z baru butelkę wermutu i dwa kieliszki.

- Jeżeli chcesz, to zrobię niezły koktajl. Mam trochę jałowcówki i sok ananasowy. Zupełnie niezła kombinacja.

Zobaczysz. - Z zapalem zabrał się do przyrządzania napoju. Maurycy obserwował go w milczeniu.

Kiedy mieszanina jałowcówki, wermutu i soku ananasowego była gotowa, Koszycki wstawił ją na chwilę do lodówki, a następnie napełnił kieliszki.

- No i jak ci smakuje? Niezłe, co?

- Znakomite - powiedział szczerze Maurycy. - Wiesz, w tej chwili przypomniała mi się jedna powieść kryminalna, którą czytałem w zeszłym roku. Nie pamiętam tytułu ani autora, ale powieść była dobra. Morderca, właśnie przyrządzając koktajl, dosypał do kieliszka swej ofiary trucizny. Przy takiej mieszaninie zapachów i smaków można się nie zorientować. Nie pamiętam już, o jaką truciznę chodziło, ale chyba nie był to cyjanek potasu. Cyjanek potasu pachnie migdałami. Nie wiem, czy w koktajlu straciłby ten zapach.

- Cóż ci takie kryminalne myśli chodzą po głowie? - zaśmiał się Koszycki. - Pij, pij śmiało. Nie mam zamiaru cię otruć.

- O to cię nie podejrzewam.

- No, to chwała Bogu. Cieszę się, Moryś, że cię widzę. Powiedz mi, czy przyszedłeś do mnie wiedziony czystym uczuciem przyjaźni, czy też może znowu dręczą cię jakieś duszne niepokoje?

-Wiesz, że Krzysztof Wajchert naprawdę został zamordowany? - powiedział Maurycy, unikając wzroku Koszyckiego.

- Co ty powiesz? Skądże masz te rewelacyjne wiadomości?

- Kopałem w piwnicy na Kaniowskiej. Koszycki spoważniał.

- Zwariowałeś!? Jak to kopałeś w piwnicy? Po co?

- Żeby znaleźć zwłoki Krzysztofa. Właśnie w tej sprawie przyszedłem do ciebie.

- A cóż ja mam z tym wspólnego?

- Chcę cię prosić o pomoc.

- Ależ ja nic nie rozumiem z tego wszystkiego. W czym mogę ci być pomocny? Maurycy opowiedział o swej rozmowie w komendzie milicji, o nocnej wyprawie na Kaniowską i o trupim odorze w piwnicy.

- Nie chciałem sam odkopać zwłok. Muszę mieć świadka.

- Więc ty chcesz, żebym ja z tobą poszedł do tej piwnicy na Kaniowskiej? - spytał Koszycki i zapalił papierosa.

- Tak. Właśnie. Chciałem cię o to prosić.

- Nie rozumiem, dlaczego właściwie nie zawiadomisz o tym milicji. Po co się w to mieszasz? To ich sprawa.

Maurycy rzucił mu szybkie, niepewne spojrzenie.

- Mówiłem ci przecież, że chcę się jakoś przyczynić do wykrycia trupa Krzysztofa.

Zależy mi na tym. Myślę, że jak im pomogę, to prędzej wybaczą mi moją winę. Nie sądzisz?

Koszycki wzruszył ramionami.

- Boja wiem. Trzeba się nad tym zastanowić.

Przez chwilę milczeli. Kieliszki były puste. Koszycki wstał.

- Przyrządzą jeszcze jeden koktajl - powiedział i wyszedł do kuchni. Wrócił, niosąc w szklanym dzbanku opalizujący płyn.

- Tym razem smak będzie grejpfrutowy. Spróbuj. Maurycy potrząsnął głową.

- Dziękuję ci bardzo, ale wiesz, że ja nie mogę dużo pić. Jeden koktajl to dla mnie zupełnie dosyć.

- Nie bądź dzieckiem. Przecież to słabe. Pij, pij - nalegał Koszycki.

- Nie, nie. Dziękuję.

Koszycki umoczył wargi w swoim kieliszku i powiedział wolno:

- Więc chcesz w nocy jechać ze mną na Kaniowską?

- Byłbym ci bardzo wdzięczny. Nie mam takiego przyjaciela, do którego mógłbym się zwrócić z tą sprawą. Nikt oprócz ciebie nie wie o tym wszystkim.

Koszycki uśmiechnął się.

- Wszystko to wydaje mi się nieco dziwne, ale czegoś się nie robi dla przyjaciela. No dobrze, zgoda, pojedą z tobą.

- Dziękuję ci - ucieszył się Maurycy.

- Kiedy chcesz tam jechać?

- W nocy. Pierwsza, druga... Koszycki spojrzał na zegarek.

- Teraz jest parę minut po ósmej. Pójdziemy gdzieś na kolację, a potem przyjedziesz do mnie i prześpiemy się trochę albo sobie pogadamy do pierwszej.

Maurycy energicznie potrząsnął głową.

- Nie, nie. Dziękuję ci bardzo, ale o dziewiątej mam się z kimś spotkać na mieście. Umówmy się tak, że o wpół do drugiej podjadę taksówką pod twoją bramę. Będę punktualny.

- Taksówką nie możemy jechać na Kaniowską.

- Słusznie. Wsiądziemy na placu Inwalidów i przejdziemy ten kawałek. No więc jak? Odpowiada ci taki plan działania?

- Dobrze. Wyjdę z domu o wpół do drugiej. Maurycy wstał.

- Bardzo ci dziękuję. Do zobaczenia.

Wyszli do przedpokoju. Koszycki zamknął drzwi za przyjacielem i zaczął cicho gwizdać przez zęby.

Maurycy przyjechał punktualnie. Czekał niecałe pięć minut.

- Przepraszam cię - powiedział Koszycki. - Mam wrażenie, że mój zegarek trochę się spóźnia.

- Dokąd jedziemy? - spytał szofer.

- Plac Inwalidów.

Ulice były puste, a pustka ta stawała się w świetle latarni jeszcze bardziej intensywna. „Umarłe miasto” - pomyślał Maurycy i zrobiło mu się jakoś niewyraźnie. Z ukosa spojrział na Koszyckiego, który siedział milcząco. Twarz miał skupioną, poważną, usta zacięte.

Wysiedli na placu Inwalidów.

- Jak się dostaniemy do tej piwnicy?

- Damy sobie radę - powiedział Maurycy.

- A czym będziesz kopał?

- Mam w jesionce łopatę. Uciąłem trzonek.

Bez przeszkód dostali się przez ogrodzenie. Dom był ciemny i cichy.

- Poświeć - szepnął Maurycy i podał Koszyckiemu latarkę.

Błyskawicznie wyciągnął skobel. - Schodź.

- Idź pierwszy - powiedział Koszycki - prowadź.

- No schodź - powtórzył niecierpliwie Maurycy. - Poświeć.

Gdy znaleźli się w zimnym korytarzu, Koszycki spytał:

- Gdzie?

- Tam. Pod tymi rupieciami.

Zabrali się do uprzątnięcia piwnicy. Wszystko musieli wynieść na korytarz.

Maurycy wyjął z płaszcza łopatę i zaczął kopać. Był zwrócony przodem do Koszyckiego. Pełne napięcia milczenie. Koszycki powiedział:

- Daj mi łopatę. Teraz ja pokopię. - Głos miał zmieniony, schrypnięty.

Maurycy podał mu łopatę i otarł rękawem spocone czoło.

- Zapomniałem ci powiedzieć. Dlaczego nie odbierasz tych rogów z reperacji? Już dawno gotowe. Łotrze! Teraz rozumiem! Teraz wiem, dlaczego się ze mną zaprzyjaźniłeś! Chciałeś we mnie wmówić, że to wszystko tylko mi się zdawało, że... Koszycki odwrócił się błyskawicznie i zadał łopatą straszliwy cios. Maurycy był jednak na to przygotowany. Uskoczył w bok i chwycił go za gardło. Obaj runęli na ziemię. Koszycki bronił się łopatą. Maurycy okazał się silniejszy. Uklęknął mu na piersiach i zwinętą pięścią zaczął walić po twarzy i głowie. Bił, chociaż Koszycki już się nie bronił. Stracił przytomność. Wreszcie Maurycy opamiętał się. Wstał i dysząc ciężko, patrzył na powalonego przeciwnika. Następnie dźwignął go, przerzucił sobie przez plecy i wolno wyszedł z piwnicy.

Posłyszał warkot motoru. Samochód zatrzymał się przed furtką. Zawahał się. Chciał uciekać. Było już jednak za późno. Tamci go zobaczyli. Było ich trzech. Biegli ku niemu.

- Czy nie jest pan ranny? - spytał Walczak, patrząc niespokojnie na umazaną w błocie twarz chłopaka.

- To pan, panie kapitanie? - zdziwił się Maurycy. - Jak to dobrze, że pan przyjechał.

ROZDZIAŁ XX

Major Leśniewski wypił łyk kawy, która w międzyczasie zupełnie wystygła. Po gładkim blacie biurka pchnął paczkę giewontów.

- Wiecie, kapitanie, że nie wszystko jest dla mnie zupełnie jasne. Od początku nie tkwiłem w tej sprawie i może dlatego...

- Ależ oczywiście - przytaknął Walczak. - To zupełnie zrozumiałe. Służę wam wyjaśnieniami.

- A więc przede wszystkim kiedy Krzysztof Wajchert zrobił

kopię tego obrazu Rubensa i jak to było z tymi listami?

Walczak wyjął papierosa i tą samą drogą odesłał giewonty majorowi.

- Młody Wajchert w lecie wyjechał do tej leśniczówki, gdzie miał pracować szereg miesięcy. Ponieważ jednak trzeba było jakoś upozorować zniknięcie z Warszawy, przeto jego wspólnicy wpadli na pomysł, aby sfingować wyjazd chłopaka do Paryża. W tym celu namówili go do napisania tych listów, które mieli przesłać do Paryża, do kuzyna Kozieskiego, żeby ten następnie przedadresował je do Warszawy. Tak się też stało, tylko że już po śmierci Krzysztofa Wajcherta. Nie podejrzewał biedak, że listy te posłużą do zatuszowania zbrodni dokonanej na jego osobie.

Leśniewski pokiwał głową.

- Rozumiem. Długo siedział w leśniczówce?

- Dokładnie jeszcze nie wiem. W każdym razie zdążył zrobić kopię tylko jednego obrazu. Pokłócił się ze swoimi wspólnikami i wrócił do Warszawy. Następnie zaczął ich szantażować, żądać dużych sum i wreszcie groził, że ich wyspie. Wtedy Koszycki postanowił go sprzątnąć. Nie chciał ryzykować.

- No dobrze... ale gdyby wszystko poszło według planu i Wajchert, po wielomiesięcznej nieobecności, pojawiłby się nagle w Warszawie, to musieli się przecież liczyć z tym, że władze zainteresowałyby się jego nielegalnym wyjazdem za granicę?

- Słusznie. Toteż Krzysztof Wajchert, po zrobieniu tych kopii, miał zamiar rzeczywiście uciec do Paryża. Zelman obiecał mu zapłatę w dolarach. Wszystko było dobrze pomyślane.

- Słyszałem, że Koszycki jest bliskim krewnym Zelmana.

- Tak. Cioteczny brat. Dlatego też Zelman od razu wpadł na ten pomysł, żebyjego dokooptować do interesu z chwilą, gdy się okazało, że Kozieski nie wyjeżdża na placówkę.

- To jasne. Profesor Kozieski nie był im już właściwie potrzebny. Czy sądzicie, że to on dał cyjanek potasu Koszyckiemu?

- Nie. Kozieski postanowił w pewnym momencie skończyć

ze sobą. Po prostu załamał się nerwowo. Radoń szantażował go i w każdej chwili groził skandalem. Do tego jeszcze doszła sprawa z obrazami. Dla profesora Politechniki nie było rzeczą trudną wziąć z laboratorium słoik z cyjankiem potasu. Przy jakiejś okazji Koziński musiał pokazać Koszyckiemu, że ma w domu truciznę. Koszycki, bezjego wiedzy, odsypał ze słoika porcję przeznaczoną dla Krzysztofa Wajcherta, rozsypując przy tym odrobinę proszku na półce z książkami. Właśnie tą odrobiną otrul się pierwszy kanarek Maurycego.

- A drugi zajrzał do zatrutego kieliszka.

- Tak. Koszycki wieczorem odwiedził Wajcherta i poczęstował go winem, do którego wsypał cyjankali. Krzysztof nie chciał pić wina. Prawdopodobnie dlatego, że wybierał się na wódkę do „Krokodyla”, a wino było słodkie - tokaj. Koszycki nie zrezygnował jednak ze swego zamiaru. Spieszył się. Chciał jak najprędzej pozbyć się Krzysztofa. Na tę noc wynajął mieszkanie Fechnerowej. Poszedł do „Krokodyla”, spotkał się tam z Wajchertem i umówił się z nim na Kaniowskiej. Powiedział mu prawdopodobnie, że mającą niesłychanie ważną sprawę i że musi z nim natychmiast pogadać.

Leśniewski zgasił papierosa, wstał i przeszedł się po pokoju. -Jednej rzeczy jeszcze nie bardzo rozumiem. Zbrodnia była przygotowana z premedytacją.

- Niewątpliwie.

-Więc Koszycki powinien był sobie przygotować jakieś narzędzia do otworzenia piwnicy. Dlaczego użył do tego rogów wiszących w przedpokoju?

- Przesłuchiwałem Fechnerową - powiedział Walczak. -Okazuje się, że piwnica nie miała w ogóle żadnego zamknięcia. Dopiero na parę dni przed zamordowaniem Wajcherta Fechnerowa kazała założyć kłódkę. Twierdzi, że ktoś się dobierał do jej koksu. Widocznie jednak ten, kto zakładał kłódkę, zapomniał zagiąć końce skobla i dlatego Koszycki stosunkowo łatwo poradził sobie z drzwiami. Zresztą te szczegóły wyjaśnię jeszcze, przesłuchując Koszyckiego.

- Więc właściwie mordercę ujął ten chłopak, Maurycy Losiński?

- Tak. Zelman niewątpliwie prędzej czy później wydałby swojego współnika, ale w międzyczasie Koszycki mógł być prysnąć za granicę.

- Sprytny facet. Powiedzcie mi, skąd on się dowiedział o tym, że Maurycy widział trupa Wajcherta?

- To proste. Wrócił z piwnicy i zobaczył światło w mieszkaniu oraz drzwi szerzej otwarte, niż je zostawił. Rano porozumiał się z Kozieskim i od niego dowiedział się, że Maurycy jeździł na Kaniowską. Wtedy postanowił zaprzyjaźnić się z Maurycym i utrzymywać go w tym przekonaniu, że to wszystko mu się zdawało. Załatwił sprawę listów z Paryża oraz zabrał od Podjemskiego kawałki taśmy magnetofonowej z głosem Krzysztofa Wajcherta, żeby ją nadać przez telefon i do reszty zdezorientować Łosińskiego. Wszystko właściwie grało. Tylko przypadek nam dopomógł. Najprzód ten taksówkarz, którego aresztowaliśmy w zupełnie innej sprawie, a następnie rogi. Piękne rogi. Widziałem je.

- A propos: rogi. Co się dzieje z inżynierem Wajchertem?

- Rozmawiałem z nim. Jest zupełnie złamany. Zrozumiał, że to właściwie on stał się przyczyną śmierci syna. Najprzód pozwalał na wszystko, dawał mu kupę forsy, a potem wyrzucił z domu i nie chciał go znać. Wykoleił chłopaka.

- A co z żoną Wajcherta?

- Będzie odpowiadać za współudział w fałszowaniu czeków. Wajchert wniósł sprawę rozwodową.

Leśniewski w zamyśleniu patrzył w okno.

- Tak. Ludzie lubią komplikować sobie życie. - Wyciągnął rękę na pożegnanie.

ROZDZIAŁ XXI

Wiosna przyszła tego roku wcześniej. Była zmienna i kapryśna jak rozpieszczona kobieta. Słupek rtęci w termometrze podnosił się i opadał. Ludzie byli zdezorientowani. Nikt właściwie nie wiedział, czy już należy przesypywać zimowe pałta naftaliną i chować je do worków antymolowych, czy też jest jeszcze za wcześnie na tego rodzaju

akcję. Pogoda była niepewna. Parę razy dziennie kropił deszcz, to znowu wiatr rozpędzał nagle chmury i pokazywało się słońce. Jak to zwykle bywa w podobnych sytuacjach, najstarsi ludzie wyrażali opinię, że takiej dziwnej wiosny nie pamiętają. Jak wiadomo, na starość pojawia się sklerotyczny zanik pamięci.

Maurycy nie widział deszczu ani chmur na niebie, nie czuł wiatru ani przejmującego chłodu. Wszystkie dni były teraz dla niego słoneczne i cudne. Czuł się szczęśliwy i pełen radości życia.

Siedział na ławce w Łazienkach i patrzył na bielejące w słońcu łabędzie. Teresa bliżej przysunęła się do niego. Dotknął wargami jej włosów. Ogarnęło go ogromne rozrzewnienie.

- Tereniu - szepnął. - Tereniu... Chciałbym... Chciałbym ci coś powiedzieć... coś ważnego.

Przysunęła się jeszcze bliżej.

- Mów, Moryś, mów.

Nachylił się do jej ucha. Było czerwone i gorące.

- Czy wiesz...? Czy wiesz, że Kleopatra ma w tym roku śliczne pisklęta?



Koniec

Kurier Polski
WSZYSTKO DLA WSZYSTKICH
1959 rok - nr 147-235

Ali-Baba